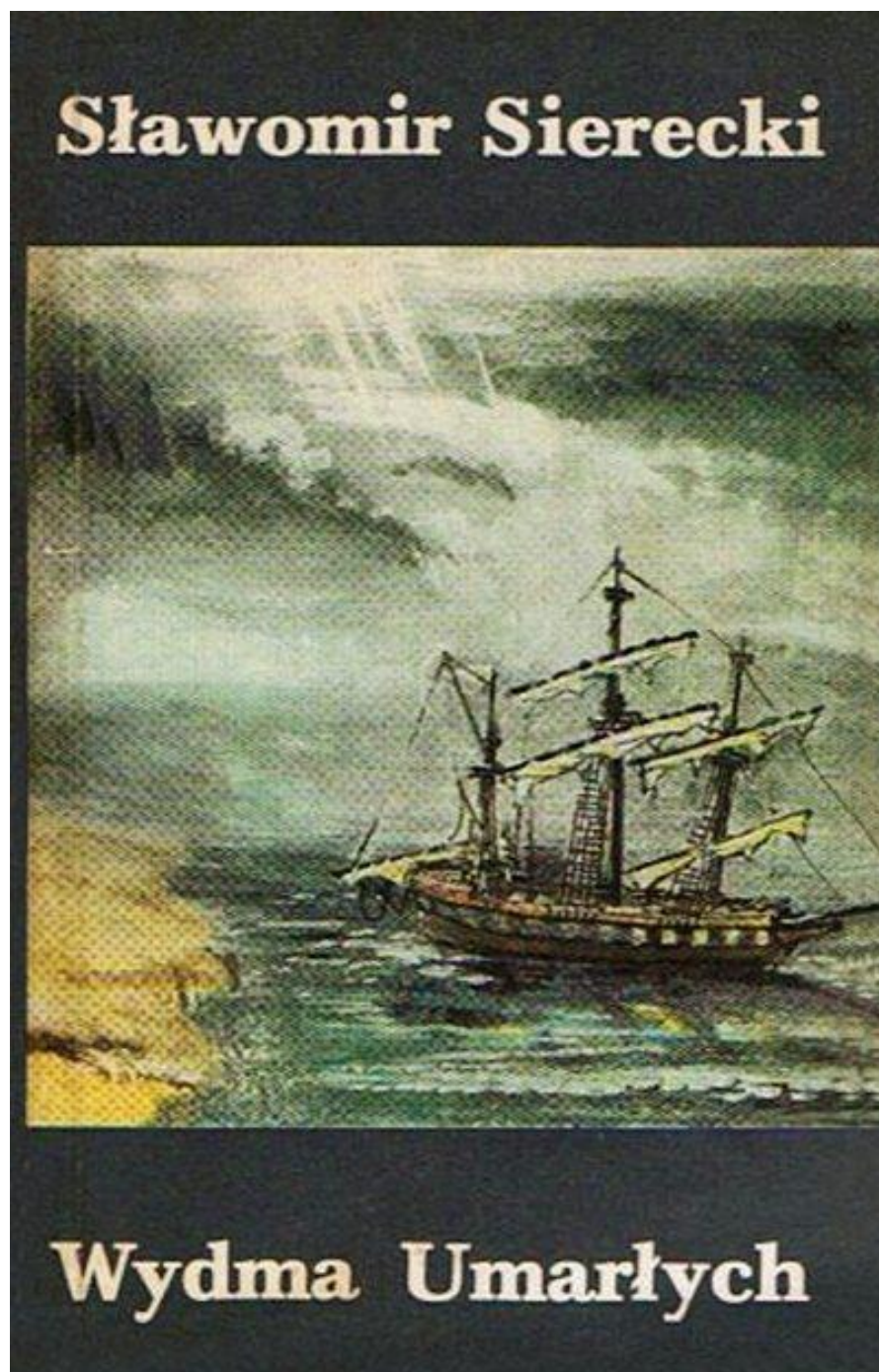


SŁAWOMIR SIERECKI

WYDMA

UMARŁYCH



Na Helu, samotnej placówce Księstwa Warszawskiego, w tajemniczych okolicznościach ginie komendant polskich żołnierzy. Jego następca usiłuje wyjaśnić zagadkę, co zrazu przekracza jego możliwości: wróg jest nie rozpoznany i wyprzedza jego kroki. A kilka małych stateczków korsarskich nie może sprostać dwom korwetom brytyjskim, skutecznie kontrolującym ruch w Zatoce Gdańskiej. W grę wchodzi zaginiony skarb, trumna z dziwną zawartością, i młoda dziewczyna, która musi zostać dostarczona Anglikom. Finał jest zupełnie niespodziewany: tragiczny. a zarazem zaskakujący...

Okładkę i stronę tytułową projektował MICHAŁ JĘDRCZAK

Redaktor ANDRZEJ BOGUSŁAWSKI

Redaktor techniczny RENATA WOJCIECHOWSKA

Korektor KRYSTYNA SZCZERBACZUK

Copyright by Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1990

ISBN 83-11-07713-4

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa 1990 r.

Wydanie I

Nakład 19 700 + 300 egz.

Objętość 10,62 ark. wyd., 14,5 ark.

druk. Papier offsetowy V ki. 70 g, 82X104/32.

Oddano do składania w czerwcu 1989 r.

Druk ukończono w maju 1990 r. w Wojskowej Drukarni w Łodzi. Zam. nr 248

1.

U schyłku lata 1810 roku, dobrze już pod wieczór, na wysokości przylądka Rozewie znalazły się dwa patrolowe okręty brytyjskie, wchodzące w skład eskadry bazującej na duńskiej wyspie Anholt. Były to dwie piękne, siostrzane dwudziestodwudziałowe korwety, obie wybudowane wkrótce po bitwie pod Trafalgarem w Plymouth: „Seafox”, dowodzona przez kapitana Anthony Durbeyfielda - surowego, nie rozpieszczającego swej załogi wilka morskiego - i „Falcon”, pod komendą Samuela Barrowa, który w stopniu młodszego oficera uczestniczył w bitwie pod Abukirem, znanej na Wyspach Brytyjskich jako „batalia na Nilu”.

Na trawersie przylądka oba żaglowce rozstały się. „Seafox” wziął kurs na południowy zachód, mniej więcej równoległe do linii brzegowej Półwyspu Helskiego, natomiast „Falcon” popłynął kursem zachodnim. Jego zadaniem było ubezpieczać operację siostrzanej korwety i w tym celu podążał aż poza cypel półwyspu, gdzie po wyjściu na wody Zatoki Gdańskiej, miał przebrasować reje, przerzucić ster i szerokim łukiem wrócić na miejsce obecnego rozstania. Zgodnie z zaleceniem francuskiej ochrony wybrzeża, na Rozewiu i na Helu płonęły światła sygnalizacyjne. W okolicy Rozewia stacjonował szwadron huzarów francuskich, chociaż obszar ten należał wówczas do Prus, natomiast na cyplu Helu - pluton wojska Księstwa Warszawskiego, detaszowany ze stacjonującego w Gdańsku dziesiątego pułku piechoty. Jednostki te nie zagrażały jednak wykonaniu zadania przez obie korwety, a flotylla korsarskich żaglowców francuskich, bazujących w ujściu Wisły, była za słaba, aby zaatakować brytyjskie okręty. Dlatego, mimo sekretne go charakteru operacji, już w momencie rozstania, a więc zanim

jeszcze zapadły ciemności, na obu okrętach zapalono światła pozycyjne.

Na morze spłynęła już dawno różowa poświata zorzy wieczornej, która obecnie zamieniała się w głęboki fiolet. Potem fiolet nagle poszarzał i ostatecznie zapadł popielaty zmierzch, a morze z płynnego złota zamieniło się w płynny ołów. Wówczas to zapalone wcześniej światła pozycyjne uwydatniły się, a na każdym z obu okrętów wciągnięto dodatkowo na wysokość średniej rei fokmasztu umówiony znak: czerwoną latarnię. Pozwalało to załogom obu żaglowców pozostać długo w kontakcie, natomiast tym, którzy oczekiwali ich na lądzie, oznajmić: „jestem okrętem jego królewskiej mości króla Anglii i przybywam zgodnie z umową...”

Wiatr osłabł, co było zjawiskiem typowym dla zmierzchu. Po jakimś czasie dopiero miały nadlecieć ostre porywy, zrodzone ze zmienności prądów wstępujących po upalnym dniu.

Na rufie obok sternika znajdował się pierwszy zastępca kapitana korwety „Seafox” - Alfred Hawthorne, który do bazy na wyspie Anholt trafił wprost z Indii Zachodnich. Hawthorne kazał właśnie zrzucić górne żagle, co zresztą było wykonaniem wcześniejszego polecenia dowódcy, a nie efektem wiedzy żeglarskiej. Nie należało się zbyt spieszyć, w oznaczonym miejscu „Seafox” miał zjawić się dopiero po zapadnięciu ciemności. Poza tym ostre porywy wieczornej bryzy mogły niekiedy spowodować awarię przy pełnym ożaglowaniu, a nawet zdryfować okręt z kursu, co było szczególnie niebezpieczne ze względu na pas mielizn, ciągnący się wzdłuż brzegu.

Dowódca powinien już być na pokładzie, ale-widocznie po rozstaniu z Barrowem i wymianie pozdrowień chciał jeszcze wypić filiżankę ulubionej herbaty, do której steward nalewał z reguły „dla smaku”, trochę rumu. Durbeyfield miał absolutne zaufanie do swego zastępcy, a złośliwi mówili, że ufał mu bardziej niż sobie. Było oczywiste, że po zauważeniu przez wachtę na oku sygnałów z lądu wylezie ze swej kabiny, jak borsuk wietrzący jakiś przysmak.

- Przepraszam, sir, czy mogę o coś zapytać?

Te słowa skierował do zastępcy dowódcy młodszy oficer korwety, - stażysta Robert Addison. Był jeszcze żółtodziobem w służbie jego królewskiej mości, ale legitymował się ponoć sporą dozą błękitnej krwi w żyłach i polecono go szczególnej opiece kapitana Durbeyfielda, co ten przekazał swemu zastępcy.

- Gadaj, Dick, co cię gryzie?

- Przypadkowo usłyszałem, sir, że naszym punktem orientacyjnym na tym mrocznym i pustym wybrzeżu jest jakaś „Deads Men Dune” - „Wydma Umarłych”. To prawda, sir?

- Tak, istotnie. Półwysep jest tam tak wąski, że przy sztormowej pogodzie fale przelewają się z otwartego morza do zatoki. Miejsce to jest ulubionym punktem przeładunkowym towarów angielskich przemycających na kontynent. W takich właśnie warunkach rodzi się sława ludzi zajmujących się kontrabandą, łamiących blokadę kontynentalną, wymyśloną przez Bonia. - Użył żartobliwego określenia cesarza Napoleona, nazywanego we flocie „Bonny” - jako zdrobnienie rodowego nazwiska Bonapartych. '

- ...ale, jeśli śmiem zapytać - skąd ta dziwna nazwa samej wydmy? Czy wiąże się to z jakimś strasznym zdarzeniem?

- Trzeba panu wiedzieć, Addison - przeszedł z bezpośredniego „Dicka” do „pana Addisona” - że na tych wodach, wbrew pozorom, zdarzają się huraganowe szkwały. Zdarzają się rzadko i trwają krótko, ale spadają niespodziewanie i mogą przenieść statek z załogą o dziesięć mil dalej, aby rzucić go następnie o skały. Zdarzają się także zwykłe sztormy, jak na Morzu Północnym, ale bardziej zdradliwe, bo o typowych, „łamiących” się falach zamkniętego morza. To pański pierwszy rejs na Bałtyku?

- Tak jest, sir. Brałem dotąd udział w patrolach na Kanale, na Skageraku i w Kattegacie. Po raz pierwszy przepłynąłem Sund.

- No więc, zdarzyła się tu smutna historia. W czasie sztormu, albo „białego szkwału”, zimą, przy dużym-mrozie, poszedł na dno statek handlowy.

Było to stosunkowo niedaleko brzegu, więc kilkunastu ludziom udało się osiągnąć plażę. Fale były jednak tak duże, że przelewały się przez półwysep, a jedynym punktem oparcia dla rozbitków była właśnie wydma. Dodatkowo niebezpieczeństwo stwarzała na brzegu ostra jak brzytwa, połamana kra. Dlatego też uratowani postanowili uchwycić się wydmy, powiązać się nawzajem pasami i czekać świtu. Wiedzieli, że w pobliżu .muszą być rybacy, którzy rano im pomogą... Byle wy- trzymać do rana...

- Wytrzymali?

- No, w pewnym sensie tak. Nikogo nie zmyło, a rano sztorm osłabł, fale przestały zalewać plażę.

- Jeśli w pobliżu mieszkali rybacy, winni byli postawić na brzegu wartę sztormową.

- Tak, zawsze tak czynili, ale tej nocy pomyśleli, że nie warto. W taką sztormową pogodę wszystkie statki kryją się do portów, wśród miejscowych rybaków także nikogo nie brakowało. Było, zdaje się, jakieś święto...

- Może Boże Narodzenie?

- Tak, chyba tak... Dość że następnego dnia wszyscy wstali później, pomodlili się i wyszli zobaczyć, jakie szkody poczynił nocny sztorm. Wtedy natknęli się na szczątki rozbitego statku, wyrzucone na brzeg, a następnie zobaczyli wydnę i powiązanych na niej pasami, kurczowo trzymających się lądu rozbitków.

- Przeżył który?

- Ani jeden. Mróz był taki, że woda zamarzała niemal natychmiast na ich włosach, na odzieży, na rękach, na twarzach, a przecież cały czas ci nieszczęśni ludzie znaj-) dowali się pod prysznicem fal. Wkrótce już przypominali lodowe sople - i takich odkryli rybacy w ów poranek. Wtedy tak nazwali to wzgórze Wydumą Umarłych.

- Pewnie tam teraz straszy...

- Może i straszy, ale tylko w czasie sztormu. Proszę nie niepokoić się, Addison. Dziś żadnego widma tam nie spotkasz, kiedy wysiądziesz na ląd.

- Ja?... - zdumiał się młodszy oficer.

- A, to widocznie nikt ci jeszcze nie mówił, że nasz dowódca wyznaczył już załogę szalupy, która popłynie na ląd. Ty płyniesz w tej szalupie, Dick. Dowodzi porucznik Castlewood, a pan płyniesz jako jego zastępca, Addison. Umowa jest taka, że po zapadnięciu ciemności zostaną zapalone na Wydmie Umarłych trzy czerwone latarnie, ustawione w znak trójkąta, jedna wyżej, a dwie niżej. Gdyby latarnie były białe, byłby to sygnał nie dla nas, lecz powiedzmy dla przemysłowców. Jasne? Ale to wszystko nie ja powinienem panu mówić, tylko porucznik Castlewood. Wie pan już wszystko, panie Addison, i o wydmie, i o sygnałach, i wyprawie na ląd...

- Jeśli wolno, miałbym jeszcze jedno pytanie, sir. Mogę je zadać?

- Zakładamy, że to ostatnie, dobrze? O cóż więc chodzi?

- Sir, skoro dowiedziałem się, dzięki łaskawości pana, że wyznaczono mnie do załogi szalupy jako zastępcę porucznika Castlewooda, czy mogę usłyszeć od pana, jaki jest cel naszej wyprawy na ląd? Rozumiem, że jest to w ogóle cel całej operacji, którą ubezpieczają dwie korwety, musi więc to coś znaczyć. Czy mamy zabrać z wybrzeża kogoś lub coś, jakiegoś człowieka czy jakiś ważny przedmiot? Jeśli to tajemnicą, przepraszam za moją ciekawość, sir, i cofam pytanie.

- Sądzę, że o wyznaczaniu pana do obsady- szalupy dowiesz się pan zaraz po zauważeniu przez wachtowego sygnału na lądzie. Zakomunikuje to panu sam porucznik Castlewood. Nie wątpię, że nie powie po co płyniecie, dopóki dziób szalupy nie zaryje się w piasku plaży na półwyspie... No cóż, powiedziałem tyle, powiem i to, o co pytasz. Obecnie to już nie tajemnica. Macie zabrać z lądu i „kogoś”, i „coś”. Będzie to młoda angielska dama, pochodząca z najlepszych sfer hrabstwa Essex. Kto wie czy jej nie znasz, albo nie słyszałeś jej nazwiska, bo pochodzenie ma tak dobre jak pan, Addison, jej przodkowie także służyli królowej Elżbiecie jak pańscy.

A „przedmiot”? Będzie to coś pasującego do nazwy tej przeklętej wydmy, mianowicie trumna... Ale na wojnie jak na wojnie. Możecie nie spotkać ani damy, ani trumny, ale najzwyklejszą, dobrze zastawioną na was zasadzkę. Jeśli coś spotkacie wówczas na brzegu, to najwyżej kulę wystrzeloną z francuskiego karabinu...

W jakiś czas po tej rozmowie marynarz usadowiony na średniej rei fokmasztu okrzyknął rufę meldunkiem:

- Widzę światła, sir! Dwa rumby po nawietrznej od dziobu, Jedno światło na górze, dwa na dole.

- Jakiego koloru? - rzucił pytanie Hawthorne, choć i on, z rufowego pokładu dostrzegł sam latarnie ustawione w znak trójkąta. Światła miały krwistą barwę...

- Czerwone, sir! Wszystkie trzy czerwone!

- Uważajcie dalej, Mattew i meldujcie o wszystkich zauważonych zmianach.

- Ayay, sir! Zrozumiałem! Będę meldował o wszystkich zauważonych zmianach - powtórzył marynarz zgodnie z regulaminem.

I oto obok Hawthorne'a pojawił się wreszcie kapitan Durbeyfield. Albo wywołał go na pokład meldunek z fok- masztu, albo instynkt.

- Panie Hawthorne, realizujemy teraz wszystko zgodnie z przyjętym planem. Na trawersie Wydmy Umarłych stajemy na dwóch kotwicach. Niech pan każe zrzucić dalsze płótna, reszta żagli pozwoli panu przyjąć odpowiednią pozycję.

- Tak jest, sir... Zaraz każę sondować.

- To oczywiste, panie Hawthorne. Gdzie jest porucznik Castlewood?

- Jestem tu, sir - zameldował nagle oficer stając obok dowódcy.

- Zaczynj pan przygotowania, Castlewood. Bosman Walker przygotował już ludzi do wiosła?

- Tak jest, sir. Szalupa również gotowa.

- Weź pan dodatkowo dwóch ludzi z piechoty morskiej, Castlewood. Nigdy nic nie wiadomo... I niech pan uważa przy lądowaniu, przybój jakby się zwiększył. Marynarze niech lepiej zostaną przy szalupie, a wchodząc w głąb lądu weź pan z sobą tego młodzika Addisona i owych zuchów z piechoty morskiej.

Potem dowódca stanął przy relingu, patrząc w stronę lądu (i trzech jarzących się czerwonym światłem sygnałów. Za plecami słyszał komendy i pokrzykiwania marynarzy zwijających żagle, brzęk łańcuchów kotwicznych, skrzyp lin na blokach, gdy przygotowywano do spuszczenia szalupę. Jeśli | wszystko przebiegnie sprawnie, zgodnie z umową, zakończy | się w ten sposób całe to idiotyczne, nikomu niepotrzebne i -jak sądził - polowanie na trumnę, cały ten splot zdarzeń nie pozwalający ciągle zapomnieć o tym, co zdarzyło się w ujściu Wisły przed trzema laty. Potem odwrócił się i zażądał od Hawthorna meldunku o „Falconie”. Marynarz na oku [podał zaraz, że widoczność jest bardzo dobra i cały czas śledzi kurs siostrzanej korwety.

- Jestem gotów, sir! - zameldował wkrótce Castlewood.

- Pełna obsada w szalupie! Możemy odbijać.

- A więc nie traćcie czasu!

. Castlewood zeszedł po drabinie spuszczonej z wytyku, przy którym tańczyła na falach łódź. Bosman był przy sterze, Addison i obaj piechurzy na dziobie, wiosła uniesione w górę. Gdy porucznik znalazł się w szalupie, zdjęto cumę i padła pierwsza komenda dla wiosłarzy. Plusku wiosła nie było słyhać ze względu na szum przyboju i pogwizd bryzy w wantach.

- Noc jest dość jasna - stwierdził kapitan wpół do siebie, a wpół do zastępcy, który mruknął coś niewyraźnie, co przypominało „Ayay, sir”. -

Istotnie - niebo stało się już granatowe, rozbłysły gwiazdy, a popielata poświata na zachodnim krańcu podkreślała, jak narysowany chińskim tuszem, kontur lądu. - Diabli wiedzą, co tam znajdują...

- mamrotał dalej pod nosem Durbeyfield. - Widzi pan jeszcze szalupe, Hawthorne?

- Nie, sir. Fale pomogą im dostać się na plażę. Niedługo wylądują. Są pewnie w połowie drogi.

Przybój fal nie był silny, ale załamany przed samym wybrzeżem przez garb podwodnej mielizny, pluł na plażę pianą i szumiał złowrogo, co mogło zaniepokoić kogoś nie obeznanego z sytuacją.

- Niech pan uważa, Addison, aby fala nie załaziła panu pistoletu - odezwał się Castlewood.

- Niestety, już się to stało, sir...

Rozległy się dyskretne śmiechy wśród wiosłujących.

- Weź pan więc w garść kordelas, młody człowieku.

- Tak jest!

- Uwaga, wiosła w górę! Pan wyskakuje pierwszy, Addison, a za panem obaj piechurzy. Niech pan złapie dziobową linę, bo może nas cofnąć!

Zaszurało dnem łodzi po piasku. Potem wszyscy odczuli gwałtowny wstrząs.

- Jestem na lądzie, panie poruczniku! Obaj piechurzy także!

- Oddaj pan cumę pierwszemu marynarzowi, który wysiadzie! Skapaliście się?

- Tylko ja, panie poruczniku! Za wcześnie wyskoczyłem. Fala mnie dogoniła..!.

- Nic nie szkodzi! Woda w tym morzu nie ma wiele soli, obuwia pan nie zniszczysz, Addison. Bosmanie, obejmijcie komendę nad załogą szalupy. Podciągnijcie ją dalej i czekajcie! Broń w pogotowiu! A jak broń piechurów, sucha?

- Sucha, panie poruczniku!

- Przygotować się! Pan Addison i wy obaj idziecie za mną. Zapalcie sztormową latarnię! Bosmanie Walker, wiecie, co macie robić w razie niebezpieczeństwa?

- Tak jest, sir!

Młody Addison dopiero teraz wydobył kordelas. Woda pluskała mu w butach, czuł chłód na plecach. Z niepokojem spoglądał na zapalone trzy olejowe latarnie, osłonięte czerwonymi szybami. A więc tuż obok miał tę fatalną Wydmę Umarłych, o której opowiadał mu zastępca dowódcy. Odwrócił się jeszcze. Korweta stała w dryfie ze zwiniętymi żaglami, dobrze widoczna dzięki światłom pozycyjnym i sygnałnej latarni na fokmaszcie.

- No, idziemy! - zakomenderował Castlewood i powtórzył: - Broń trzymać w pogotowiu! Zaraz się wyjaśni, czy znajdziemy wszystko, czego oczekujemy, czy też... - ale nie dokończył. W ciemnościach, pod ścianą sosnowego lasu coś się poruszyło, a potem z ciemności błysnęła niewielka sztormowa latarnia, taka sama jak ta, którą trzymał Castlewood. Oficer zatrzymał się i wyciągnął zza pasa pistolet, który ochronił przed bryzgami fal. Był całkowicie pewny, że w razie czego nie zawiedzie. Człowiek, który szedł mu właśnie naprzeciw, trzymał wprawdzie w lewej dłoni też sztormową latarnię, ale w prawej pewnie także pistolet...

- Kto idzie? - padło pytanie z mroków, postawione dobrą angielszczyzną i zdradzające człowieka, który nie lękał się i zwykł był sam decydować w momentach szczególnie niebezpiecznych. Trzymał rzeczywiście w lewej dłoni latarnię, ale w prawej ścisnął nie kolbę pistoletu, lecz krzywą, mamełucką szablę. Szabli tej porucznik Castlewood nie mógł dostrzec, podobnie

jak napisu wrytego na jej klindze: „Tout est perdu, fors Fhonneur”.
„Wszystko stracone, prócz honoru”...

2.

Lokując się na noc w zajezdzie „Pod Trzema Maurami” kapitan Rafał Wolski nie zaniechał dawnych przyzwyczajzeń, kiedy to losy rzuciły go na drugą półkulę, w dżunglę San Domingo, na korsarskie rejsy w rejonie, Wielkich Antyli, a wreszcie znów do niespokojnej Europy, którą parę lat temu porzucił. Kładąc się więc do łóżka, a trafniej byłoby powiedzieć do ogromnego łoża, typowego „letto matrimoniale”, pozostawił w zasięgu ręki nabity pistolet, a o krzesło stojące przy łóżku, na które rzucił części swej garderoby, oparł szablę. Pistolet był typową bronią podróżnych - mały, poręczny, o krótkiej lufie i ogromnym kalibrze. Strzelano z takiej broni z reguły na krótki dystans i najczęściej siekańcami. Była to straszna broń.

Pistolet ten miał już podobno swoją niezwykłą historię, o której szeptem poinformował oficera pewien oberżysta, nieoficjalnie trudniący się sprzedażą różnej broni. Wolski nie bardzo mu wierzył, wszystkich oberżystów traktował zresztą podejrzliwie uważając, że profesja ta przygarnia z reguły oszustów, kłamców i rajfurów. Zresztą nie potrzebował namowy, zdecydowany był na kupno, skoro tylko ujrzał tę oryginalną broń. Podobny pistolet widział już przedtem na Antylach i to nie w rękach komiwojażerów ani rozbójników, ale w próbnej dłoni pięknej Pauliny, siostry samego Napoleona Bonaparte, z którą los zetknął go na San Domingo. Wówczas była młodziutką i piękną wdową po nieszczęsnym szefie francusko-polskiego korpusu na San Domingo, generale Wiktorze Emanuelu Leclercu. Jeszcze raz Wolski spotkał taką broń w amerykańskim porcie Savannah, gdzie do dziś czci się pamięć dowódcy kawalerii Stanów Zjednoczonych Kazimierza Pułaskiego. Ale sytuacja, w jakiej Wolski zapoznał się z efektami podobnego pistoletu nabitego siekańcami, nie miała nic wspólnego z historią i tradycjami.

Szabla miała ozdobną rękojeść i należała do typu, który po kampanii egipskiej zwykło się nazywać „mameluckimi”. Był to wyrób orientalny,

może nawet damasceński, ale jej francuski nabywca kazał miejscowemu płatnerzowi wyryć na klindze dewizę znaną nad Sekwaną od wielu stuleci, to znaczy od momentu klęski króla Franciszka I pod Pawią: „Tout est perdu, fors l'honneur”.

Tę orientálną szablę, z dewizą Franciszka I wypisaną na klindze, nabył Wolski w Marsylii, w małym sklepiku dzielnicy portowej, na tyłach znanego budynku Maison Diamantee - wkrótce po powrocie z drugiej półkuli - jako dopełnienie świeżo uszytego pięknego munduru. Stać go było na to, bo po powrocie do służby, wyjątkowa bez dodatkowych starań i długich oczekiwań (między innymi świadczyła za niego dawna Paulina Leclerc, a obecnie Paulina Bonaparte księżna Borghese, pamiętająca młodego polskiego oficera przydzielonego jej do osobistej ochrony, gdy gotowała się już do odjazdu, z Antyli, wioząc zabalsamowane zwłoki pierwszego męża) udało mu się jeszcze w Marsylii odebrać zaległy żołd. Jak się później przekonał, było to jego osobistym „łutem szczęścia”, bo inni czekali na realizację tych zaległości latami lub nie otrzymali ich nigdy. W Paryżu otrzymał skierowanie do ministerstwa wojny Księstwa Warszawskiego z adnotacją o konieczności zameldowania się u generała „Joseph de Poniatski”. Miał też trochę majątku w Polsce w postaci dziedzicznego, obecnie dzierzawionego folwarczku. Już w Marsylii zauważył, a Paryż to potwierdził, że mundury cesarstwa różniły się od uniformów, które noszono przed kampanią na San Domingo. Inna moda panowała zwłaszcza w salonach i na Champs Elysees, które uważano już za wyrocznię tego, co się powinno nosić „poza domem”. Cesarska Francja Napoleona Pierwszego starała się szybko zapomnieć o czasach rewolucji, a nawet Pierwszego Konsula. Sam Bonaparte nie nosił już bujnych kędziorów - jak ten, znany z czasów Tulonu i walki o most pod Arcole. Strzygł się krótko, łysiejące czoło zakrywając kosmykiem włosów. Dawny szczupły kapitan artylerii zaczynał tyć. Rozdawał swej rodzinie trony, często tworząc nowe królestwa i księstwa, swym oficerom - buławy marszałkowskie lub lukratywne stanowiska, a żołnierzom order, pochwały i renty inwalidzkie.

Zmiany nastąpiły również nad Wisłą i dostrzegł je Wolski już z chwilą, gdy opuścił ciasne i duszne wnętrza dyliżansu pocztowego na rynku Starego Miasta. Wprawdzie nie istniało państwo polskie, tylko jego namiastka w postaci Księstwa Warszawskiego, z królem saskim na książęcym tronie, ale było prawdziwe wojsko polskie, były nadzieje na zmiany, były nowe zwycięstwa na polu walki.

Powracającego z wieloletniej tułaczki, ale w nowym, pięknym mundurze, z listem polecającym, przyjął osobiście minister wojny książę Józef Poniatowski.

- Powiedz waszmość prawdę, było tam tak źle, jak o tym prawią? - pytał książę.

- Chyba kłamię, ekscelencjo. Było jeszcze gorzej. Z kompanii zostawało czasem trzech ludzi, pięciu, a niekiedy ani jeden.

- Co było tam najstraszniejsze? Powstańcy? Natura?

- Straszni byli powstańcy i straszna dżungla, straszna była malaria, głód, zepsuta woda. Brak mundurów, butów, broni, prochu i kul, ekscelencjo. Wszystko pospołu gubiło armię...

Książę Józef obiecał, że wyda swojej kancelarii polecenie podjęcia starań o weryfikację stopnia majora, uzyskanego przez Wolskiego na San Domingo na wniosek samego Leclerca, ale dokumentacja tego awansu przepadła. Po odbyciu poufnej rozmowy książę oficjalnie kierował Wolskiego pod komendę generała Michała Grabowskiego, szefa polskiej brygady stacjonującej na „najdalej na północ wysuniętej placówce”, w Gdańsku.

Generał Grabowski był naturalnym synem ostatniego polskiego króla, Stanisława Augusta Poniatowskiego, związanego węzłem morganatycznym z piękną Elżbietą, wdową po generale Janie Jerzym Grabowskim. Małżeństwo morganatyczne oznaczało, że choć uznawane przez Kościół i prawo, nie upoważnia dzieci w takim stopniu zrodzonych do tytułów ojca. Ale mimo

to w wojsku, w gdańskim garnizonie nazywano generała po cichu „królewiczem” i nie było w tym żadnej złośliwości, raczej sympatia.

W Wolnym Mieście Gdańsku, które faktycznie było główną bazą francuską nad Bałtykiem, przebywał Wolski już dnigi dzień. Zatrzymał się w rekomendowanym mu przez adiutanturę garnizonu hoteliku „Pod Trzema Maurami”, na tak zwanym Starym Przedmieściu, które niewiele ucierpiało w czasie niedawnego oblężenia. Budynek był jednopiętrowy, z mansardowym dachem, dość stary. Kuchnia i obsługa cieszyły się jednak dobrą renomą i gościli tu nierzadko ludzie utytułowani, a także bogaci kupcy.

Pokój Wolskiego znajdował się w rzędzie oddzielnie położonych komnat dość ciemnych i stąd brała się konieczność nieustannego korzystania ze świec, które gościom dostarczano za dodatkową opłatą.

Kładąc się do łóżka i pozostawiając w zasięgu ręki pistolet i szablę, Wolski zapalił świecę, postanowił bowiem tej nocy, dopóki sen go nie zmoży, przejrzeć plik dokumentów, wręczony mu w wielkiej, żółtej kopercie przez kapitana- Sokolnickiego, adiutanta szefa polskiej brygady. Dokumen-

ty te wiązać się miały z nowym stanowiskiem, które już jutro- objąć miał kapitan Wolski. Okazało się bowiem, że choć decyzja naczelnego wodza posłała go do „najdalej na północ wysuniętej placówki”, czyli do gdańskiego garnizonu, szef polskiej brygady powierzył mu detaszowany oddział piechoty dziesiątego pułku, stacjonujący jeszcze dalej, w miasteczku Hel, na cyplu półwyspu odgradzającego Zatokę Pucką od otwartego morza. Dokumenty były różnej wielkości i różnego charakteru, najczęściej jakieś rachunki, krótkie meldunki dotyczące codziennych spraw małego garnizonu. Niektóre były tak pomięte, że sprawiały wrażenie jakby wyciągnięto je wprost z kosza na śmieci. Inne - poplamione brunatnym sosem lub farbą. Później, znacznie później Wolski domyślił się, że była to krew.

Zanim jeszcze kapitan wsiąść miał na pokład małego rybackiego stateczku, właściwie łodzi, która zawiozłaby go na Hel, zapragnął go ujrzeć w swojej siedzibie francuski gubernator Wolnego Miasta Gdańska, a właści-

wie absolutny władca tego obszaru - generał Jean Rapp. Do siedziby gubernatora miał udać się Wolski pod opieką generała Grabowskiego, który chciał go rekomendować gubernatorowi. Widocznie placówka na Helu stanowiła ważny bastion obronny dla Gdańska, a nie trzeba zapominać, że była to już strefa nie podlegająca administracyjnie Księstwu Warszawskiemu, choć chroniona przez polskie wojska. Poza tym - już od początku, kiedy generał Grabowski powiedział „Hel”, Wolski odczuł, że z miejscem tym wiąże się coś więcej niż tylko obowiązek przejęcia służby. To prawda - Wolski miał zająć miejsce dawnego komendanta helskiej placówki, ale nie dlatego, że jego poprzednika - kapitana Kosseckiego - przeniesiono na inne stanowisko, że wyjechał lub zachorował. Kossecki nie żył. Zginął od kuli wystrzelonej z pistoletu, z bezpośredniej odległości od jego głowy. Według orzeczenia komisji powołanej przez gubernatora komendant Helu zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku, pod-

czas czyszczenia broni, ale Grabowski wyznał Wolskiemu, że w tę wersję nie wierzy. Nie ma argumentów, aby ją obalić, więc godzi się z nią, ale podejrzewa, że kapitan Kossecki został po prostu zamordowany.

- Mamy sygnały, kapitanie, że przez Hel idzie kontrabanda, łamiąca zasady blokady kontynentalnej. Przypuszczam, że Kossecki odkrył kanały kontrabandy i przypłacił to życiem. Do niczego pana nie namawiam, kapitanie, ale pana zadaniem jest czuwanie nad bezpieczeństwem półwyspu i również tropienie kontrabandy. Niech więc czyni pan to, co jest pana obowiązkiem, ale niech pan będzie ostrożny. To może wydać się niekiedy trudniejsze i bardziej niebezpieczne niż walka z powstańcami na San Domingo.

Myślał o tym Wolski spoczywający w przepastnym „letto matrimoniale” i przy blasku świecy wertujący dokumenty pozostawione do jego dyspozycji w żółtej kopercie. Pisał je człowiek, który zginął w bliżej nie znanych okolicznościach.

Była już głęboka noc, a jemu wciąż nie chciało się spać. Na dworze wiatr wzmógł się i co chwilę deszcz uderzał kaskadą ulewy o szyby. Poko-

jówka, pulchna Kaszubka z Kartuz, uważała, że taka pogoda to rzecz normalna na wiosnę, ale sztorm tak samo szybko mija, jak szybko 'przychodzi. Tymczasem jeszcze nic nie wskazywało na to, że jej optymistyczne prognozy sprawdzą się. Gdzieś stuknęła źle umocowana okiennica, jęklonie dzwoniła blacha naderwanej rynny, a w zakamarkach ciasnej zabudowy Starego Przedmieścia wył żałośnie pies...

I oto, gdy Wolski zagłębił się w lekturę dokumentów, wydało mu się, że na korytarzu trzasnęły drzwi. Pomyślał, że to nic nie znaczy. Minęła już chyba północ, ale goście hotelu mają prawo robić to, na co mają ochotę, nawet trzaskać drzwiami. Na pewno nie był tu jedynym gościem tej nocy, cóż więc mógł go obchodzić fakt, że ktoś łązi po mrocznym korytarzu zamiast spać? Wrócił do lektury. Przeglądał jakieś rachunki za naprawę dachu, za reperację żołnierskich butów, za mąkę i groch dostarczone dla garnizonu na Helu, ale tu i ówdzie, na marginesie lub na odwrocie rachunków, Wolski znalazł podobnym charakterem pisma czynione notatki, niekiedy zupełnie niezrozumiałe - na przykład „»Dauntless« - przeklęta »Dauntless«”. Wolski znał dobrze angielski - „Dauntless” to „Niezwyciężony” lub „Niezwyciężona”, o co chodziło Kosseckiemu? albo - „ach co za drań z tego Godolina” oraz - „Wydma Umarłych, na pewno Wydma Umarłych”...

Szmery na korytarzu stały się wyraźniejsze, a wreszcie do drzwi jego pokoju ktoś zastukał.

- Kto tam? - rzucił po francusku, zrywając się z łóżka.

- Proszę otworzyć, monsieur! - usłyszał głos kobiecy za drzwiami. A więc jakaś Francuzka potrzebowała zapewne pomocy.

- Już otwieram! - odpowiedział, wciągając pospiesznie spodnie i buty. Sięgnął po szablę, za pas zatykając pistolet. Dopiero wówczas odsunął rygiel i otworzył drzwi.

W blasku migotliwego płomienia świecy zobaczył młodą kobietę. Stała w bieliźnie, na którą narzuciła podróżną pelerynę. Włosy miała rozpuszczone, bujne, chyba koloru blond, lekko rude... Zresztą trudno było dłużej

przyglądać się nieznajomej w podobnych warunkach. Płomyk świecy nie pozwalał dostrzec szczegółów, ale bez wątpienia młoda dama była bardzo ładna.

- Co się stało? - zapytał ostro. - Napadł ktoś panią? Zobaczyła pani ducha?

- Ktoś... - wyjąkała nieznajoma - ktoś wdarł się do mojego pokoju przez okno. Chyba jeszcze tam jest...

- Czy na pewno? Nie myli się pani? Może to tylko zły sen?

- Nie! - zaprzeczyła stanowczo, poruszając gwałtownie głową i burząc lawinę rdzawych włosów. Gdyby nie tak dramatyczna sytuacja, poprosiłbym ją żeby jeszcze raz potrząsnęła włosami, pomyślał oficer. - Proszę, niech pan pójdzie za mną!...

Poleciał nieznajomej wziąć świecę z jego pokoju i chronić płomień przed przeciągiem. Nie chciał znaleźć się nagle w zupełnych ciemnościach, jeśli rzeczywiście do pokoju rudowłosej damy wdarł się złodziej.

- Mieszka pani po sąsiedzku? No więc dobrze, zajrzemy tam.

Znał nie tylko z opowiadań przyjaciół, ale z własnego doświadczenia podobne alarmy dam nocujących w zajazdach, które potem okazywały się mistyfikacją, zrodzoną z chęci przeżycia „mocnej” przygody. Niekiedy taką damę mogła wystraszyć niezapowiedziana wizyta jej adoratora. Należało więc być ostrożnym, żeby przypadkiem nie wyrządzić komuś krzywdy klingą z damasceńskiej stali, a już na pewno nie wszczynać alarmu w hotelu, zanim nie ujawni się cała prawda.

- Może zaalarmować służbę? - zapytał jeszcze „dla porządku” przed otwarciem drzwi, całkiem już zdecydowany przyjąć rolę „błędneho rycerza - obrońcy dam”, ale gwałtownie zaprzeczyła.

Drzwi nie były zamknięte na rygiel. Otworzył je szeroko. Nikogo nie zobaczył. Na stole paliły się dwie grube świece, albo więc młoda dama do

tej pory nie spała, albo miała tyle zimnej krwi, że po usłyszeniu jakichś szmerów zapaliła światło i dopiero potem zastukała do drzwi oficera. Umebrowanie było tu podobne jak w jego pokoju, ale okno otwarte, a firanka rozsunięta. Powstał przeciąg, kazał więc rudowłosej wejść do środka i zamknąć drzwi. Nie wypuszczając szabli z dłoni zajrzał do szafy, pod łóżko, a wreszcie podszedł do okna, zanurzając głowę w noc, wichurę i deszcz. Zobaczył, że o parapet zaczepiono hak - taki sam, jakiego używa się na morzu w czasie abordażu na okręt nieprzyjaciela. Od haka zwisała w dół gruba, żeglarska lina. Wyglądało na to, że ktoś rzeczywiście próbował niepokoić w nocy młodą damę, jeśli - wciąż tego nie wykluczał - wszystko nie było tylko mistyfikacją. Ale w jakim celu?

Rudowłosa nie robiła wrażenia, że chciałaby z oficerem z sąsiedztwa przeżyć miłosną przygodę.

Odczepił hak i razem z liną zrzucił w dół. Stuk zagłuszył wiatr i ulewa. Zamknął okno. Napotkał pytający wzrok damy.

- Zasnęła pani przy otwartym oknie, albo było źle zamknięte i otworzył je przeciąg. Nie ma śladów na parapecie, więc chyba obudził panią stuk, kiedy hak zatrzymał się na parapecie. Nie gasiła pani świec?

- Nigdy nie gaszę, jeśli nocuję w zajeździe.

- Kiedyś może się to źle skończyć. Słyszała pani zapewne o pożarach wywołanych przez przewróconą świecę...

- Słyszałam, ale to silniejsze ode mnie. Lękam się ciemności.

- Wszyscy lękamy się ciemności, proszę pani. Nawet na wojnie. Nic pani nie zginęło?

- Chyba nic... - rozejrzała się dookoła. - Zapewne było tak, jak pan powiedział. Zbudził mnie stuk zarzuconego na parapet haka.

- Zawiadomić służbę?

- Nie... To już się na pewno nie powtórzy. Dziękuję panu za pomoc.

- Chyba ma pani rację. Po moim wyjściu proszę zaryglować drzwi, zgasić świece i pójść do łóżka. Radzę nikomu nie otwierać, gdyby stukał i żądał wpuszczenia do środka, podając się nawet za nadzwyczajnego wysłannika cesarza - zażartował.

Uśmiechnęła się. W ogóle nie wydawała się już tak zaniepokojona, jak wówczas, gdy otworzył jej drzwi do swojego pokoju. Chociaż nawet wówczas nie sprawiała wrażenia osoby lękającej się o swoje życie.

- Zrobię tak, jak pan mi radzi. Jestem już spokojna. Dziękuję panu...

- Mam jeszcze jedno pytanie. Może będzie to wyglądać na przesadną ciekawość, ale to pani uczyniła mnie współodpowiedzialnym za swoje bezpieczeństwo. Podróżuje pani sama?

- Ach, nie! W pokoju obok śpi moja ciotka. Jest bardzo nerwowa. Gdybyśmy ją zbudzili i opowiedzieli, co tu się stało, pewnie potrzebne byłyby sole trzeźwiące. Lepiej więc sama powiem jej jutro i chyba bardzo oględnie. Potem porozmawiam z zarządzającą zajazdem i dozorcą. Pozostaję pod opieką ciotki, ale prawdę mówiąc to właśnie ja muszę często sprawować nad nią opiekę.

- Jest pani bardzo dzielna. Pani niepokój już chyba minął, prawda?

- To pańska zasługa, panie...

- Nazywam się Wolski. Kapitan wojsk polskich Księstwa Warszawskiego, Rafał Wolski. A pani, jeśli wolno spytać? Nazywam panią madame, ale może powinienem mówić mademoiselle?

- Zostańmy przy madame, choć moja sytuacja rodzinna jest dość skomplikowana. Nazywam się Luiza d'Ambert.

- Oczywiście jest pani Francuzką.

- Pochodzę z Normandii, a tam bywa wiele rodzin, których korzenie sięgają w różne strony, nawet do Anglii i Flandrii. Tę krzyżówkę mojej krwi podobno można odnaleźć w moim akcencie. Zauważyłam, że pan tak-

że mówi po francusku z obcym akcentem, zagadkę tę już pan wyjaśnił. Jeszcze raz panu dziękuję...

- Rzeczywiście, już pora powiedzieć sobie nawzajem „dobranoc”. Stoi pani boso, a ja przeciągam tę rozmowę. A więc życzę spokojnej nocy, madame!

Skłonił się, zabrał z jej rąk swoją świecę i wycofał się na korytarz. Usłyszał, jak rygluje drzwi. Wracając do siebie, na chwilę rozejrzał się po korytarzu: był pusty i mroczny. Jeśli był tu jeszcze ktoś w pokojach obok, to chyba przewracał się właśnie na drugi bok. Wszedł do swojej komnaty, zamknął drzwi na rygiel, szablę wsunął do pochwy, pistolet położył na stole. Ściągnął buty i spodnie, wciąż myśląc o tajemniczej rudowłosej. Była to istotnie próba napadu czy tylko mistyfikacja? Ale w jakim celu?

Zdmuchnął świecę i położył się do łóżka.

Obudził się, kiedy dniało. Deszcz przestał padać, a wiatr także gdzieś przepadł, jakby wszystkie odgłosy za oknem przypisane były wyłącznie do tej nocy i łączyły się z jej nastrojem. Cała nocna przygoda przedstawiała się z perspektywy poranka także mniej dramatycznie, raczej groteskowo. Nie przyśniło mu się przypadkiem to wszystko?

Nagle uświadomił sobie, że w jego pokoju zaszły jakieś zmiany. Wstał z łóżka i rozejrzał się. Szabla i pistolet spoczywały tam, gdzie je wieczorem zostawił. Buty, spodnie, mundur, wszystko było na miejscu. Jego kuferek podróżny stał tam, gdzie zostawił go po wprowadzeniu się do zajazdu. Co więc było przyczyną jego wrażenia, że pokój wygląda inaczej? Raptem zrozumiał..

Brakowało wielkiej, żółtej koperty i rozrzuconych dokumentów, spadku po zamordowanym kapitanie Kosseckim. Przecież nikogo tu w nocy nie było. Nie znalazł żadnego tajnego wejścia, okno było całą noc zamknięte. Czy żółta koperta i dokumenty leżały, kiedy wrócił z pokoju rudowłosej damy? Nie pamiętał. Nie zwrócił uwagi. Przed oczami miał wciąż aureolę miedzianych włosów Luizy d’Ambert. A jeśli cała ta mistyfikacja miała

tylko jeden cel: wyciągnięcie go z pokoju, aby tym swobodniej skraść kopertę i papiery?

Szybko ubrał się i wyszedł na korytarz. Zastukał energicznie do sąsiednich drzwi, za którymi miała spać pani Luiza d'Ambert. Zastanowił się, co znaczyło to d'Ambert, nazwisko jej męża czy jej własne, rodowe? Nie było to jednak najważniejsze, chciał odzyskać dokumenty! Mimo powtórnego kołatania, nikt mu nie odpowiadał. Jeśli rudowłosa była w pokoju, zgodnie z jego zaleceniem nie odzywała się. A jeśli nie było tam rzeczywiście nikogo?

Próba obudzenia ekscentrycznej ciotki, śpiącej podobno w kolejnej komnacie, także nie dała rezultatu.

Wrócił do swego pokoju, dopiero teraz ogolił się, umył i wystrojony w swój nowy mundur, z szablą u boku, zeszedł na parter do gospody, aby zjeść śniadanie. Po drodze spotkał pokojówkę, która zapewniła go, że na całym piętrze był tej nocy jedynym gościem. Aby go przekonać, wróciła z nim razem i otworzyła kluczem dwa sąsiednie pokoje. Były puste, łóżka pięknie zasłane, wieszaki w szafach bez żadnych sukien i peleryn...

- Czy pan dobrze spał tej nocy, monsieur? - pytała pokojówka, szelmowsko się do niego uśmiechając.

Nie odpowiedział, dał pokojówce napiwek za grzeczność otworzenia drzwi, potem jeszcze w księdze hotelowej przekonał się, że nie wpisano tam nigdzie nazwiska d'Ambert. Nie chciał być śmieszny, nie zgłosił więc kradzieży, ale nie powiedział również nikomu, że dwie świece tkwiące w podwójnym lichtarzu w pokoju obok, były do połowy wypalone, a przecież zasadą zajazdu „Pod Trzema Maurami” było, aby każdy nowy gość otrzymywał komnatę z nowymi świecami, miały one bowiem osobną pozycję w rachunku.

Bo też nie był to sen.

Może więc zaczynała się w jego życiu nowa niezwykła przygoda? Ale przekroczył już barierę wieku, kiedy marzy się, aby życie stanowiło łańcuch przygód. Musiał zacząć uważać, aby nowa przygoda nie była równocześnie ostatnią w jego życiu...

3.

Kapitan Rafał Wolski stawił się w sztabie polskiej brygady o umówionej porze. Miał zameldować się u generała Grabowskiego, a następnie razem z generałem, zapewne jego powozem, udać się do francuskiego gubernatora Gdańska. Generała jednak nie zastał, natomiast w sztabie odczuł atmosferę dziwnego podenerwowania, wszędzie wbiegali i wybiegali oficerowie łącznikowi, a dyskusje słychać było aż na korytarzu. Myślałby kto, że stało się coś nadzwyczajnego, na przykład Anglicy wylądowali pod Wisłoujściem! Na tym tle zaskakiwał spokój adiutantury, ale to już było osobistą zasługą kapitana Sokolnickiego, który w najbardziej gorączkowej atmosferze nie tracił zimnej krwi i rozwagi, rozładowując napięcia i gasząc lokalne pożary. To właśnie Sokolnicki wręczył wczoraj Wolskiemu tę, fatalną żółtą kopertę ze spuścizną po kapitanie Kosseckim. Wolski postanowił nikomu, w każdym razie ani generałowi, ani jego adiutantowi nie meldować o stracie, licząc, że może jeszcze uda mu się trafić na ślad tajemniczej damy z Normandii i kopertę odzyskać.

Mimo że poznali się zaledwie wczoraj, między Sokolnickim a Wolskim pawiązała się łatwo nić wzajemnej sympatii i gdyby Wolski pozostał dłużej w Gdańsku, niewątpliwie ta sympatia mogłaby zamienić się w przyjaźń.

- Niech pan usiądzie, kapitanie, nieobecność pana generała może przedłużyć się - poinformował przybysza adiutant.

- U nas stale dzieje się coś nieprzewidzianego, ale czy zna pan taki garnizon, w którym życie toczyłoby się bez nadzwyczajnych zdarzeń? Generał pamiętał o panu i kazał mi zatrzymać pana w adiutanturze. Wizyta u gubernatora nie została odwołana, ale przełożona na późniejszą porę. Pan gubernator chciał z panem kapitanem rozmawiać w czasie małego przyjęcia połączonego z wyjazdem do Wisłoujścia. To typowe towarzyskie spotkania, w których udział bierze elita garnizonu, władz miejskich, urzędników francuskich i obcych rezydentów, oczywiście z żonami i córkami...

- Nie rozumiem - zdziwił się Wolski.. - Byłem pewny, że gubernator chce, abym został mu przedstawiony ze względu na jego zainteresowania Helem i tamtejszymi stosunkami.

- Ależ tak. Wszystko to prawda. Ale bywa tak, że o ważnych sprawach mówi się tu na tle orkiestry grającej menueta lub kadryla, w jakimś zacisznym miejscu, jakby na marginesie spotkania towarzyskiego.

- Trochę to dziwne obyczaje.

- Nie, kapitanie Wolski, powszechnie przyjęte. Na balu wydawanym w pałacu gubernatora załatwia się różne ważne sprawy, a służy temu okoliczność, że wszelkie ważne osoby są niejako „pod ręką”. Musi pan pogodzić się z tym, że stanowi pan swoistą atrakcję. Niewielu wróciło do Europy z nieszczęsnej armii Leclerca, a jeszcze mniej zameldowało się do służby.

- Chyba rzeczywiście będę musiał pogodzić się z tym, że jakiś czas będę obiektem zainteresowań jak jakieś egzotyczne zwierzę.

- To nie tak, kapitanie. Powracający z San Domingo, w dodatku określoną drogą, przez porty zbuntowanych kolonii angielskich, to jakby człowiek zmartwychwstały. Otrzymaliśmy dziś ze sztabu pismo, że sam książę Józef

Poniatowski wystąpił do ministerstwa wojny w Paryżu o potwierdzenie pańskiego awansu na majora. Nie jest to objęte tajemnicą, mogę więc panu tę miłą wiadomość zakomunikować.

Tę pogawędkę przerwało wejście jakiegoś wyższego oficera sztabu, dopytującego się o generała Grabowskiego. Usłyszawszy, że generała nie ma, zamruczał coś pod nosem, z czego Wolski zrozumiał że mówił „... takie, panie bracie, sprawy, a jego nie ma”. Po wyjściu oficera Wolski przeprosił adiutanta za swoją ciekawość, ale do zadania takiego pytania ośmieliła go dobra komitywa, jaka się między nimi nawiązała.

- Panie kapitanie Sokolnicki, naprawdę wybacz mi pan to pytanie i nie odpowiadaj, jeśli to sekret wojskowy. Co się tu dziś wydarzyło?...

Na twarzy Sokolnickiego widać było wahanie. Chyba chodziło o sprawy nie nadające się do mówienia p nich ludziom postronnym, ale czy Wolski był kimś „postronnym”?

- Powiem panu, bo zakazu mówienia o tym oficerom garnizonu nikt mi nie wydawał, a przecież jest pan od dziś kimś z nas. Mam tu, na biurku, rozkaz czyniący pana dowódcą garnizonu wojsk Księstwa Warszawskiego na półwyspie Hel, złożonego z plutonu dziesiątego pułku piechoty. Rozkaz podpisany przez szefa brygady i dowódcę pułku. Właściwie - z chwilą wręczenia panu tej nominacji - będzie pan musiał znać całą prawdę ó sytuacji w garnizonie polskim w Gdańsku, bo to i pana dotyczy...

- Dużo słów, kapitanie, ale dalej nic nie wiem.

- Grozi nam tumult w garnizonie, kapitanie Wolski.

- Tumult?... - zdziwił się i przeraził równocześnie Wolski.

- Tumult? - powtórzył. - Na Boga, co to znaczy?

- Gotowało się tu jeszcze w czasie kampanii gdańskiej. Nie było tu pana, nie widział pan tej nędzy, która była udziałem żołnierza polskiego. Po zwycięskiej kampanii galicyjskiej w ubiegłym roku, szlachta i mieszczenie kiesą potrzęsneli i zaopatrzenie się poprawiło, ale na krótko. Bieda w wojsku, ot, co! Jednodniowe porcje na trzy dni starczyć muszą, gdy żołnierz idzie na wartę, dają mu najlepsze buty z całego plutonu, żeby wstydu nie przynosił, żołnierze i oficerowie pozostają bez żołdu, kadra żyje na kredyt u gdańskich mieszczan. Żle jest, kapitanie.

- A gdyby dziś, zaraz na bój iść trzeba?

- To żołnierz pójdzie i boso, i bez patronów, na bagnety. Zawsze tak robił. Ale dziś nie o bój chodzi, lecz o życie garnizonowe, o wstyd wobec mieszczaństwa gdańskiego tak ubogo prezentować się naszym wojakom, o ciężkie prace fortyfikacyjne, które żołnierz przeprowadza bez należytego odzienia i ludzkiej strawy.

- A co na to nasz generał?

- Co na to generał? Zaraz się pewnie dowiemy. Słyszę na korytarzu jego głos. Już od rana wie o wszystkim. W dziesiątym pułku, do którego ma pan przydział, nie jest źle, ale w jedenastym aż wrze! A jeśli jest tak źle w jedenastym, może to jak zaraza przejść na dziesiąty! Zna pan dowódcę swego pułku majora Wierzbickiego?

- Tak. Wczoraj się u niego meldowałem.

- Słyszę, że jest z generałem. - Sokolnicki wstał i uchylił drzwi. Na korytarzu słyhać było ożywione głosy. - Jest także pułkownik Chlebowski, dowódca jedenastego pułku. To zupełnie nowy oficer, który zastąpił pułkownika Mielżyńskiego. Sami nowi ludzie. Pański dowódca, major Wierzbicki, też zmienił w tych dniach poprzedniego komendanta. No, idą tutaj.

Sokolnicki pozostawił drzwi otwarte i wrócił za biurko, ale nie siadał, prężąc się słuźbiście. Wolski także poderwał się, przyjmując postawę na baczność. Wszedł generał Grabowski, ponury, zamyślony, jeszcze w pelerynie, którą odebrał dopiero adiutant. Za nim weszli dowódcy dziesiątego i jedenastego pułku, szef artylerii stacjonującej w twierdzy Wisłoujścia, płatnik brygady, główny kwatermistrz. Wszyscy przeszli do gabinetu, a za nim i kapitan Sokolnicki. Wolski pozostał na chwilę sam, ale zaraz zjawił się adiutant, wzywając nowego komendanta Helu. Generał chciał widocznie, aby Wolski już na wstępie swej słuźby zorientował się w sytuacji garnizonu, być może dlatego, że sprawy dotyczyły także jego żołnierzy, nad którymi miał jeszcze tego dnia objąć komendę.

Grabowski zajął miejsce za czarnym mahoniowym stołem

- typowym gdańskim meblem, wielkim i masywnym, pasującym do gdańskiego fotela, przypominającego tron, z dwoma lwami trzymającymi szarfę z napisem „Nec temere, nec timide”. Oficerowie stanęli przed stołem, naprzeciw generała. Chwilę panowała cisza, wreszcie głos zabrał dowódca brygady.

- Wysmażam tutaj, panowie-oficerowie, odpowiednio przyprawiony kotlet dla władz Księstwa Warszawskiego. Zobaczymy, jak ten kotlet przełkną i jak im będzie smakował - mówiąc to wskazał na rozłożony na biurku zapisany arkusz papieru. - Jest to pismo, kierowane osobiście do dyrektora od spraw wojennych w Komisji Rządzącej Księstwa, do generała dywizji jego ekscelencji księcia Józefa Poniatowskiego, ale za jego pośrednictwem do wszystkich, którzy rządzą krajem i decydują o jego wojsku. W tym piśmie piszę o wszystkim co nas boli, co nie pozwala nam godnie wykonywać naszej żołnierskiej służby, a co nie zależy od nas. Zapraszam naszego wodza, jego ekscelencję księcia Józefa tu, do Gdańska, aby na własne oczy obejrzał naszą pozycję i przekonał się, że w niczym nie przesadzam. Donoszę mu o całej nędzy naszego wojska, pełniącego służbę na najdalej na północ wysuniętym polskim bastionie. Jestem przekonany, że pismo to odniesie skutek i że zobaczymy księcia w murach Gdańska. Ale to nie załatwia nam sytuacji wybuchowej, jaka opanowała garnizon. Pan pułkownik Chlebowski melduje mi, że w jego regimencie żołnierze po apelu złożyli w koźły karabiny i czekają. Na co czekają? Pułkownik obawia się, że jeżeli padnie rozkaz do zbiórki i do wymarszu na ćwiczenia, żołnierze tego rozkazu nie spełnią, a to oznaczać będzie bunt ze wszystkimi późniejszymi konsekwencjami, z wzięciem winnych w kajdany, z rozstrzelaniem, a do tego nam dopuścić nie wolno. Zaraz, natychmiast ma zostać przywrócony porządek. Nie będziemy żołnierza kupować obietnicami, on musi sam zrozumieć, że tak nie postępuje polski żołnierz, że tego czynić mu nie wolno. I dopiero wówczas, gdy do garnizonu wróci spokój dyscyplina, otworzymy mobilizacyjne magazyny, a płatnik sięgnie do rezerwy kasy garnizonowej. Czy gdzieś w pododdziałach jakiś żołnierz odmówił wykonania rozkazu?

- Jeszcze nie - odpowiedział dowódca jedenastego pułku, w którym sytuacja była najgorsza. - Jeszcze nie, panie generale, ale...

- Niech pan nie powtarza więcej słowa „jeszcze”. Po prostu, nikt w brygadzie nie odmówił wykonania rozkazu.

- Jeśli pan generał pozwoli... - chciał mówić dalej pułkownik Chlebowski, ale generał przerwał.

- Czy zna pan swoich żołnierzy, pułkowniku?

- Jestem dowódcą pułku dopiero od tygodnia, panie generale.

- To rzeczywiście mało. Pojadę więc z panem do jedenastego pułku. Mnie przecież znają. I coś jeszcze - panowie oficerowie, jeśli żołnierz odmówiłby wykonania rozkazów wydanych przez jego przełożonych, to na pewno hańba dla takiego żołnierza. Ale moim zdaniem to również dyskwalifikacja przełożonego. Nie wiem, czy trzeba panom przypominać najtrudniejsze chwile naszego wojska, kiedy głodny i bosy żołnierz szedł do ataku na nieprzyjaciela, jeśli taki miał rozkaz. Tylko że znam przypadki, kiedy prowadząc do ataku bosego żołnierza, oficerowie także zdejmowali buty. Trzeba znać swojego żołnierza, panowie oficerowie! Nie namawiam was do zdejmowania butów, ale rozważcie to sobie dobrze, dziś jeszcze wyprowadzicie żołnierzy na normalne ćwiczenia albo nie jesteście warci, aby tymi żołnierzami dowodzić. Proszę wracać do swoich jednostek, panowie!

Poleciał przygotować swój powóz. Wziął z sobą adiutanta

Wolskiego, pewno, aby go otrząsać z rzeczywistością służby nad Bałtykiem Pułkownik Chlebowski towarzyszy! im konno, wraz ze swym adiutantem i dwoma wołyżerami, chyba dla asysty. W czasie drogi Grabowski nie rozmawiał, był skupiony, jakby nieobecny. Powóz zatrzymać kazał na ulicy, przed koszarami. Gdy wysiadał, jakby coś sobie przypominając, zwrócił się nagle do Sokolnickiego:

- A jak się to wszystko dobrze skończy i regiment wymaszeruje na ćwiczenia, niech powóz pojedzie za wojskiem.

Wysiadł, nic nie rozkazując Wolskiemu, który w tej sytuacji podążył za dowódcą brygady w roli jego asysty. W bramie sztyldwach zaprezent-

wał broń, generał odsalutował. Szli w stronę placu musztry, gdy dołączył do nich pułkownik Chlebowski.

— Więc uważa pan, że żołnierze jeszcze pana nie znają? - spytał nagle, powtarzając właściwie rozmowę w swoim gabinecie.

- Tak jest, generale. Jestem za krótko ich dowódcą - odpowiedział Chlebowski.

- No, to będzie dziś taka okazja. Po prostu macie inspekcję generała i to wszystko. Z tą różnicą, że to ja dziś pierwszy komenderuję. Dowódcy czynią czasem takie wybryki, w niczym to ani panu, ani komendantowi placu nie ubliża.

- Słucham, panie generale.

Gdy weszli na plac apelowy, sytuacja nie zmieniła się

- wszystko wyglądało tak, jak informowały meldunki: broń ustawiona w kozły, na karabinach tak zwane wówczas „lederwerki” - pasy z ładownicami. Żołnierze stali lub siedzieli na ziemi, wielu kurzyło modne wówczas fajeczki, które spopularyzowali w armii grenadierzy gwardii cesarskiej. Na widok generała przeszedł szmer. Ci, którzy siedzieli, wstali. Zaczęto gasić i wystukiwać tytoń z fajczek. Mówiono: „patrzcie, sam królewicz się zjawiał”, nawiązując do monarszego pochodzenia Grabowskiego, ale wypowiedano to z sympatią, szef brygady był bowiem lubiany przez podwładnych, a w sytuacjach konfliktowych brał często stronę żołnierzy. W towarzyszącym generałowi nie znanym nikomu kapitanie, dopatrywano się „specjalnego kuriera ze sztabu księcia Józefa”.

- Pododdziały zbiórkaa! - wrzasnął na całe gardło Grabowski, - Do apelu!

Szmary umilkły, rozległ się tupot setek nóg, żołnierze pospiesznie zakładali pasy z ładownicami, rozbierali kozły z bronią. Z budynku obok wybiegli oficerowie, zajmując miejsca przy swych pododdziałach, przekazując

lokalne komendy, sprawiając w szyku bataliony, kompanie i plutony, wbiegli na plac dobosze i trębacze.

- Sygnaliści i dobosze, występuj! - znów podał donośnym głosem Grabowski, po czym, zwracając komendę pułkownikowi, polecił sprawić oddziały do wymarszu główną bramą. Trębacze mają podać sygnał alarmowy, a po wyjściu na miasto sygnał paradny. - Chcę, żeby miasto słyszało, że żołnierz polski maszeruje. Jeśli odpadną któremu podeszwy u butów, niech bije gołą piętą. Dziś jeszcze dostanie z magazynów mobilizacyjnych brygady nowe obuwie. Niech dobosze cały czas podają przyspieszony rytm marsza „na sposób francuski”.

Gdy oddziały przygotowane zostały do wymarszu, generał nerwowo nie wytrzymał, zapomniał, że przekazał już komendę dowódcy pułku, wyszarpnął z pochwy szablę, machnął nią ku bramie i jeszcze raz sam podał rozkaz:

- Jedenasty regiment piechoty Księstwa Warszawskiego na moją komendę: maaarsz!

Idąc teraz na czele pułku z dobytą szablą, mając obok siebie pułkownika Chlebowskiego i kapitana Wolskiego, także z dobytymi z pochew szablami, wyprowadził czoło pododdziałów na ulicę, a następnie w stronę „Błędnika” - ongiś pięknego parku angielskiego, z którego po walkach 1807 pozostały nędzne resztki. Miejsca zdewastowane zamieniono na plac, nazwany imieniem Napoleona. Tu właśnie cesarz odbierał defiladę po zdobyciu Gdańska. Żołnierze byli pewni, że generał prowadzi ich na to właśnie miejsce, ale mylili się. Minęli „Błędnik”, plac, lipową aleję prowadzącą do Wrzeszcza i weszli między kurhany fortów, o które trzy lata temu toczyły się krwawe boje. Tam Grabowski zwrócił znów komendę Chlebowskiemu, polecając zebrać pododdziały na największym placu fortecznym i ustawić czworobok zwrócony ku środkowi - jak na apelu. Sam wszedł w środek tego czworoboku, polecając zebrać w tym miejscu wszystkich oficerów.

Gdy stanęli obok Grabowskiego i dowódcy pułku, generał zwrócił się do wojaków.

- Żołnierze polscy jedenastego regimentu, przypuszczam, że wszyscy mnie znacie, ja także znam was dobrze. Macie od niedawna nowego dowódcę, sądzę, że godnego takich żołnierzy. Służba w wojsku opiera się na posłuszeństwie. Wy musicie być posłuszni swoim przełożonym, a my wszyscy posłuszni naszemu naczelnemu dowództwu i Komisji Rządzącej Księstwa Warszawskiego. Posłuszeństwo i sumienne wykonywanie rozkazów to nasz i wasz święty obowiązek. Bez tego nie ma armii i nie ma niepodległości, nie ma państwa. Wiem, że brakuje wam butów, że mundury spadają z waszych grzbietów, że w kotłach za dużo wody, a za mało mięsa. Dziś jeszcze odejdzie specjalny kurier z pismem do jego ekscelencji księcia Józefa, naszego wodza. Piszę mu o tym i zapraszam do Gdańska i to jak najprędzej. Ale oto dowiedziałem się, że dziś rano w waszym sławnym regimentzie pogorszyły się nastroje i zapachniało buntem. Nie chodziło wam o jakieś sprawy naszej ojczyzny, ale o te przeklęte buty, zaleganie z żołdem bądź dziurawe kapoty. Jeśli to prawda, jeśli tak rozumiecie służbę dla ojczyzny, jeśli chcecie stać się pośmiewiskiem innych nacji, których oddziały stacjonują w Gdańsku, hańbi to całą kadrę oficerską, która wami dowodzi. A jeśli tak jest, wasi oficerowie, a ja razem z nimi nie jesteśmy wszyscy warci naszej służby, nie jesteśmy godni dalej żyć. Jeśli tak, załatwmy tę sprawę tu, zaraz, po męsku. Jedenasty regiment piechoty - na moją komendę - nabijanie dowolne ostrymi ładunkami - naabij broń!

Żołnierze zaskoczeni tą sceną, przemówieniem, całą sytuacją wykonali rozkaz.

- Baaataliony - tuy! - był to rozkaz wydany po francusku, ale według obowiązującego regulaminu. Oznaczał - „gotuj broń”. - Celuj w waszych wszystkich oficerów. Celuj w generała. Oddając tę salwę, uwolnicie nas, oficerów, od dowodzenia niezdyscyplinowanym, niewytrzymałym żołnierzem, który hańbi wojsko polskie i hańbi swych dowódców. . Zhańbieni dowódcy nie są warci żyć. Bataliony - pal!

Nie padł ani jeden strzał, choć napięcie było tak wielkie, że ktoś z tej masy żołnierzy,, trzymających karabiny w dłoniach, mógł pociągnąć za spust. Oddziały stały w pozycji strzeleckiej, z lufami wymierzonymi w piersi swych oficerów.

- Powtarzam rozkaz: - cel w oficerów. Baaataliony pal!

Znów nie padł ani jeden strzał...

- Dlaczego okazujecie nieposłuszeństwo? Bunt to jest bunt, na początku wykańcza się swych dowódców! - rozdarł się Grabowski. Był tak zdenerwowany, że z dobytą szablą podbiegł do szeregu, gotów siec. - Cóż to za wojsko? Wirtemberskie? Badeńskie? Bawarskie? Saskie? Po jakiemu mam wydawać rozkazy?!

Wtedy jeden ze starych wiarusów nie wytrzymał i ze szlochem rzucił się do nóg dowódcy, wołając:

- Wasza miłość, nie rań żołnierskich serc! Cofnij rozkaz! Polski żołnierz nie przeciw swym dowódcom się burzy, ale rani go boleśnie, że francuski i saski żołnierz z jego biedy się śmieje, że bawarski i wirtemberski się śmieje. Rozkaz twój na placu wykonaliśmy i każdy inny wykonamy, ale strzelać do oficerów własnych, ty wiesz dobrze, generale, nie będziemy! Błagamy cię podaj komendę „od wykonania rozkazu odstąpić!”

Tumult się uczynił, żołnierze podbiegli do swych oficerów, zaklinając się, że każdy inny rozkaz wykonają, ale nie ten. Oficerowie byli zmieszani, nie spodziewali się takiego finału ich marszu z koszar. Grabowski natomiast powoli uspokajał się, przestał wymachiwać szablą, wsunął ją wreszcie do pochwy i poprawił kapelusz...

- Baaataliony jedenastego pułku! - podał komendę pełnym głosem. - Do szeregów wróć! Do nogi broń!... - Ale pod koniec głos mu się załamał: - Spocznij...

Teraz dopiero wybuchł harmider. Ktoś wzniosł okrzyk na cześć dowódcy pułku, ktoś na cześć polskiego wojska.

- Panie pułkowniku, teraz pana kolej. Więcej już się panu do dowodzenia pułkiem nie wtrączę. Wybacz mi pan, jeśli trochę mnie poniosło, ale nie mogłem sprawy zakończyć tak, jakbym nie wiedział, co tu się gotowało...

Potem pułkownik Chlebowski rozwiązał czworobok

sprawił regiment jak do defilady. Istotnie przed Grabowskim zaczęły teraz maszerować kolejno kompanie w rytm werbli i przy akompaniamencie trąbek sygnałowych, który to zwyczaj przejęto od Francuzów. Gdy przeszły oddziały, Grabowski pożegnał się ze sztabem pułku i wsiadł do powozu. Wkrótce powóz dogonił maszerujące oddziały, a mijając czoło każdej kompanii, dowódca brygady przykładął dłoń do kapelusza, salutując uśmiechnięte do niego gęby wiarusów. Dobosze walili w bębny, a wojsko w rytm marsza podjęło ulubioną pieśń legionów

...Jeszcze Polska nie umarła

Póki my żyjemy,

Co nam obca moc wydarła -

Szablą odbierzemy...

Tyłem do kierunku jazdy, na ławeczce naprzeciw generała siedział adiutant Sokolnicki i kapitan Wolski. Grabowski jeszcze salutował i uśmiechał się, ale twarz miał białą jak papier. Kiedy minęli drogę wśród fortów i skierowali się ku Wyżynnej Bramie, ścigała ich pieśń.

...Mówi ojciec do swej Basi

Cały zapłakany –

Słuchaj jeno - pono nasi

Biją w tarabany...

Wkrótce powóz wjechał w ciasną zabudowę ulicy Długiej i śpiewu ani tarabanów nie było już słycać. Minęli ratusz, Długi Targ, potem Zieloną Bramę, Zielony Most i wjechali na Dłgie Ogrody...

- Nie kłamałem. Wierzę w tego żołnierza - powiedział nagle generał, ni to do siebie, ni to do siedzących w powozie oficerów. - Nie ma on godnego przeciwnika w całej Europie. Potrafi bić się do końca, nie złamie danego słowa, nie pokaże pleców nieprzyjacielowi, a jednak ma potężnego przeciwnika, którego obawiać się zaczynam poważnie. Ten wróg to nasza bieda po rozbiorach, konfederacjach i powstaniach oraz cały stan urzędniczy naszego kraju, wszelkie kwatermistrzostwa, przemądrzali płatnicy i rachmistrze. Fonctionnaires, kochani, właśnie urzędnicy, oto najgorsi wrogowie żołnierza! Zabrakło dziś skóry na buty, sukna na mundury i pieniędzy na żołd, a jeśli zabraknie kul, prochu i bagnetów?...

Minęli kościół pod wezwaniem Świętej Barbary, patronki żeglarzy, minęli kordegarde, okrążyli gazon i zatrzymali się przed głównym wejściem do pałacu, nad którym powiewała trójkolorowa flaga republiki ze złotym cesarskim „N”, otoczonym laurowym wieńcem... Tu urzędował gubernator Jean Rapp.

4.

Jego ekscelencja gubernator cesarstwa Francji, pan generał Jean Rapp był w rzeczywistości wielkorządcą tego skrawka Polski, z którego Napoleon uczynił główną bazę francuską nad Morzem Bałtyckim, nadając mu niezbyt klarowny prawnie status Wolnego Miasta. Był ponadto Rapp pupilem cesarza, jego wiernym sługą i takim pragnął pozostać do końca dni swoich lub cesarza.

Gdy powóz dowódcy polskiej brygady zajechał pod pałac, stały tam już w pobliżu inne pojazdy, między nimi karoca rezydenta Francji pana Massiasa, rezydenta Prus i Rosji, a także powóz hrabiny Sierakowskiej z Sopotu.

- Tego się spodziewałem - zamruczał generał. - Znów wielka feta towarzyska, a żołnierz bez butów chodzi. Wiem, że gubernator zamierzał udać się z licznym towarzystwem do twierdzy w Wisłoujściu i tam dopiero życzył sobie, aby mu przedstawiono nowego komendanta Helu. Gubernator kocha teatr i zapewne wymarzył sobie, że pokaże z wieży Wisłoujścia daleki pas lądu i powie: „o, właśnie tam, moi państwo, leży Hel”. Chyba nigdy tam nie był. Nie znosi podróży morskich. Ale był z niego kiedyś dobry żołnierz, bił się pod Marengo i Austerlitz...

Za nimi podjeżdżały już nowe powozy i karety. Zapowiadało się rzeczywiście towarzyskie spotkanie, a może nawet wyjazdowa biesiada na trawie, z muzyką, tańcami i znakomitymi trunkami? Takie spotkania zdarzały się tu często...

- Przepraszam, panie generale, czy wolno mi o coś zapytać? - odezwał się nagle Wolski, gdy już wysiedli z powozu.

- Pytaj pan, kapitanie. Zdaje się, że nie tak wyobrażał pan sobie audiencję u gubernatora, zgadłem?

- Tak jest, panie generale.

- No cóż, panie Wolski. Francuzi współcześni mawiają tak „Nos peres ont pris la bastillej et nous prendrons le cafe” - „nasi ojcowie zdobywali Bastylę, a my napijemy się kawy”. To wszystko dekoracja, kapitanie. Mówiłem już panu, że Rapp to dzielny wojak, mówią nawet, że przebiegły polityk, ale ubóstwia teatr.

Westybul zapełniał się gośćmi, pięknie wystrojeni lokaje, jakich nie powstydzilby się pałac w Fontainebleu, roznosili trunki i wyśmienite ciasteczka pieczone przez francuskiego kucharza z Alzacji, mistrza Augusta. Był to dopiero wstęp przed właściwym spotkaniem, które ostatnio przyjęły się wśród elity pod angielskim mianem „pikniku”, organizowanego pod gołym niebem-Czyżby rzeczywiście planowano wyjazd do Wisłoujścia, po moście wzniesionym niedawno przez saperów? Wolski liczył na wizytę kameralną, raczej na coś w rodzaju wojskowej odprawy, sytuacja obecna zaczynała go krępować. Nie znał życia współczesnych salonów Europy, jego przygody, jeżeli przebiegały przez pałace, zawsze były pełne niebezpieczeństw i huku wystrzałów. Na całe szczęście, po oddaleniu się generała Grabowskiego, przy Wolskim pozostał adiutant Sokolnicki. Zauważył zmieszanie kolegi aby je rozładować, informował go o personach wstępujących na posadzki westybulu. Wśród oficerów polskich, francuskich i sojusznicznych znalazł się tu kontradmirał Baste, dowodzący do niedawna korsarską flotyllą bazującą w Gdańsku, oraz jego nowy następca - colonel Tinel, dowódca brygantyny „L’Intrepide”. Przybył oczywiście rezydent cesarstwa Nicolas Massias, otoczony tłumem pochlebców, francuski komisarz wojskowy Momey, szef francuskiego sztabu generał d’Hericourt, rezydent pruski major von Vogesach, rezydent imperium Rosji generał-major Trefur, burmistrz Gdańska - Gralath, przewodniczący senatu - Hufeland, bogaty patrycjusz Eggart, w którego kamienicy przy Długim Targu zamieszkiwał zdobywca Gdańska marszałek Lefebvre... Rzadko spotykało się tu oficerów rangi niższej od majora - chyba że byli to adiutanci, oficerowie łącznikowi i kanceliści.

Kiedy Sokolnicki, zaniepokojony, że „zgubił” swego dowódcę, przeprosił kolegę i zniknął w tłumie, Wolski został sam, dziękując Bogu, że w Marsylii udało mu się uszyć nowy, piękny mundur, a także nabyć swą oryginalną mamelucką szablę. Był śniady, nosił gęste faworyty, co było w modzie, nosili je nawet Murat, Ney i książę Józef. Był zgrabny, choć nieco krepy i urodą zwracał uwagę dam. Jeśli więc nie stopniem, to wyglądem dopasował się do „piknikowego” tłumu.

W pewnej chwili zeszywniał, tracąc powoli nabywaną już swobodę i sztukę przystosowania" się do tych niezwykłych dla niego okoliczności. Oto zauważył w tłumie piękną rudowłosą z nocnego spotkania, tajemniczą damę z Normandii - jeśli wierzyć prezentacji - panią Luizę d’Ambert. Ba, ona także go spostrzegła! Fryzurę miała przyprószoną jakimś złotym proszkiem, modnie upiętą, a z miedzią jej włosów kontrastowała seledynowego koloru suknia, uszyta według obowiązujących aktualnie kanonów w „stolicy świata” nad Sekwaną.

Podeszła do niego i pozwoliła ucałować swą dłoń.

- Witaj, mój wybawco! - powitała go w sposób naturalny bez cienia ironii, jakby byli oboje dawnymi, dobrymi znajomymi. - Nie myślę się, sądząc, że to we własnej osobie monsieur kapitan Wolski.

- Nie myli się pani... - stuknął obcasami jak kawalerzysta, któremu zależy na brzuku ostróg. Skłonił głowę. Pierwsze zaskoczenie minęło. - Cieszę się, że znów panią widzę, madame. Dobrze pani spała?

- Znakomicie. Po wizycie pana w mojej komnacie w zajeździe nie nawiedzili mnie już więcej rozbójnicy.

- A jak zdrowie cioci?

Zauważył niedobry blask w jej oczach; nie chciała, aby przypominał jej kłamstwo i zmuszał do nowych. Tamten pojedynek przegrał, jeśli boleje nad tym, niech doprowadzi do kolejnej Rozgrywki z nią i spróbuje wygrać, a nie wypomina jej własnej naiwności.

- Ciocia spała równie znakomicie jak ja.

- Sam to stwierdziłem, stukając dziś rano kolejno do pokoju pani i do pokoju cioci.

- Tak to bywa, kapitanie, że nie wszystkie drzwi otwierają się, gdy do nich stukać.

- Moje otworzyły się jednak natychmiast. Nie była to zabawa, byłem gotów walczyć w pani obronie.

- Cenię sobie to bardzo, nawet jeśli nie udało się panu schwytać tego intruza, który próbował dostać się przez okno do mojego pokoju. To na pana cześć ta cała dzisiejsza feta?

- Na pewno nie, łaskawa pani. Jestem tu w zupełnie innym celu. Jego ekscelencja pan gubernator chciał mnie zobaczyć. Nie wiedziałem, że ma to nastąpić na pikniku...

- Jak słyszę; do żadnej wycieczki nie dojdzie. Za chłodno. Gubernator wciąż zapomina, że Pomorze to nie Alzacja i wiosny nie nastrajają tu do zabawy na trawie. Ostatecznie zdecydowano spotkanie towarzyskie odbyć tu w parku pałacowym, gdzie właśnie służba nakrywa stoły.

- Bardzo mnie pani pocieszyła. Wynika stąd, że może pan gubernator odwoła spotkanie ze mną albo dojdzie do tego spotkania zaraz.

- Dowiedziałam się właśnie, że obejmuje pan dowództwo placówki na Helu. Wie pan o tym, że to właściwie koniec świata? Morze, mewy i wiatr...

- Ja także wróciłem właśnie z innego końca świata.

- Słyszałam. Był pan na San Domingo.

- Wiele pani o mnie słyszała.

- Miły panie kapitanie, bywał pan w różnych stronach, wiele widział, wielu ludzi poznał. Wiem nawet, że świadczyła za panem, jeśli chodzi o

kampanię na San Domingo; sama Paulina księżna Borghese, którą bronił pan na Antylach swoim pistoletem i szablą, gdy pod jej pałac podchodzili powstańcy.

- Wiedziała pani o tym, gdy stukała pani do mojego pokoju ostatniej nocy?

- Nie zadaje się tylu pytań ledwie co poznanej damie, ale wybaczam to panu, było nie było, wstąpił pan na salony prosto z dżungli. To nie złośliwość, panie kapitanie, to nawet sympatia. Lubię pana i chciałam przestrzec, salony są czasem niebezpieczniejsze od dżungli.

- To ostrzeżenie?

- To dobra rada od osoby, która zna tę dżunglę. Od- osoby, która, może wbrew faktom, dobrze panu życzy. Miło mi było pana poznać i spotkać tutaj. Au revoir, monsieur Wolski!

Odwróciła się i wmieszała w tłum gości. W chwilę później zjawił się Sokolnicki. Widział jeszcze moment rozstania swego kolegi z piękną rudowłosą w seledynowej sukni.

- Zaskakujesz mnie pan, kapitanie. Jest pan od dwóch dni w Gdańsku, a znasz pan tu niezwykle piękności...

- Znam i nie znam. Pani d'Ambert, o ile dobrze zapamiętałem jej nazwisko, jeśli to nazwisko prawdziwe. Podoba się panu?

- Jest piękna, ale budzi we mnie pewien lęk.

- Dowiedziałem się właśnie od tej damy, że żadnej wycieczki nie będzie, spotkanie odbędzie się w parku pałacowym i tutaj, w pałacu.

- Dama jest nadzwyczajnie poinformowana. Taka decyzja zapadła przed chwilą, z uwagi na chłód i jakieś kłopoty

z mostami, a przeprawa na promach zajęłaby zbyt wiele czasu. Gubernator wydaje obiad w parku, ale nas obu to nie dotyczy, Mam polecenie,

aby zaraz przyprowadzić pana do gabinetu gubernatora. Jest tam już nasz generał. Po rozmowie ekscelencji z panem mam polecenie mojego dowódcy, aby odwieźć pana na przystań. Chodzi o to, aby jeszcze dziś objął pan dowództwo placówki na półwyspie. Morze trochę się uspokoiło, wiatr wieje pomyślny, nie trzeba więc zwlekać. Idziemy więc, kapitanie. Prezentuje się pan znakomicie, gubernator zaś zwraca uwagę na wygląd swego rozmówcy, nawet na takie szczegóły, jak blask guzików przy mundurze.

- A moje błyszczą? - spytał nie bez ironii Wolski.

Sokolnicki roześmiał się i nic nie odpowiedział. Weszli schodami na piętro, gdzie czekał już adiutant Rappa. Wkrótce oficer z San Domingo meldował się w gabinecie gubernatora, gdzie powitała go kopia portretu cesarza. Obaj generałowie pili czekoladę przy małym okrągłym stoliku. Rapp kontrastował wyglądem z Grabowskim - był szczuplejszy i wyższy, miał pociągłą twarz i rzadkie włosy oraz chłodne spojrzenie. Odwrotność polskiego generała, który miał urodę sarmacką, jowialność biła mu z oblicza, ze spojrzenia, z zaokrąglonych policzków i właściwie z całej postawy! Rapp bardzo chlubił się faktem, że jego podkomendny jest synem królewskim. Grabowski natomiast, choć odnosił się z szacunkiem do gubernatora, nigdy mu nie schlebiał, a niekiedy bezceremonialnie wyrażał inne poglądy i nie szczędził sarkazmu, gdy chodziło o sprawy garnizonu. Mimo że spotykali się często, nie było nawet zadatku na coś w rodzaju przyjaźni. Dziś także nie zamierzał pozostać na snobistycznym obiedzie lub pikniku. Sokolnicki dostał rozkaz, aby po odwiezieniu Wolskiego zaraz wracał po swego generała.

Rapp zawahał się chwilę, czy młodemu stopniem oficerowi ma zezwolić usiąść, ale Grabowski wykonał gest w stronę przybyłego, jakby zapraszał go do stolika. Gubernator nie był pewny, czy było to istotnie zaproszenie, skinął przyzwalająco głową i powiedział:

- Niech pan siądzie, kapitanie, ma pan podobno za sobą daleką drogę, przybywa pan przecież z San Domingo.

- Dziękuję, ekscelencjo. Tak, istotnie, byłem na San Domingo, ale potem jeszcze w innych miejscach na kuli ziemskiej zanim trafiłem do Paryża.

- Podobno jakiś czas należał pan do ochrony księżnej Borghese, wówczas jeszcze madame Leclerc...

- Tak, w tym czasie było bardzo niebezpiecznie na wyspie, ekscelencjo.

- Obejmujesz pan jutro placówkę na półwyspie...

- Jeszcze dziś, ekscelencjo...

- No, jeśli pogoda na to pozwoli. W nocy mieliśmy sztorm, znów zaczyna się chmurzyć. Odwołaliśmy wycieczkę poza miasto, a nawet nie wiem, czy uda się nasze spotkanie w parku pałacowym. Myślałem, że pan zostanie na tańcach, kapitanie. Wszystkie damy chcą tańczyć, to takie modne teraz we Francji, a dobrych tancerzy brak.

- Słabo tańczę, ekscelencjo. Przedtem w Italii, a później na San Domingo nie było wiele okazji do tańca. Nauczyliśmy się spać z szablą w dłoni.

- Tak, wiele o tym słyszeliśmy. A zasady blokady kontynentalnej pan znasz, kapitanie?

- Znam, ekscelencjo. Płynąc do Europy na francuskim okręcie dobrze się z nimi zaznajomiłem. Dwukrotnie ścigali nas Anglicy.

- „Sacres Anglais!” - zaklął gubernator. - „Przekłęci Anglicy!” Żagle ich okrętów nawet z twierdzy w Wisłoujściu obserwujemy. Ciągłe się tu kręca!... Jesteś pan w tym celu na półwyspie, aby razem ze swoim plutonem strzec tam realizacji zasad blokady kontynentalnej. Wiem, że Anglicy nierzadko niepokoją rybaków, nawet ostrzeliwiają brzegi półwyspu. Na szczęście w ochronie praw cesarstwa na Helu pomagają nasi dzielni korsarze, którymi dowodzi obecnie colonel

Tinel. Jeśli nie ma sztormu, co najmniej dwa francuskie okręty patrolują Zatokę Gdańską, zachodząc aż po Sambię. Niestety, blokada naruszana jest stale przez przemytników, a towary angielskie konfiskowane bywają nawet w samym Gdańsku. Część z nich palimy publicznie koło fontanny Neptuna, naprzeciw Dworu Artusa, ale bardziej przydatne magazynujemy na Wyspie Spichrzów lub wysyłamy do Paryża. Tak więc musisz, kapitanie, mieć oczy szeroko otwarte i uszy wyczulone na każdy sygnał. Nie jest pan zwierzchnikiem korsarzy, jeśli wyniknie jakiś konflikt z nimi na Helu - mają swego dowódcę. Ale czasem przyjdzie ci godzić ich spory lub uspokoić temperamenty, gdy zaczną swawolić. Należy więc dbać o prawo, ale nie przesadzać. A więc „pas trop de zele” - jak przestrzegał kiedyś Talleyrand, trzeba znać umiar w surowości stosowania prawa i obowiązku. Rozumiesz mnie, kapitanie Wolski?

- Słucham, ekscelencjo... - odpowiedział oficer, choć wywód gubernatora wydał mu się mglisty i pokrętny.

- O kapitanie Wolskim napisał mi minister wojny, że to człowiek honoru, godny i odważny, ale trochę „gorąca głowa” - wtrącił Grabowski. - Ale chyba właśnie ktoś taki, kto nie będzie się wahał sięgnąć do pistoletu lub szabli, gdy zajdzie taka potrzeba, da sobie radę na Helu. Pańskich korsarzy sądzić on na pewno nie będzie, ale gdy się zanadto rozbrykają, tylko argument siły przemówi im do rozsądku. Poza tym, cóż, pan wie, ekscelencjo, że ja do dziś nie jestem przekonany, że to nieszczęśliwy przypadek zabrał nam z Helu kapitana Kosseckiego.

- Wiem o tym. Sugeruje pan, generale, że mogło to być zabójstwo...

- Coraz bardziej jestem o tym przekonany, ekscelencjo. Ani ja, ani pan nie odwiedziliśmy nigdy Helu. a z tego co do mnie dociera, dużo tam samowoli i dużo tajemnic. I raczej wolałbym, żeby to kapitan Wolski rozwalił łeb jednemu więcej awanturnikowi, niż mielibyśmy wkrótce szukać jego następcy. A co do Anglików, to ich żagle podobno stale są widoczne na horyzoncie. Podobno dwie korwety bazujące na duńskiej wyspie Anholt -

„Seafox” i „Falcon” - stale patrolują w pobliżu naszych wybrzeży i jak dotąd dzielnym korsarzom francuskim nie udało się ich stąd przegonić...

- W każdym razie życzę kapitanowi sukcesów na tym stanowisku - stwierdził Rapp, jakby wycofując się z tematów, które poruszył Grabowski.
- Nie mam wątpliwości, że będą w tej jego służbie różne kłopoty, może wówczas liczyć na naszą pomoc.

I na tym zakończyła się audiencja lub też odprawa u gubernatora. Gdy Wolski wstał, podziękował i odmeldował się, Rapp z namaszczeniem popijał swoją filiżankę czekolady, kto wie czy nie przemyconej do Gdańska z Helu, w efekcie złamania kontynentalnej blokady.

W drodze powrotnej, gdy zajął miejsce obok Sokolnickiego w powozie szefa brygady, adiutant zaprezentował mu kilka istotnych szczegółów walki z kontrabandą.

- Mówi się o tym w Gdańsku, że gubernator ma poważne kłopoty. Część z tego, o czym się mówi, to fakty stwierdzone, a część to plotki. Lepiej, żeby pan o tym wiedział. W Paryżu oskarżono go o to, że zezwala niektórym gdańskim statkom zawijać do portów angielskich, a inne ściga, a nawet nakłada na nie sekwestr. Sugerowano, że miał z tego osobiste korzyści, co miała dokumentować przebudowa jego rezydencji w Gdańsku i Oliwie. Potem okazało się, że z tą półlegalną kontrabandą było trochę prawdy, zwłaszcza gdy chodziło o słynną już na całą Europę aferę kapitana Nusse-na, który systematycznie naruszał zasady blokady kontynentalnej, ale komisja, która to badała, znalazła na niektórych dokumentach podpisy pana Nicolasa Massiasa, rezydenta cesarstwa. Nie udowodniono mu jednak, że czerpał z tego zyski. Mówi się o tym, że pan gubernator śle do Paryża kosztowne prezenty, pan Massias także, a wszystko pochodzić ma z przechwyconej kontrabandy. Nikt nie

wie, co zostaje złożone w pustych budynkach na Wyspie Spichrzów, a co spalone oficjalnie na Długim Targu. Niektórzy przypuszczają, że koło fontanny Neptuna pali się paki ze starymi szmatami, a bele sukna z Man-

chesteru wędrują do różnych magazynów. Podobno wmieszany jest w to wysoki urzędnik cesarstwa pan Chopin, a nawet sam generał d'Hericourt, francuski szef sztabu gdańskiego garnizonu. Musi pan zwrócić tam u siebie uwagę na kontrabandę i uzyskać sukcesy na tym polu, ale nie być w tej walce za gorliwy. Przy zbyt skrupulatnych poszukiwaniach, może pan bowiem nadepnąć na ogon węża. Chyba to właśnie przytrafiło się kapitanowi Kosseckiemu. Ja też nie wierzę, że to było samobójstwo. Sądzę, że dowie się pan więcej na Helu, zwłaszcza od zastępcy Kosseckiego, który obecnie staje się pańskim zastępcą. Nazywa się Stablewski, porucznik Stablewski. Był zdegradowany ze stopnia kapitana za jakąś awanturę i właściwie za karę zesłany na Hel...

- Więc ja mam także uważać, że to zesłanie...

- Sam nie wiem, co odpowiedzieć. Półwysep to takie miejsce, gdzie diabeł mówi „dobranoc”.

- I można czasem nadepnąć na ogon węża...

- Właśnie. Nieszczęśliwie zdarzyło się dzisiaj, że trafił pan na tak nerwowy dzień. Wpierw ta próba buntu, potem odwołany piknik. Gubernator przyjął pana po gwałtownej scysji z naszym generałem, właśnie o zaopatrzenie wojska. Nie powinienem tego mówić panu, to wewnętrzne sprawy garnizonu, ale to wyjaśnia całą niezręczność mojej sytuacji.

Mówiąc to sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął zalkowany rulon papieru.

- Co to jest? - zdziwił się Wolski pamiętając, że wczoraj właśnie Sokolnicki wręczył mu żółtą kopertę z papierami po Kosseckim.

- To pańska nominacja. Leżała na biurku u generała Grabowskiego już podpisana, gotowa do wręczenia. Miało się to odbyć w sposób bardzo uroczysty, w obecności dowódcy dziesiątego pułku i kilku oficerów sztabowych, no i to zagrożenie tumultem wszystko pokrzyżowało. Myślałem, że generał wręczy nominację w obecności gubernatora, więc zabrałem z sobą,

ale ten plan też nie udał się. Generał nie chciał widocznie stwarzać wrażenia, że nominację otrzymuje pan z łaski gubernatora. Kazał więc wręczyć panu przed rozstaniem. Trochę to nieprzyjemne, ale sądzę, że pan zrozumie i wybaczy...

Wolski wziął rulon, schował do kieszeni swej peleryny i uśmiechnął się.

- „Rozumiem i wybaczam”, choć co tu jest do rozumienia i komu powinienem wybaczyć? Wszystko klarowne, dzień dzisiejszy jest rzeczywiście pełen niespodzianek. Chciałem o coś jeszcze pana spytać, kapitanie. Wczoraj, kiedy wręczał mi pan żółtą kopertę z dokumentami, pozostałymi w spadku po kapitanie Kosseckim, był tam ktoś u pana w adiutanturze?

- Wczoraj? Zaraz - niech sobie przypomnę. Tak. Był pan Godolin.

- Kto to taki?

- Bliski, współpracownik rezydenta cesarstwa w Gdańsku, pana Masiasa, w dobrej z nim komitywie. Nie wiem dokładnie, jaki ma tytuł, radcy lub komisarza. Mówi się, że to ktoś z ministerstwa policji, ktoś z gabinetu pana Fouche, w Paryżu. Pana Josepha Fouche księcia Otranto, Francja dostała obłędu, jeśli chodzi o tytułomanię. Fouche to parweniusz, kiedyś wielki rewolucjonista, dziś przy cesarzu, ale skłonny do robienia własnej polityki.

- Jak Talleyrand...

- Chyba jeszcze gorzej. A na Godolina radzę uważać. Gdyby chciał pan szkodzić rezydentowi lub gubernatorowi, może się panu źle przysłużyć. A oto Zielona Brama, przy której chciał pan wysiąść.

- Dziękuję, kapitanie Sokolnicki, ofiarował mi pan tyle serdeczności i okazał tyle przyjaźni, mimo że znamy się ledwie od wczoraj, że nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się odpłacić panu tym samym.

- Może będzie taka okazja. Zjawi się pan przecież w Gdańsku u naszego generała, choćby z raportem, albo gdy dojdzie pan do wniosku, że niezbędne staje się zapytać generała, co dalej czynić.

- A co mi na to odpowie?

- Co odpowie? „Jest pan dowódcą” - powie. - „Ja na Helu nie siedzę. Pan tam gospodarzem...”

- Tak myślałem.

Pożegnali się na Długim. Pobrzeżu nad Motławą. Potem, idąc przez Długi Targ, zobaczył Wolski zbiegowisko przy fontannie Neptuna. Obok stał patrol jedenastego pułku, z bagnetami na karabinach. Kiedy zapytał, co się tam dzieje, dowiedział się, że to płoną towary angielskie zarekwirowane przez francuskich korsarzy. Istotnie spomiędzy tłumu buchnął wkrótce w górę kłęb radego dymu i rozszedł się dookoła swąd palonej wełny... Znów pewnie palą jakieś szmaty, udając, że to płonie dobre sukno angielskie, pomyślał oficer. Wrócił na Motławę, bliżej Baszty Kotwiczników. Cumowała tam zamówiona przez niego duża łódź Budziszów z Jastarni.

Budzisze - stary, zwany Wielkim, i obaj jego synowie „Rudk” i „Gulosz”, czyli Rudy i Indor, ucieszyli się ogromnie na widok „ich” pana oficera. Bali się już, że nie przyjdzie, a nie chcieli drugiej nocy spędzać na swojej łodzi na Motławie. Ich kuter nazywał się „Święta Barbara”, był pojemnym statkiem łowczym o uniwersalnym zastosowaniu, posiadał kryty forkaszel i małą kabinę na rufie. Złowione ryby składowano na śródokręciu, sieci i inny sprzęt w pomieszczeniu dziobowym. Była to jednostka duża, mocna, stateczna i pewna. W czasie połowu pracowało na niej pięciu ludzi, ale w rejsie z rybami na „fiszmark” - jak nazywano targ rybny - wystarczało trzech.

Do zajazdu zabrał Wolski obu kaszubskich osiłków, aby przytaskali na łódź jego kuferek i inne rzeczy. Jakież było jego zdziwienie i zaskoczenie, gdy - pakując już swój niewielki żołnierski dobytek i składając książki, znalazł żółtą kopertę z dokumentami. Nie wątpił, że papiery zostały przez

kogoś szczegółowo przejrzone i w kopercie brakowało z całą pewnością tych, które mogły rzucić jakiś promyk światła na tajemnicę śmierci kapitana Kosseckiego.

- Czy noc miał łaskawy pan spokojną? Czy nie pokutowały tu żadne strachy? - spytała go pulchna pokojówka Darriroka, gdy otulony peleryną zstępował ze schodów za Budziszami dźwigającymi jego rzeczy.

- Spałem dobrze, ale upiory mi się przyśniły - odpowiedział, wciskając dziewczynie napiwek.

- To wina wiatru i sztormowej pogody, proszę łaskawego pana - pocieszyła go. - Drugim razem noc będzie spokojniejsza. A prosimy nie zapominać o naszym pięknym zajeździe! Wszyscy go chwalą za wygodne spanie, dobre jadło i za to, że nic tu nigdy nie ginie!

Od nabrzeża odbili zaraz po wejściu na pokład. Wiał lekki wiatr, więc posuwali się z prądem rzeki na zrefowanym głównym żaglu. Starszy na re-dzie zezwalał na to statkom rybackim, ale większe wchodziły i wychodziły najczęściej na holu, prowadzone przez dwie własne szalupy z marynarzami przy wiosłach.

Obaj synowie starego Budzisha rozmawiali typową gwarą z półwyspu, której nie rozumiał nawet rodowity Kaszub z głębi łądu, z krainy jezior i wzgórz. Dość ładną polszczyzną - tu nazywaną „flisacką” - mówił ich ojciec. Wolski prędko jednak nauczył się kilku słów „po kaszebsku”.

Oficer usadowił się na rufie, obok starego rybaka, który sterował, kiedy synowie pracowali przy żaglach. Wyszli wreszcie z wąskiej gardzieli rzeki, aby niedaleko za twierdzą w Wisłoujściu, gdzie stały działa majora Ostrowskiego i gdzie jednym z bastionów dowodził znakomity artylerzysta, porucznik Józef Bem, ukazała się wyspa Westerplatte, kiedyś mielizna, dziś ufortyfikowany ostrów. Była jeszcze jedna taka łacha piaszczysta z prawej strony ujścia - Osterplatte, ale piasek naniesiony przez sztormy i prądy morskie połączył ją już trwale z łądem.

Wyłynęli wreszcie na otwarte morze i kolebnęła rybackim stateczkiem pierwsza większa fala. Wiatr wiał silniejszy, zrobiło się chłodniej i pojawiły się chmury, a na horyzoncie - tu i tam widać było szare smugi deszczu.... Piknik u gubernatora nie udał się, pomyślał z satysfakcją Wolski. Właśnie lokaje ściągają obrusy ze stołów ustawionych w parku, a tłumek umoczonych uciekł już pod dach westybulu.

Po godzinie ląd pozostawiony za rufą zmienił się w sine pasmo mgły, wkrótce przed dziobem zamajaczył kontur półwyspu, nazywanego przez Kaszubów „Rebaki”. Wolski zaczął teraz wpatrywać się w tę szarą smugę, wkrótce wychwytyjąc pewne szczegóły - kościół, dachy domów, wędzarni i ciemniejący ponad linią plaży gęsty, sosnowy las. Nagle synowie Budzisz zaczęli coś wykrzykiwać, pokazując palcami na wschodnią stronę horyzontu. Stary spojrzał tam także i trącił łokciem w bok oficera, w sposób dość bezceremonialny.

- Ano mieliśmy łaskawy wiatr, a święta Barbara nie poskapiła nam szczęścia. Widzisz pan, panie oficerze, ten szary „sztoł” żagli? To „Anielcziki!”. - Jak to mówią Francuzi: „sacres Anglais”!... - zaśmiał się rubasznie.

Była to istotnie brytyjska korweta „Seafox” bazująca na wyspie Anholt, której komodor eskadry bałtyckiej Royal Navy zlecił tego dnia patrol w okolicach Mierzei Wiślanej.

- Dogonią nas? - zaniepokoił się Wolski.

- Nawet nie mają takiego zamiaru - wzruszył ramionami Budzisz. - Co ich obchodzi kaszubski „bót” wracający pusto z „fiszmarku”?...

Słońce wyszło nagle spoza chmur, wiatr jakby osłabł. Jeszcze zanim zapadł zmierzch, weszli do półkolistego portu, bezpiecznego przy wiatrach północnych i zachodnich, niebezpiecznego przy wschodnich, pełnego wielkich pali po brzegach, do których cumowano łodzie i statki. Na brzegu zauważyli pluton helski, rozwinięty do przeglądu... W kościele zaczął bić dzwon, chyba na powitanie nowego komendanta.

5.

Ceremonia powitania odbyła się zgodnie z obyczajem i wymogami garnizonowymi. Porucznik Stablewski zdał ogólny raport, potem Wolski przeszedł przed frontem oddziału, przyglądając się kolejnym obliczom wiarusów. Badali się wzrokiem nawzajem, oni zastanawiali się, czy nowy dowódca „da im w kość” czy też przymknie oko na żołnierskie słabości, a on - czy będzie mógł liczyć na piechurów, gdy zajdzie taka potrzeba, na przykład gdy półwysep zaatakują Anglicy. Zdaje się, że to wzrokowe zapoznanie się wzbudziło po obu stronach optymistyczną obietnicę. Potem pomocnik podał komendę „dwójkami w prawo zwrot” - na taki szyk pozwalała bowiem gęsta zabudowa w pobliżu portu, a dzięki temu oddział nie wydawał się tak maleńki, co było nie do ukrycia w szyku czwórkowym. Ale nie padł jeszcze rozkaz odmarszu.

W tym czasie Wolski ogarnął wzrokiem cały plac portowy, z kamiennym, niezgrabnym mołem - przedłużonym o drewniany pomost, z lichymi domkami, śmieciami, suszącymi się sieciami, gnijącymi beczkami, z ruiną kościoła, który dotykał niemal nabrzeża. Kiedyś miało to być duże miasteczko, z obronnymi bramami, z murami broniącymi dostępu, a kościół stał w samym głównym rynku. Kolejne wojny i pożary zniszczyły dawną świetność, zależność od Gdańska przytłumiła ambicje, a wreszcie morskie kataklizmy dokonały ostatecznego dzieła zniszczenia. Obecna linia brzegowa przebiegała, sądząc, po kościele, przez środek starego miasta, stąd nowe wyniosło się dalej, a wszystko to nadało obecnemu miasteczku formę ulicówki. Ta właśnie, główna ulica Helu, prowadząca zaraz za kościołem i najbliższą zabudową rybacką, była równocześnie ulicą i zakończeniem traktu ciągnącego się wiele mil wzdłuż całego półwyspu, często rozmywanego przez sztormy, wyboistego i pełnego zdradliwych zapadlisk. Domki były w większości parterowe - typowe rybackie „checze”, ale tu i ówdzie wyrastała piętrowa nadbudowa, facjatka lub mansardowy dach. Wszystko to jednak nie ukrywało faktu, że miasteczko było biedne, że jego wielkie

dni dawno przeminęły. Na końcu miasteczka dymiły kuźnie i wędzarnie oraz pracowały piły warsztatów stolarskich, ciesielskich i skutniczych - choć tutaj każdy stolarz i każdy cieśla, a nawet kowal i szewc znali się na budowie łodzi, szyciu żagli, wiązaniu lin i na połowach. Miasteczko żyło z morza i morzem oddychało, a że ambicje wybił mu Gdańsk z głowy, więc i port nie był bezpieczny, tyle że najeżony cumowniczymi palami, naturalnie chroniony od zachodnich sztormów, ale otwarty na wiatry i fale od Piławy i półwyspu Sambia.

Ludzi zebrano się wielu, a gdy dobosz uderzył w taraban, a trębacz zagrał marszowy sygnał i pluton ruszył, przybywać zaczęli nowi. Jednocześnie ponownie rozkołysał się dzwon, jakby powtarzając wszem nowinę, że oto zjawił się nowy komendant. Z Wolskim witali się starzy maszopi - patrząc mu prosto w twarz i podając mu stwardniałe jak drewno, spracowane dłonie. Pachniało rybą, wyrzuconymi na brzeg wodorostami, dymem wędzarni. Ludzie coś mówili do Wolskiego, ale typową helską gw7arą, z której wyławiał poszczególne wyrazy.

Oddział już odszedł, prowadzony przez sierżanta, ale tymczasem jeszcze Wolski i Stablewski stali na placu portowym, a kapitan ścisnął dalej dłonie starszych rybaków, którzy coś do niego-mówili.

- Daruj pan, poruczniku, ale możesz mi wyjaśnić, o czym ci ludzie do mnie mówią? Dłużej tu już jesteś, to się w ich gwarze lepiej rozeznajesz zapewne niż ja, człek' zupełnie tu nowy.

- Ach, takie to gadanie. Liczą na to, że pan kapitan pomoże im w pozbyciu się różnych kłopotów.

- Jakie to kłopoty?

- Spraw jest wiele i jedna od drugiej inna! Ceny ryb na fiszmarku, brak tego i owego, a także obecność takich gości jak ci - wskazał na trzymającą się na boku grupę mężczyzn w długich kurtach z mosiężnymi guzikami. Niektórzy nosili u boku kordelasy, straszną broń marynarską. Ten i ów miał za pas wsadzony pistolet...

- Co to za ludzie?

- Tam, przy palach, cumuje „Misericordia”, jeden z francuskich okrętów korsarskich z Gdańska, a ci ludzie to z jego załogi. Dalej stoi jeszcze jeden. Jak się morze rozbuja, to i on podejdzie bliżej. Właśnie zapalają latarnie, jedną na rufie, a jedną przy trapie, żeby im się który nie utopił, gdy z łądu wraca, a w głowie mu szumi.

- Czemu burmistrz się nie pokazał?

- Czeka na waszą miłość, panie kapitanie, u siebie, w domu. Kwatera komendanta, podobnie jak i moja - choć w przeciwległym skrzydle, właśnie w domu burmistrza się znajduje. Trzy kroki od koszar. Ratusza tu nie ma, zgorzał chyba jeszcze w wojnach szwedzkich.

- Jednak burmistrz-powinien tu być.

- Tak też myślę, panie kapitanie.

- Czemu więc jeszcze stoimy?

- Czekamy na pastora - to on sam uderzył w dzwon na powitanie nowego komendanta. Przestał dzwonić, więc zaraz tu będzie.

- A katolickiego księdza tu nie ma?

- Bo i katolików nie ma, proszę waszmości. Do Jastarni półwysep jest luterański, a dopiero od Jastarni aż do nasady katolicki. A ten tutaj to dobry człowiek. I po polsku gada, zresztą jak większość.

- Dużo tu Niemców?

- Trudno ich nazwać Niemcami. Trochę Fryzów i Holendrów już w trzecim i czwartym pokoleniu, a nowych, z Meklemburgii, zaledwie pięciu. Stary Fryc ich tu osiedlił zaraz po rozbiorach.

Pastor okazał się rzeczywiście sympatyczny, pogodny, uśmiechnięty, choć już stareńki, nawet z tego wieku lekko przygarbiony. Obu rękami uścisnął dłoń Wolskiego, popatrzył mu prosto w oczy, powitał w imię Jezu-

sa Chrystusa, jak na kapłana przystało. Kaleczył mowę polską, ale z językiem polskim z interioru spotykał się rzadko, chyba jak do Gdańska wyjeżdżał.

- Jo... Mi wsziscy bardzo ceszymy się z przijazdu pana oficera. Na pewno nie będziemy w zgodzie... Jo... Naziwam się Georg Kolleck, przez dwa „l” i „ck”, ale mój dziad to bił z Poloków z Pucka i naziwał się Kołek, ot zwyczajny Kołek. Dobrzy ja mówicz?

- Dobrze ksiądz mówi po polsku. Bardzo dobrze.

- Ja bić pastor, panie łaskawy. Ksiondz katolicki daleko, czasem on przejeżdża w Jastarnia, ale mieszka w Wielka Wieś.

- Pogodzimy się, dogadamy... - zapewnił pastora Wolski.

- A jak będą jakieś kłopoty, zapraszam do mnie, do komendantury.

- A ja zaprasza, bitte, Herr Offizier, na plebanię, do mnie. Znajdzie się dobre winko. Echt Burgund, mein lieber... Z Bogiem, panie oficerze...

Wolski podziękował, pożegnał wszystkich, którzy przyszli go powitać, machnął swoim oficerskim kapeluszem i poszedł za Stablewskim na kwatere. Za nim ruszyli obaj synowie Budzisz, niosąc kuferek i jego rzeczy.

Daleko to? - spytał porucznika.

- Do burmistrza? Nie! Bliziutko. Tu zresztą wszędzie blisko. Nawet na drugi brzeg półwyspu niedaleko, choć tu właśnie jego najszersze miejsce. Słyszysz pan ten szum, kapitanie? To od otwartego morza: Od Wielkiego Morza, jak mówią Kaszubi.

- Ilu ludzi trzymasz poruczniku na warcie?

- Zawsze dwóch. Jeden przy samych koszarach, a drugi nieco dalej, przy wejściu, niedaleko domu burmistrza. Zresztą co on tam za burmistrz, zwykły urzędnik gubernialny niższej kategorii. Francuzi zostawili gdańszczanom tylko pozory samodzielności, a sami tu rządzą.

- A Francuzi pilnują tu?

- Korsarze swoje wachty wystawiają, ale nam nic do tego. Rybacy po swoich maszoperiach także warty trzymają. Boją się Anglików, a jeszcze bardziej Francuzów, ale ogólnie nad spokojem i bezpieczeństwem czuwamy my. Przed południem i po południu w obchód wysyłamy patrole. Czasami dochodzi do nieporozumień z korsarzami francuskimi, ale na ogół czują przed nami respekt. Największe kłopoty mamy z kapitanem żaglowca „Misericordia”, Simonem Maretem. Chwali się poparciem gubernatora, ma oparcie w rezydencji cesarskiej i panu komisarzu Godolinie.

- Aż tak?

- Wiele tu spraw ciemnych i dziwnych na półwyspie, panie kapitanie. Nie mnie je odkrywać i rozjaśniać. Chciał, zdaje się, dokonać tego kapitan Kossecki, ale nieszczęście na niego przyszło.

- Wierzycie w to, że był to nieszczęśliwy przypadek?

- Szczerze mówiąc, ani ja, ani nikt z moich żołnierzy nie wierzy, ale komisja była, badała, po co nam więc innej prawdy dochodzić?

- A Anglicy?

- Bardzo często żagle ich okrętów widzimy na horyzoncie. Dawniej bazowali w Karlskronie, teraz trochę dalej, na Anholt, ale od czasu gdy spalili Kopenhagę i zniszczyli Duńczykom flotę, przechodzą cieśniny, kiedy tylko chcą. Trzy razy już lądowali koło Helu, a na półwyspie pewnie kilkanaście. Szkody robią i znikają. Raz próbowali nawet zaatakować nasz garnizon, ale dobrze ich powitaliśmy. Zabrali z pola trzech zabitych, teraz czują respekt. Każdy nasz żołnierz ma przy łóżku karabin i ładunki, aby był gotów do walki natychmiast, gdy sytuacja tego od niego zażąda. Tu jest zawsze wojna, panie kapitanie...

Dom burmistrza przypominał Wolskiemu pobielony dworek pomorski z widocznym na zewnątrz belkowaniem i pruskim murem. Było już ciemno i większość okien jaśniała od blasku świec.

- Burmistrz nazywa się Gottlieb Müller, ale jak wszystko co niemieckie na tej ziemi, kryje polską przeszłość. Mówi po polsku jak pan i ja, a podobnie jak dziadek pastora nazywał się Kołek, jego dziadek nazywał się Młynarz. A Gottlieb to przecież nasz Bogumił. Gdy go jednak przyprzeć do muru, to mówi, że on ani Polak, ani Prusak, ale z Gdańskich Żuław, a więc jakby Holender. A dla mnie taki, co się swej przynależności do swoich wypiera, to... no, nie będę już panu kapitanowi głowy moimi sądami zawracał. Po francusku mówi dobrze i francuskim się chwali, dlatego zresztą zrobili z niego urzędnika, gdy nastali tu Francuzi. Wszędzie tu tak, Krokowscy polskich królów przyjmowali, a teraz nazywają się von Krockow i z Prusakami ciemne sprawy jakieś załatwiają w swoim pałacu w Krokowej, niedaleko stąd... Na szczęście, ogólnie na to patrząc, tutejszy lud twardy i jemu nawet niemieckie kazanie nie zaszkodzi, żeby zaprzeć się swego pochodzenia. A pojedyncze bydlę trafia się w każdym narodzie. A oto i sam pan burmistrz wraz z piękną córką Anną Marią czekają nas na progu. Żona zmarła mu dwa lata temu i obecnie sam córkę wychowuje, ale to niełatwa sprawa na tym odludziu...

Panna była rzeczywiście śliczna i w niczym nie przypominała ojca, łysiejącego grubasa o małych przebiegłych oczkach. Była szczuplutka, wysoka, miała duże niebieskie oczy, skrywane za czarnymi opłótkami długich rzęs i modnie uczesane, bujne blond włosy. Była dość śmiała i przy kolacji często wtrącała się do rozmowy, co zresztą ratowało sytuację, ponieważ ojciec mówił niewiele, odpowiadał monosylabami, jadł żarłocznie, chyba aby w ten sposób uniknąć towarzyskiej konwersacji. Co chwila wycierał serwetą pomazaną tłuszczem brodę i pocące się, grube, niekształtne dłonie. Sprawiał niesympatyczne wrażenie, a dodatkowo niekorzystnie wpływało to skonstrastowanie jego osoby z postacią córki. Natura bywa niekiedy kapryśna w modelowaniu ludzi, myślał Wolski. Rozmawiano po francusku. Gdy nawet kapitan pytał coś burmistrza po polsku, ten odpowiadał po francusku. Potem zreflektował się, że może to wyglądać niegrzecznie, zaczął się tłumaczyć, że po polsku rzadko tu rozmawia, a kiedy wyjeżdża do Gdańska, to „tylko po francusku”...

Gdyby nie Anna Maria, kolacja zupełnie nie przypadłaby Wolskiemu do gustu, choć na pewno wiotka panienka

marzycielskich oczach nie była w typie kapitana. Nie lubił takich wiosennych „cnotek” recytujących kochankom wierszyki, a taka wydała mu się córeczka pana Mullera. Już raczej pociągały go młode damy o trudnym charakterze, bezczelne, niebezpieczne, ryzykanckie jak Luiza d’Ambert.

Po kolacji wyszli przed dom i Stablewski zaprowadził swego dowódcę do drugiego wejścia, gdzie na piętrze mieściła się kwatera kapitana, kiedyś połączona z resztą domu, obecnie od części środkowej odseparowana. Były to dwa nieduże pokoje, gabinet i sypialnia. Okna gabinetu wychodziły na budynek koszar, okna sypialni na główną ulicę miasteczka, a wychyliwszy się poza framugę można było zobaczyć światła kolejnych gospód, w których pili i podśpiewywali, klęli i awanturowali się korsarze francuscy.

Rybacy, pili dostojnie i milcząco. Poza ulicą i dachami domków dostrzegało się skrawek zatoki i cumujące przy palach w porcie żaglowce, na których drżały światła sygnałowe.

Gdy razem ze Stablewskim stali przy oknie sypialni, Wolski spytał o Kosseckiego. Gdzie zginął?

- Przy tym stole pod oknem. Siedział tyłem zwrócony do wejścia.

- Jak to się stało?

- Znaleźliśmy go tutaj ze zmasakrowaną głową. Cały pokój zbryzgany był krwią. Moim zdaniem kapitan Kossecki oczekiwał przyjscia kogoś znajomego, dlatego drzwi wejściowe zostawił otwarte. Słyszac, ze ktos wchodzi, podniósł głowę znad biurka i spojrzal w kierunku gościa. Wtedy padł strzał... Oczywiście według komisji nikogo tu nie było,- a pistolet wypalił w twarz komendanta, gdy ten czyścił na stole broń... Wiele przeżyłem, kapitanie, wiele widziałem, ale wierzyć w orzeczenie komisji nie mogę. Może to zbyt śmiało, co panu mówię, ale nie chcę wobec pana zachować się nie-szczerze, kariery już chyba i tak w wojsku nie zrobię. Wie pan pewnie, że

zostałem zdegradowany do mojego obecnego stopnia za awanturę z Francuzami.

- O co poszło?

- O cześć polskich panien. Potem sąd oficerski miał kłopoty z oceną mojego postępowania, bo byłem sam, a Francuzów trzech. Dwóch raniłem, trzeci uciekł. Ten, który uciekł, też został zdegradowany, a ci dwaj ranni musieli zmienić garnizon. Mnie zaś odesłano na Hel w randze porucznika.

- Myślisz, poruczniku, że objęcie stanowiska na półwyspie to zesłanie?

- Tak myślę, panie kapitanie. Był pan republikaninem, nikt nie uwierzy, że zmienił się pan w służbie cesarstwa. Pewnie chwalą się tym, że dawny oficer legionów i uczestnik kampanii na San Domingo znalazł się w armii cesarskiej, ale chyba nie dowierzają panu. Dlatego pan tu jest. Proszę mi wybaczyć kapitanie tę moją szczerość. Jeśli pozwoliłem sobie na poufałość, jestem gotów ponieść karę lub więcej nic nie mówić.

- Daj pan spokój, poruczniku. Proszę mi jeszcze powiedzieć, był pan tu pierwszy, kiedy to się tu stało?

- Usłyszałem strzał, gdy byłem koło domu. Wbiegłem na schody, drzwi zastałem otwarte... Pierwsze wrażenie to był smród spalonego prochu, dym, dużo dymu i ciemność...

- Ciemność?

- Tak. Kiedy znajdowałem się na dole, w gabinecie paliła się świeca, ale ja zastałem ciemność...

- Tak jak teraz? - mówiąc to Wolski zdmuchnął świecę. W całym mieszkaniu zrobiło się mroczno.

Prawie... Świecił księżyc w pełni i w sypialni było znacznie jaśniej. Dziś księżyc nie ma. W sypialni usłyszałem jakiś szmer, pomyślałem, że ktoś się tam ukrył. Wydobyłem szablę i ponad ciałem kapitana, które było wyraźnie widoczne w smudze księżycowego światła padającego aż z sy-

pialni, wskoczyłem do drugiej komnaty. Ale ten szmer powodowała firanka... Wróćmy do sypialni. Okno było otwarte... Spróbuję je teraz otworzyć, o - było właśnie tak, ale nie ma dziś ani księżyca, ani wiatru i firanka nie wybrzusza się od przeciągu. Pomyślałem, że morderca uciekł przez okno - nie jest stąd tak wysoko, można śmiało zaryzykować skok. Ale mogło być również inaczej, ten, który zabił, miał na ulicy współnika i przez otwarte okno podał wiadomość, że zadanie wykonał.

- A co pan wówczas zrobiłeś?

- Wróciłem do gabinetu, skrzesałem ognia i zapaliłem świecę. To był straszny widok... Właśnie wtedy nadbiegł burmistrz, a za nim nasi żołnierze...

- Gdzie był pistolet komendanta?

- Leżał na podłodze.

- To był jego pistolet?

- To był taki sam pistolet, jakim posługiwał się nasz dowódca. Zwykła, francuska broń strzelców konnych...

- Dlaczego mówi pan „taki sam pistolet”?

- Pistolet Kosseckiego leżał nie nabity w szufladzie. Morderca znał tę broń, użył więc takiego samego pistoletu. Po oddaniu strzału, porzucił swój pistolet, wyciągnął z szuflady przyrządy do czyszczenia broni i porzucił obok pistoletu, potem zabrał nie nabitą broń Kosseckiego, dał znać swemu kompanowi przez okno w sypialni, zgasił świecę i wyszedł z mieszkania.

- ... ale był pan przed domem i wbiegając po schodach nikogo pan nie spotkał.

- Rzeczywiście, ale to dlatego, że zabójca skrył się w komórce przy schodach. Pewnie pan jej nie zauważył przy wchodzeniu do mieszkania, drzwiczki niewielkie, zespolone z okładziną na schodach, a wewnątrz ru-

pieciarnia. Morderca zostawił tam prawdziwy, nie nabity pistolet komendanta.

- - Tak pan przypuszcza?

- Nie, wiem to na pewno. Sam go tam znalazłem, kiedy przygotowaliśmy kwaterę dla pana, już po wydaniu werdyktu przez oficerską komisję, przysłaną przez gubernatora.

- Komisja nie przeszukała tej rupieciarni?

- Nawet tam nie zajrzała. Ci panowie mieli już własną wersję, kiedy tu przyjechali, wypadek albo samobójstwo. Pistolet, z którego strzelano, leżał obok zabitego. To był dowód.

- Teraz powinniśmy znaleźć zabójcę i współnika?...

- Nie wiem, panie kapitanie. Dla władz francuskich w Gdańsku ta sprawa jest zamknięta, szef polskiego garnizonu przyjął wersję komisji.

- Ale w nią nie wierzy...

- Ani ja, ani pan kapitan nie podważymy orzeczenia komisji. Może ważniejsze dla nas byłoby znać sprawę, przez którą zginął komendant Helu? Ale szukając klucza do tej szkatułki, można skończyć jak kapitan Kossecki...

- Mój Boże, czuję się znów jak w dżungli San Domingo - zaśmiał się gorzko Wolski. - Muszę panu coś wyznać, poruczniku Stablewski. Gdy natknę się na ślad, na pewno honor każe mi iść za nim, nawet do piekła, ale nagonki organizować nie będę. Nie mam zresztą tylu ludzi, żeby organizować nagonkę, a połowa znanych mi myśliwych trzyma z lisem. Jak w takich warunkach polować? Wróciłem tu, bo chociaż, zgadł pan, wiele się zmieniło na świecie, a ja sam tak bardzo się nie zmieniłem, wojsko polskie jest dalej wojskiem polskim, a Polska leży jak leżała nad Wisłą, chociaż nazywa się ją teraz oficjalnie Księstwem Warszawskim i gorzej lub lepiej służymy nawet tu, na tym końcu świata, narodowi. Zrozumiałem to, gdy w

porcie ściskali mi dłoń różni Budzisz, Ceynowy i Kdnkole - wymienił popularne nazwiska wielkich rodów rybackich z półwyspu.

Chciał już rzec, że czas pójść na spoczynek po dniu pełnym tyłu wrażeń, ale nic takiego nie powiedział. Obaj ze Stablewskim porozumiewawczo spojrzeli po sobie. Usłyszeli, że pod oknem ktoś przedziera się przez gęste krzewy bzu, w kierunku niskiego parkanu odgradzającego teren domu burmistrza od ulicy. Szelest roztrącanych krzaków był tak wyraźny, że nie stłumił go nawet szum przyboju fal od strony morza.

Noc była bezksiężycowa, ale z niedalekich gospód bił blask latarni i świec. Tam jeszcze kipiało życie, choć w okienkach rybackich domków gasły już światła. Dostrzegli przed domem blask niewielkiej latarenki o kolorowych szybkach. I jakby w odzewie na ten świetlny sygnał, rozległy się czyjeś kroki na ulicy. Szedł tam ktoś lekko kulejąc i stukając laską, chyba nie kryjąc się specjalnie, a samym odgłosem kroków dając znać, że rozpoznał sygnał spoza krzewów bzu.

6.

- To nic groźnego, panie kapitanie - szepnął Stablewski wprost do ucha Wolskiego - to Filon spieszy do swej Laury.

- Co takiego?

- To córka burmistrza, panna Anna Maria spotyka się ze swym miłym...

- Kto to taki?

- Dzielny człowiek, weteran spod Gdańska i Frydlandu, ciężko ranny w bojach i stąd u niego dziś krok nierówny i laska w dłoni. Pan Bogusz Zaremba. Mieszka tutaj, na końcu głównej ulicy, ale już pod samym lasem, gdzie otwiera się droga na Jastarnię. Zajął tam pustą chatę i prowadzi gospodarstwo. Stary, chromający wojak, ale miły to gość i zdaje się, że oboje mają się ku sobie, z czego jednak pan ojciec naszej młódki bardzo nierad. Nie takiego zięcia szuka. Odszedł z wojska w randze kapitana, widzisz waszmość, panie Wolski, ilu naokoło kapitanów? Bardzo się lubili z komendantem Kosseckim, chyba znali się jeszcze z wojska, z gdańskiej kompanii...

- Ciiiicho... nie tak głośno, poruczniku. Nie powinni zauważyć, że postronne osoby przytomne są ich schadzce... Na szczęście nie słyszymy, o czym mówią, bo byłoby to niegodne tak w ukryciu podsłuchiwać... Przejdzie on parkan, czy panna to zrobi?

- Chyba ani jedno, ani drugie. Miłość to taka jak w poezji albo w pio-sence. W policzek ją przez płot pocałował... Chyba po francusku ze sobą nie rozmawiają, ino po polsku.

- No, żegnają się już. Krótko trwała ta ich schadzka w krzakach bzu - zastanowił się Wolski. - Może nie o miłość chodziło, ale pan Zaremba ciekawy był przybycia nowego komendanta na Hel.

- Możliwe, kapitanie... Panna przemknęła teraz przez ogród jak duch. Dobrze, że włożyła pelerynę, bo kolce krzaków pewnie by na szmaty podarły jej sukienkę. A Zaremba idzie już do domu, ale to droga dość daleka. Będzie musiał minąć wszystkie cztery gospody, aby tam dojść. Ale... zaraz - widzi pan to samo co ja, kapitanie?

- Chyba to samo. Ktoś tam na ulicę wyległ, jakby z gospody. Jeden, dwa, trzy, cztery cienie. Oj, niedobrze! Za wiele jak na jednego, w dodatku chromego. „Nec Hercules contra plures”. A ci nie wyglądają na przyjacielsko do Zaremby nastawionych. Patrz pan, to regularny napad! Dwie latarnie ustawili po obu stronach drogi, aby dobrze widzieli, kogo i gdzie uderzyć! Cóż za zbóje! Krzyczą coś do niego, on im odpowiada. Rozumiesz pan coś z tego?

- Za daleko, kapitanie, ale to wyraźnie burda.

- Burda albo zamach. Tamci mają kordelasy, Zaremba tylko laskę.

- To niezwykajna laska, rapier w niej siedzi. Właśnie dobył go z laski jak z pochwy.

- Nic z tego! Nie poradzi! Idziemy mu na pomoc, poruczniku! - Nie namyślając się wiele, jakby poczuł się nagle dwadzieścia lat młodszy, Wolski wskoczył na parapet otwartego okna, a z parapetu w dół! Krzaki amortyzowały upadek. Podniósł się zaraz, podciągnął na parkan, zeskoczył z drugiej strony i dobywając swej mameluckiej szabli, rozdarł się tak, że go chyba na końcu Helu usłyszano:

- Trzymaj się, waszmość Zaremba! Idziemy ci na pomoc!

Dobiegł na miejsce napadu, gdy już Zaremba zbierał pierwsze uderzenia bandyckich kordelasów na swój rapier. Stablewski pospieszył za swym dowódcą, trochę oszołomiony akcją Wolskiego, ale równocześnie zachwycony jego decyzją. Już szczekała stal, już napastnicy dostawali pierwsze razy. Dwóch rzuciło się do ucieczki, trzeci zaatakował jeszcze Wolskiego, ale cięty przez dłoń, wypuścił kordelas, wrzasnął i popędził za dwoma kam-

ratami. Czwarty napastnik leżał na ziemi, ze sztychem szabli Stablewskiego przy szyi. Wszyscy mieli na twarzach, pirackim obyczajem, chustki, aby ich nie rozpoznano. Temu, który leżał na ziemi skamląc o życie, Stablewski zdjął z twarzy chustkę ostrzem swej szabli, kalecząc rozbójnika przy tej okazji w policzek.

- Poznaję cię... - powiedział ze złością. - Siedziałeś już w naszym areszcie. Jesteś z pokładu „Misericordii”...

- Tak... - wycharczał leżący. - A ten, którego cięliście przez dłoń, to sam pan kapitan Simon Maret. Jeśli mnie tkniecie...

- Chcieliście zabić Zarembę?

- Tylko nastraszyć...

- Co z nim zrobić? - spytał Stablewski dowódcę. - Weźmiemy go do aresztu?

- A co pan radzi, Zaremba? - zwrócił się Wolski do weterana.

- Ja bym go wyplazował i puścił do swoich... Od dawna Maret mnie prześladowuje. Pewnie to nie koniec, choć dziś trudno byłoby bez guza z tej opresji wyjść, gdyby mi pomoc z nieba nie przyszła.

Stablewski kazał jeńcowi zmykać do swoich, płazując go jeszcze przez plecy swoją szerpentyną. Podali sobie z Wolskim dłonie, uściskali się.

- Pan jesteś zapewne tym nowym komendantem, o którym cały Hel huczy? - zauważył Zaremba.

- Jutro będzie jeszcze bardziej huczeć - uzupełnił porucznik. - Wrócił mi pan, kapitanie, młode lata...

- Ba, sam sobie je również wróciłem. Dobrze, że nóg nie skręciliśmy skacząc z okna. Zobaczyliśmy cię, panie Zaremba, bo staliśmy obaj w oknie. Stablewski mówi do mnie - „oto idzie pan Bogusz Zaremba, dzielny

wojak, raniony w żołnierskiej potrzebie”, kiedy nagle wyskoczyło na drogę tych czterech zbirów.

- Zebrać porzuconą broń? - pytał Stablewski.

- A zostawmy im to żelastwo - machnął ręką Wolski.

- Latarnie im tylko potłuczemy do szczętu! Niech w końcu wyniosą jakieś szkody z tego spotkania.

- Wszyscy poturbowani, a samego Marena ciąłeś pan, kapitanie, tak przez rękę, że dopiero za trzy tygodnie będzie mógł znów kordelas chwycić. Zapraszam obu panów do mojej „checzy”, gdy tylko czas na to pozwoli i ochota taka przyjdzie.

- Na pewno z zaproszenia skorzystali - zapewnił Wolski. Nie boisz się pan dalej wracać sam? Z rzezimieszkami to przecież sprawa, choć ich okręt pod cesarską banderą pływa.

- Na dziś mają już dość, a na wszelki wypadek trzymać będę moją laskę.

- Broń to rzeczywiście osobliwa i straszna. Zatem szczęśliwej drogi do domu!

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc i wzajem szczęśliwej drogi życzę.

Rozstali się. Zaremba poszedł dalej główną ulicą Helu, Wolski i Stablewski udali się sprawdzić warty. Bijatyka koło gospód helskich nie postawiła plutonu w stan alarmowy. Zdaniem porucznika awantury zdarzały się tu bardzo często, a niekiedy korsarze, podochoceni trunkami, palili z pistoletów w powietrze. Efekt był taki, że tymi wystrzałami dziurawili niebo, z którego potem lały się strumienie deszczu... -jak twierdzili mieszkańcy miasteczka.

Hel już zasnął. Pogasły świece i lampy olejowe w oknach kaszubskich checzy. Płonęły tylko latarnie pozycyjne na statkach, sygnalizacyjne światło na kościele i świeciła bliza na Szwedzkiej Górze. Nad trzema portowy-

mi gospodami zarzyły się wprawdzie latarnie wskazujące drogę zbłąkanym rybakom i żeglarzom, ale drzwi do knajp już zawarto - ci, co tam byli, pili resztę napojów, wśród których były francuskie wina, rum z Jamajki i autentyczna whisky przemycona z Wysp Brytyjskich, ale i miejscowa, zwykła polewka z kwasem.

Wolski leżał w łóżku, ale nie spał. Patrzył na pobielony sufit, na którym czasami odbił się jakiś refleks światła okrętowego. Przed położeniem się sprawdził rygle w drzwiach, starym zwyczajem na wyciągnięcie ręki umieścił nabity pistolet, a o krzesło oparł szablę. Okno zamknął

- wiatr zaczął się bowiem wzmacniać. Wolski przypomniał sobie także w odpowiednim czasie ową linę z hakiem abordażowym, na parapecie pokoju pięknej Luizy d'Ambert. No cóż, należało być człowiekiem odważnym, ale nie za bardzo pewnym swej siły, umiejętności żołnierskich i swej szczęśliwej gwiazdy.

Luiza d'Ambert?... Co w tej grze robiła tajemnicza piękność, która stała na jego drodze już od pierwszych kroków na nadmorskiej ziemi? A teraz jeszcze ten pirat Simon Maret i ów zagadkowy Zaremba... Może istotnie znajomość z Zarembą pomoże odkryć sekrety, których pełen jest półwysep Hel, ale po co je odkrywać? Bacz, aby Simon Maret nie okazał się na przykład krewniakiem Mareta księcia Bessano ani zausznikiem samego gubernatora. Wszystko jest przecież możliwe...

I z takimi myślami usnął.

Śniła mu się, jak często po ciężkim dniu, znów dżungla San Domingo... Szedł przez gąszcz pełen żmij i powstańców, a obok niego twardo stawiali kroki ku swemu przeznaczeniu legionieści. Nad głowami ich powiewał sztandar z napisem „Wszyscy ludzie wolni są braćmi”. Potem zmęczenie dało o sobie znać i obraz dżungli, legionistów i sztandaru przesłoniły mgły...

7.

Następnego dnia żaglowiec „Misericordia” odbił od pali cumowniczych, wbitych w dno basenu portowego naprzeciw helskiego kościoła. Wiadome było, że wróci tu jeszcze - Hel był zbyt ważną i poręczną bazą w operacjach korsarskich, aby go omijać, ale na pewno czas jakiś helanie mieli go nie oglądać. Mimo że sam Simon Maret nie zdążył nikomu przekazać własnej wersji nocnego incydentu, a może nie był w ogóle skory do opowiadań, musieli istnieć świadkowie, pewnie skryci za małymi szybkami okien rybackich checzy. Dość, że następnego dnia aż zaszumiało od plotek na ten temat w portowych gospodach. Maret był postrachem Helu i ludzie cieszyli się z jego klęski. A poza tym na Helu respektowano siłę, odwagę i stanowczość. Każde wyjście rybackich łodzi na morze stanowiło męską przygodę.

Przy palach cumowniczych stanął wkrótce nowy żaglowiec, również jak „Misericordia” uzbrojony. Była to francuska galiota korsarska „Messalina” - już trzeci okręt z gdańskiej flotylli cesarstwa, używający tej nazwy, zbudowany kiedyś na gdańskiej stoczni. Dwa poprzednie o tej nazwie poszły na dno i zaczęto już uważać, że imię niewiernej, pięknej żony cesarza Klaudiusza przynosi nieszczęście. Kapitan trzeciej „Messaliny” postanowił udowodnić, że to nieprawda. Nazywał się Tricon i nikt nie był pewny, czy jest to prawdziwe nazwisko czy tylko korsarski pseudonim. Korsarstwo było wprawdzie legalne, cieszyło się nawet uznaniem cesarza, ale zawsze uważano, że ten proceder znajduje się o krok od piractwa i rozboju. Dlatego za swojego rodzaju osobliwość mogło uchodzić, że kapitan Tricon uważany był powszechnie za człowieka honoru. Był wspaniałym żeglarzem, ale rzadko sięgającym do osobistej broni, a przecież jego rola - dowódcy okrętu kaperskiego - właśnie tego wymagała. Załogę pokładową skompletował sam, również wybrał sobie znakomitego zastępcę, który mógł go zastąpić w kierowaniu żaglowcem, gdyby wraza kula powaliła dowódcę. Miał jednak również osobnego zastępcę do spraw bojowych, polskiego oficera o wło-

skim stażu legionowym, porucznika Sokołowskiego. Cały skład załogi bojowej stanowili bowiem ochotnicy, zwerbowani za zgodą generała Grabowskiego z szeregów polskich oddziałów garnizonu Gdańska - głównie artylerzyści i wyborowi strzelcy. Działa pochodziły z zatopionej na Wiśle brytyjskiej korwety „Dauntless”, natomiast piechurów ćwiczone w zasadach walki na morzu - w abordażu, czyli ataku na okręt przeciwnika, i celnym strzelaniu do ruchomego celu i to z ruchomej pozycji, jaką stanowił chybotliwy pokład lub wanty „Messaliny”. Jak ważną rolę odgrywała piechota morska tamtego okresu, może świadczyć jej udział we wszystkich ważniejszych bitwach. Przecież sam admirał Nelson, który wprowadził jako pierwszy okręty Royal Navy na Bałtyk, poległ pod Trafalgarem od kuli karabinowej, wystrzelonej przez piechura morskiego z francuskiego okrętu.

W ślad za „Messaliną” przybył na Hel jeszcze inny okręt korsarski „Generał Rapp”, dowodzony przez Alzarczyka - kapitana Kirscha. Był to żaglowiec mniej więcej podobnej wielkości, choć o nieco innym kształcie kadłuba i ożaglowaniu, jak „Messaliria”. Inny miał również rodowód: nie

budowano go nad Bałtykiem, ale na dalekich, atlantyckich stocznicach. Niedawno jeszcze nosił egzotyczną na tych wodach banderę „w gwiazdy i pasy” młodego państwa na . drugiej półkuli - Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a jego macierzystym portem był Nowy Jork. Miał to nieszczęście, że w drodze z Ameryki wziął towary z brytyjskiego Bristolu i został zatrzymany przez korsarzy francuskich na Bałtyku, zaraz po opuszczeniu Sundu. Amerykański kapitan nie był w stanie zapłacić wysokiej kary za złamanie zasad blokady kontynentalnej, statek został więc zajęty przez Francuzów w Gdańsku, uzbrojony w cztery działa, otrzymał francusko-polską załogę, banderę „tricolore”, a jego nowemu kapitanowi wręczono patent, upoważniający go do działania „w imieniu cesarza Francji - Napoleona Pierwszego”. W ten sposób cesarskiej flotylli Morza Bałtyckiego przybyła nowa jednostka.

Obaj kapitanowie, Tricon i Kirsch, wyrazili chęć spotkania się z nowym komendantem wojskowym Helu. Nastąpiło to wkrótce na obiedzie

wydanym przez burmistrza Mullera, z udziałem trzech kapitanów, pięknej córki burmistrza Anny Marii, pastora Kollecka oraz poruczników Stablewskiego i Sokołowskiego.

Burmistrz tym razem wyraźnie starał się o podtrzymanie dobrej atmosfery, próbował dowcipkować – co nie bardzo mu się udawało, ale poważne wsparcie otrzymał ze strony swojej córki, a po odkorkowaniu kolejnych butelek z winem, specjalnych starań o utrzymanie dobrego nastroju można było już nie podejmować. Fakt, że Wolski przebywał na San Domingo, zdominował wkrótce całą dyskusję - wszyscy z gości pragnęli coś od niego usłyszeć. Wolski niechętnie wracał w rozmowach do tamtych przeżyć, próbował natomiast rozmowę skierować na inne sprawy, które jego interesowały, a o których niewiele wiedział.

Kirsch nie miał zamiaru dłużej zatrzymywać się na Helu. W planie miał rejsy do portów Prus Wschodnich, a żeby na tych rejsach nie stracić, zapełniał ładownie towarami z Gdańska.

- Dowódca francuskiej flotylli w Gdańsku'- wyraził nagle pogląd - colonel Tinel, mimo że sam dowodzi korsarskim okrętem, rozumuje jak człowiek z lądu. Nie stać go na decyzję podjęcia zespołowych działań przeciwko korwetom angielskim, patrolującym często samotnie wody Zatoki Gdańskiej. Jedni nazywają to przekleństwem Abukiru, a inni przekleństwem Kopenhagi: brak śmiałych inicjatyw ofensywnych! Wygubić pojedynczo okręty w ich nierównej walce z dobrze uzbrojonym przeciwnikiem, to, jego zdaniem, zrządzenie losu, ale ponieść klęskę w walnej bitwie, to błąd dowódcy. Gubi więc podległe mu okręty w bezsensownych, samotnych operacjach, w czasie których szybkość i siła są po stronie Anglików. A swoją drogą w Gdańsku nie ma dziś ani jednego okrętu, który zdolny byłby samotnie przeciwstawić się nieprzyjacielskiej korwecie, patrolującej wody w pobliżu Helu.

- A wasze sukcesy w walce z przemytem? - pytał Wolski.

- Drogi kapitanie, istnieje sto sposobów przemytu, a każdy zupełnie inny - zapewnił go kapitan Tricon. - Niekiedy towary są przeładowywane na morzu, ze statku na statek. Innym razem wwozi się je do Gdańska, wprost pod Żuraw na Motławie, ukryte pod ładunkiem z portów sprzymierzonych, w tych samych workach albo w tych samych skrzyniach. Przewozi się je na szalupach i wyladowuje w takim miejscu, gdzie nie ma żadnego portu. Jeżeli wytropi pan taką operację, oferuję panu pomoc i naszą „Messalinę” do dyspozycji. Przepraszam, gospodarz częstuje nas winem, trzeba przyznać, że znakomitym, ale tu widzę na uboczu baryłeczkę najprawdziwszego rumu z Jamajki. Jeśli można, panie burmistrzu, pozwolimy sobie skosztować. Panie komendancie, chyba na San Domingo mieliście tego pod dostatkiem? Można nalać panu do kubka? Co widzę, kubek z hiszpańskiego srebra, to się nazywa być w gościnie u burmistrza! Pije pan, monsieur Wolski, na pół z wodą czy bez wody?

- Tylko bez wody! - zaśmiał się oficer, ale nagle zastanowił się, czy to przejście od tematu przemytu do rumu nie było przez kapitana Tricon'a celowe. Czy nie chciał zwrócić jego uwagi, że przecież na Helu co krok napotyka się ślady przemytu. Ta baryłka rumu z Jamajki w domu burmistrza była tego najlepszym przykładem. A angielskie sukno, z którego uszyty był surdut burmistrza? A sukienka jego córki?... Czy więc walka przeciw łamaczom blokady nie była tylko grą pozorów, a ogólnie rzecz biorąc utopią?

Kiedy pożegnał się z biesiadnikami, dogoniła go Anna Maria. Ścisnąc w swojej drobnej dłoni jego rękę, szepnęła konfidencjonalnie, choć nikt nie mógł ich tu usłyszeć, że wie, co obaj ze Stablewskim uczynili dla Zaremby. Gdyby nie ich pomoc, spotkanie z Maretem i jego zbirami mogło zakończyć się tragicznie.

- To było wspaniałe! - oceniła całe zdarzenie.

- Słyszała pani o tym?

- Cały Hel o niczym innym nie gada. Maret uważany jest za strasznego człowieka, uchodzi za pupila wysoko postawionych osób, a tu taka klęska!

A poza tym, nie tylko słyszałam. Patrzeliśmy na to przez okno. Nawet pan ojciec...

Usłyszeli za sobą głosy; goście szli w ślad za Wolskim

także opuszczali jadalnię. Anna Maria zaoferowała się nagle przeprowadzić Wolskiego „krótszą drogą”. Zaciekawiony przystał na to. Weszli na wewnętrzne schody, przeszli jakimś mrocznym korytarzykiem i p.o. przekręceniu klucza w maleńkich drzwiczkach, zupełnie wtopionych w boazerię, weszli na strych. Po drugiej stronie znów były małe drzwiczki nagle Wolski znalazł się w bocznej klatce schodowej, przed drzwiami swojej kwatery.

- To takie nieużywane przejście, ojciec zakazał tędy chodzić, odkąd zamieszkał tu kapitan Kossecki. Jeszcze raz dziękuję za pomoc okazaną panu Zarembie. Bardzo go lubię, choć ojcu nie przypadł do serca.

Już jej nie było. Wolski usłyszał zgrzyt klucza za zamykanymi drzwiami, które znów wyglądały jak część boazerii. Zamyślony wszedł do gabinetu i spojrzał na krzesło przy biurku. Tu właśnie został zastrzelony kapitan Kossecki. Gdyby morderca przyszedł drogą, którą zademonstrowała mu Anna Maria, a potem przeczekał wejście Stablewskiego w komórce i wrócił przez strych, nikt by go nie widział. Ciekawe czy ktoś obcy był wtedy u burmistrza? - pomyślał. Trzeba to będzie sprawdzić.

Wieczorem odwiedził swego dowódcę porucznik Stablewski.

- Słuchałem tego, co mówi się w miasteczku o naszej nocnej awanturze. Helanom bardzo się to podobało, że Maretowi ktoś utarł nosa. Zaremba jest tu lubiany, zna się na inżynierii wojskowej i wiedzę swoją służy pomocą w wielu kłopotach cywilnych, dalekich od budowy mostów i fortów. Zastanawiam się tylko, komu mogło zależeć na pobiciu, a może nawet dodatkowym okaleczeniu Zaremby.

- W takiej bijatyce, w nocy, z rapierem na kordelasy mógł zginać.

- Właśnie... Maret na pewno nie od tego, żeby nie zalecać się do Anny Marii, ale czy aż takim afektem darzy pannę, żeby w tak nikczemnej walce eliminować przeciwnika? Mógł to zrobić bez maski i w dzień, w honorowej walce, to tęgi rębacz...

- Może stary burmistrz chciał w ten sposób pozbyć się niewygodnego konkurenta do ręki córki?

- Burmistrz to nie anioł, ale chyba coś takiego byłoby nawet jak na niego zbyt nikczemne...

- Zbyt nikczemne? - zastanowił się Wolski i nagle wróciła mu świadomość tajnego przejścia przez stryszek. A jeśli u burmistrza był wówczas ktoś, kto użył tego przejścia, o czym pan Müller dobrze wiedział? - Możliwe, że zbyt nikczemne, ale warto byłoby w przyszłości do tej sprawy wrócić, a może sam Zaremba też ma jakiś własny pogląd na przyczynę tego napadu?

Chyba to pytanie drażyło umysł Wolskiego do późnej nocy, nie mógł bowiem zasnąć, a rano kwestia ta znowu wróciła, choć w innym już świetle. Po prostu powinien był porozmawiać z Zarembą nie tylko o Marcie, ale o wszystkim, co dotąd się zdarzyło.

W swojej checzy - jak mówiono - Zaremba prowadził typowe gospodarstwo, miał trochę inwentarza, ale niewiele; zresztą nikt nie miał tu niczego za wiele. Każda kolejna wojna oczyszczała chlewy, obory i kurniki. Szczycił się za to piękną żaglową łodzią pokładową, z kabiną na dziobie i na rufie. Żeglował na niej z obu swoimi rybackimi parobkami albo nawet sam - podnosząc wówczas tylko jeden żagiel, co ułatwiało mu manewrowanie. Jak łatwo zgadnąć, jego maleńki statek nazywał się „Anna Maria”. Był nieco mniejszy od „Świętej Barbary” Budziszów, ale szybszy i zwrotniejszy. Obecnie tkwił na plaży, wyciągnięty na brzeg przy pomocy wielkiego kołowrotu.

Całe to gospodarstwo kupił Zaremba po opuszczeniu szpitala, a w przeprowadzeniu transakcji dopomógł mu pastor Kolleck. Obejście należa-

ło przed wojną 1807 roku do bogatego osadnika pruskiego z Meklemburgii, który w czasie oblężenia Gdańska związał się był z dywersyjną bandą, zorganizowaną przez grafa von Krockova. Chyba bojąc się odwetu za to działanie na szkodę Polaków i Francuzów, zaraz po kapitulacji Gdańska, kiedy cały półwysep przypadł pod jurysdykcję Wolnego Miasta, Meklemburczyk uciekł z Helu. Podobno azyl znalazł w jednym z majątków von Krockowów, dalej spiskujących przeciw Francji.

- Mówią o panu, że swą wiedzą wojskową znakomicie służysz na Helu cywilom, i sławią w panu mistrza nad mistrze - rzekł Wolski do Zaremby, kiedy zdecydował się odwiedzić weterana w jego helskiej checzy, w gruncie rzeczy niewielkim folwarku między lasem a morzem. Siedzieli w dużej, gościnnej izbie z kominkiem i popijali rum z Jamajki, z takich samych srebrnych kubków, jakie miał u siebie burmistrz. Rum - nalany z identycznej baryłki, jaką oglądał Wolski na spotkaniu z obu francuskimi kapitanami. Może pochodziła z tego samego przerzutu kontrabandy, wędrującej przez Hel w głąb kraju? - Siedzisz tu jak niemal szlachcic zagrodowy z Podlasia i wypadaloby mówić do ciebie nie „panie Zaremba”, ale „wiesz asan” albo „wiecie, asindziej”... Tyle że półka uprawne masz liche, już więcej pożytku z inwentarza, a najwięcej z twoich stolarni... Człowiek odnosi wrażenie, że poza parkanem zobaczy łąn zboża, nawet szumi podobnie, ale gdy głowę podniesie, nie zobaczy łąnu zboża, lecz łąn modraków. Morze tu o krok...

Zaremba uśmiechnął się, dolał trunku i zlecił przygotowanie stołu gosposi. Miał tu taką „robotną” starszą już kobietę do prowadzenia inwentarza, a pomagała jej młódka, rodzona córka. Gosposia była wdową, pochodziła „z miejscowych”, a męża zabrało jej morze. Prócz tej pary pracowało stale u Zaremby, wypływając z nim niekiedy nawet na rybaczenie - dwóch tęgich kaszubskich osiłeków, z wyglądu przypominających synów starego Budzisa Wielkiego z Jastarni. Kominek był dziełem własnym Zaremby, jak wiele innych szczegółów umeblowania i wystroju, co w sumie tworzyło wnętrze bardziej swojskie, dworskowe. Na ścianie wisiała szabla, a nad nią stary srebrny ryngraf.

- Prawdę mówiąc, kiedy tu zamieszkałem, nie wyobrażałem sobie, że wytrzymam miesiąc. Woda mi wprawdzie nie straszna, moje rodzinne strony to Suwalskie - co krok to jezioro, ale ludzie tam zupełnie inni. Nie powiem, że tutejsi źli, ale długo brakowało mi tamtejszej miękkiej i śpiewnej mowy. W końcu przywykłem, ~chyba źle bym się czuł, gdybym wstając rano nie zobaczył tych „łanów modraków” za płotem albo nocą nie usłyszał, jak fala łamie się z hukiem na brzegu. Osiedliłem się na wiosnę 1808 roku. Kończyła się zima. Jeszcze pod Puckiem lód skrzypiał... Potem minął rok i na Helu wylądował pluton dziesiątego pułku. Wtedy dowiedziałem się, że do Gdańska cała polska brygada ściągnęła i na stałe tutaj została.

- Jeśli wolno spytać, gdzie pan na nogę zachromiał? W gdańskiej bitwie?

- Jak mnie pytają, mówię, że pod Gdańskiem i nawet okoliczności tej sprawy pięknie wymyśliłem. Ale to nieprawda. Oberwałem w kolano od granatu pod Frydlandem. Wojna już się kończyła, spotkanie cesarzy na Niemnie o krok, pokój w Tylży o dwa... W ostatnich dniach oblężenia Gdańska podlegałem pod komendę majora Weysenhoffa z Kurlandii i razem z nim znalazłem się, gdy szedł atak na wiślaną wyspę nazywaną Wielkim Ostrowem albo po prostu Ostrowem. Już ją później trzymaliśmy w garści, gdy Anglicy wysłali z Nowego Portu w pomoc Gdańskowi swoją korwetę „Dauntless”. Wiozła Prusakom furaz i amunicję. Nie była głęboko zanurzona, miała dobry wiatr i po trzynaście dział na każdej burcie. Mogła się przedrzeć... No, ale nasi nie stracili głowy i tak silnym ogniem ją powitali, że pokład okrętu wyglądał jak wielkie pobojuwisko, a kadłub zaczął przepuszczać wodę. Siadła na dnie koło Ostrowa. Dowodził nią znakomity pono żeglarz, kapitan Christopher Strachey, ale nie dał rady przedrzeć się do Prusaków...

- „Dauntless” - powtórzył obcą nazwę Wolski.

- Tak. „Dauntless”, czyli „Nieustraszona”. Słyszał pan kapitan coś o całej sprawie?

- Znalazłem tę nazwę w papierach, które przypadły mi w spadku po kapitanie Kosseckim. Napisał: „Dauntless”, przeklęta „Dauntless”...

- O, to zaczyna być ciekawe! .

- Było tam więcej notatek, jakieś przekleństwo pod adresem pana Godoliną i wzmianka o „Wydmie Umarłych”. Nie wiem, gdzie to jest...

- Gdyby popytać...

- Może jeszcze będę szukać, pytać, ale przede wszystkim muszę zająć się moimi bieżącymi obowiązkami. A przy okazji może wyjaśni się, kto i dlaczego zabił kapitana Kosseckiego.

- Cieszy mnie, że nie uwierzył pan w oficjalne stwierdzenie komisji, przysłanej tu przez gubernatora.

- Czy ma pan swój osąd, dlaczego zamordowano Kosseckiego? - spytał Wolski.

- Ależ tak! Po prostu potrząsnął gniazdem os, zamiast poszukać królowej. Tyle że szukać teraz tej osy, która go użądliła, to także beznadziejna sprawa. Najlepiej byłoby zniszczyć cały rój, ale na to był za słaby. Panu też to się nie uda.

- Prawdę mówiąc nie mam takiego zamiaru, ale o sprawie nie zapomnę, jak długo tu będę. A wówczas kto wie na co się natknę w mojej codziennej służbie! Powiedz mi pan coś jeszcze o tej przeklętej korwecie „Dauntless”...

- Co tu dodać? Może to, że kapitan Strachey wziął na tę niebezpieczną wyprawę swoją małżonkę! I co pan powiesz - pokład zalany był krwią, pełen trupów, a małżonkowie Stracheyowie wyszli z tego piekła nawet nie draśnięci i przyjął ich w swej kwaterze sam naczelny wódz wojsk atakujących wówczas gdańską twierdzę-marszałek Lefebvre.

- A prowiant i amunicja?

- Co było do uratowania, wyciągnięto, a działa z „Dauntless” poszły na dozbrojenie francuskiej floty korsarskiej, kiedy po kapitulacji Gdańska przyszło ją organizować. Ranni z okrętu poszli do lazaretu, zdrowi do niewoli, a zabici do ziemi. Pochowano ich we wspólnej mogile koło dworu w pobliskich Młyniskach, czyniąc tylko jedyny wyjątek dla zabitego na pokładzie specjalnego rezydenta Anglii w Gdańsku, sir Humphreya Markhama, choć w gruncie rzeczy do Gdańska już nie dotarł i rezydentem nie został.

- Co to znaczy „specjalnego rezydenta”?

- Anglicy lubią wymyślać różne tytuły. Sir Markham miał wesprzeć swoją osobą misję konsularną Anglii w oblężonym Gdańsku, natomiast uczyniono go odpowiedzialnym za ładunek okrętu.

- Za żywność, za kule i za proch...

- ... i za kasę...

- Gdzie skompletowano ładunek?

- W Nowym Porcie, gdzie doraźnie stworzono sztab antynapoleońskiej koalicji, złożony z przedstawicieli Prus, Rosji i Anglii.

- A co z kasą?

- Zaraz po zatopieniu okrętu nasi saperzy przeszukali wrak. ale głównej kasy nie znaleziono.

- Kto kierował tymi saperami?

- Tak się złożyło, że właśnie ja...

- Co to była za kasa?

- Zaległy żołd dla wojsk pruskich, a także zaliczka na spłatę długu, zaciągniętego jeszcze wcześniej przez generała Mansteina, a następnie feldmarszałka Kalckreutha, głównego dowódcy wojsk pruskich, u gdańskich kupców. Wszystko zniknęło. Oto i cała tajemnica korwety „Dauntless”...

- To dlatego Kossecki zanotował „przekłeta »Dauntless«”?

- Może i dlatego, bo on także był wówczas na wyspie wiślanej, kiedy tonęła korweta.

- Coraz ciekawiej, byliście więc obaj przy zatopieniu korwety i pewnie obaj przy jej przeszukiwaniu.

- Powiem więcej, byliśmy jedynymi oficerami armii marszałka Lefebvre, którzy asystowali przy pogrzebie sir Markhama. - Był tam tylko jeszcze dowódca korwety, kapitan Strachey z małżonką i sekretarz sir Markhama, pan Hardford. Pochowano sir Markhama nie opodal dworku w Młyniskach, ale w głębi parku, w osobnej mogile... Coś jeszcze dodam...

Ale nie przyszło już Zarembie nic ująć ani nic dodać do tej opowieści, bo oto do izby wetknęła nagle głowę córka gosposi i - nie śmiejąc widocznie pójść dalej - już od progu zameldowała, że zbliża się pastor Kolleck.

- Coś się musiało ważnego wydarzyć - skomentował tę informację Zaremba. - Dokończymy chyba naszą rozmowę kiedy indziej. Zainteresowała pana ta historia, kapitanie?

- Jak wszystko, co dotyczy Kosseckiego, ale może nie tylko jego jednego?

Pastor szukał Wolskiego. Był u Stablewskiego, w garnizonie i dowiedział się, że komendant poszedł do Zaremby. Z Zarembą, choć ten nie chodził na wspólne śpiewanie psalmów, pastor żył w przyjaźni i czasami odwiedzał go w gospodarstwie, które przy jego pomocy Polak zakupił. Właściwie sprawa, z którą wybrał się tu pastor, ważna była dla obu - dla Wolskiego i Zaremby, bo dotyczyła przepędzonego z Helu Simona Mareta, ale kapitan był o tyle dla pastora ważniejszy, że reprezentował władzę: szło natomiast o naruszenie porządku i prawa. Naruszenie tak jaskrawe, że patrzący przez palce na różne wybryki pastor, tym razem zdecydował się na bezpośrednie działanie.

- Dowiedziałem się, meine Herren, że pan Maret ma w nasze miasto swój własny czuchthauz!...

- Co takiego? - nie zrozumiał Wolski.

- Chodzi o więzienie. Po niemiecku „Zuchthaus”.

- On mieć nie tylko więzienie, on mieć sam więzień! Tam jest zamknięty człowiek!

- Gdzie to jest?

- Na tyły gospoda, co naziwa się „Lwia Jama”.

- W porządku, zaraz biorę ront żołnierzy i idziemy zdobywać ten... jak to wielebny nazwał? Aha „czuchthauz”. Słyszał pan coś o tym, Zaremba?

- Na tyłach „Lwiej Jamy” jest jeden z magazynów korsarskich. Mają tam jakieś pomieszczenie, w którym urządzali niekiedy dzikie libacje. Nie wiedziałem, że nagle ta szopa zmieniła swój charakter. I kogo tam więzi ten drań Maret? - spytał jeszcze Zaremba pastora.

- Tam bić sam rezydent specjalny od królestwa Danii, pan Svend Nielsen!

- A więc jeszcze jeden „rezydent specjalny”. Pewnie taki, który zanim trafił do Gdańską, dostał się do magazynu pana Mareta - podsumował Wolski.

- Idę z panem, ale niech pan będzie ostrożny - powiedział Zaremba. - Maret jest za mądry, aby uprawiać samowolę na taką skalę. Może to jakaś gra polityczna? Może zatrzymał tego rezydenta na czyjeś polecenie?

- Tak czy inaczej muszę tam pójść, nawet jeśli sprawa jest dwuznaczna. Taki mam przecież obowiązek!

8.

Obyło się bez szturmu na korsarski karcer.. Gdy Wolski zjawił się wraz z porucznikiem Stablewskim i patrolem swoich żołnierzy na tyłach tawerny „Lwia Jama”, nie trzeba było ani wyważać drzwi, ani brać za łeb stróża korsarskiej meliny - sam zjawił się na miejscu z kluczami, natychmiast otwierając dużą masywną szopę. W jej części mieściły się jakieś magazyny, a po drugiej stronie dwie, dość ładnie urządzone izby, tyle że z okienkami okratowanymi, pod samym stropem. Chyba pomieszczenia te pomyślane były początkowo również jako składy, a maleńkie okienka miały je uchronić przed złodziejami, potem urządzono tu korsarskie legowisko, a ostatecznie więzienie, w którym, można powiedzieć, zamieszkiwał bardziej, niż cierpiał korsarski „więzień stanu” pan Svend Nielsen. Zastano go w zdrowiu, choć bardzo znudzonego, popijającego dobre, przemycane trunki.

- Cieszę się, że tyle szanownych osób było łaskawe przybyć z okazji otwarcia celi - wyznał strażnik. - Kiedy zjawi się znów na Helu pan Maret i zapyta, co z panem Nielsenem, powiem, że uległem przemocy. Czynię to z ulgą, pan Maret tak spieszenie opuścił Hel, że nawet nie był łaskaw zostawić mi jednego florena na utrzymanie jeńca, a równocześnie przykazał spełniać jego zachcianki.

Penetrując zakamarki szopy, Wolski-znalazł i zarekwirował wiele różnych towarów pochodzenia angielskiego, które — razem z panem Nielsenem miały" popłynąć do Gdańska, do składów gubernatora Rappa na Wyspie Spichrzów. Posła i towary zamierzał Wolski przesłać na pokładzie „Messaliny”, oczekując od kapitana Tricona rychłego powrotu i zdania mu relacji z przyjęcia tej niezwyklej przesyłki. Dziękując swym wybawcom, pan Sven Nielsen nie był w stanie wyjaśnić, dlaczego został pozbawiony wolności na wielotygodniowy okres, choć na warunki i wikt nie narzekał. Jadł tu dobrze, pił, a nawet do „osobistych posług” przysyłano mu co jakiś czas młodą szynkareczkę i z „posług” tych chętnie korzystał. Doskwierała

mu jednak nuda i towarzyszący jej brak motywacji pobytu w zamknięciu - bez określenia terminu, jak długo ma to trwać. Chyba było rzeczywiście tak, jak przypuszczał Zaremba: komuś nie spodobał się zrodzony w Danii pomysł, aby „za plecami” Paryża Korona Duńska porozumiewała się z gdańskim senatem, rajcami i burmistrzem. Chyba w Paryżu zdecydowano, że misja Duńczyka musi ponieść fiasko.

Duńczyk mówił dobrze po francusku i w tym języku wyrażał równocześnie swą wdzięczność, ale i wykrzykiwał różne obelżywe słowa pod adresem Francuzów, z których najbardziej eleganckie było: „zabojady”. Księstwo Warszawskie nazywał po prostu „Polską”, na co nie zdobył się dotąd żaden urzędnik francuskiego cesarstwa, a Gdańsk - „starym polskim miastem Rzeczypospolitej”.

Przed „atakami” na więzienie starano się odnaleźć burmistrza, aby uczynić go przytomnym całego incydentu, ale zniknął jak kamień w wodę. Dopiero kiedy Wolski zabrał Duńczyka do domu burmistrza, polecając służbie przygotować kwaterę, odnalazł się pan Müller. Milcząc, z marsową miną wysłuchiwał poleceń Wolskiego na temat zabezpieczenia wikt i pokoju dla Duńczyka do czasu jego wyjazdu z Helu.

- Nie przekracza pan swoich kompetencji, panie kapitanie? - spytał kąśliwie, raz blady, a raz znów purpurowy na obwisłych policzkach.

- To ja powinienem spytać, czy nie zanadto zaniedbuje pan swoich obowiązków, tolerując obecność więzienia korsarskiego pod swoim bokiem? Hel nie jest również miejscem odpowiednim dla przechowywania zarekwirowanych przez korsarzy towarów. Cały magazyn pana Mareta zostanie ogołocony, a wszystko, co tam składowano, przesłane do Gdańska, do dyspozycji ekscelencji gubernatora.

Kapitan Tricon zgodził się zabrać pana Nielsena i zarekwirowane towary do Gdańska. Naiwnie spodziewał się, że za przywiezienie posła duńskiego czekają go pochwały, natomiast prawnie należała mu się część wartości towarów. Na okręt Tricon miał się zabrać także kurier burmistrza,

przez którego Wolski postanowił przesłać specjalny raport i dodatkowy osobisty list.

Jeszcze kiedy razem z Wolskim podążał Duńczyk na swą nową kwatere, pozbawioną okratowanych okien, zadał pytanie, czy „miss Mary Markham z Anglii, ta urocza Angielka”, dotarła już szczęśliwie do Gdańska? Wolski nic mu na to pytanie nie odpowiedział, ale dobrze je zapamiętał. Kiedy zasiedli już na nowej kwaterze, oficer powrócił do tego tematu. Duńczyk, uważał, że odpowiedź wymaga szerszego komentarza.

- Anglicy zniszczyli nam całą flotę, a nędzne jej resztki zostały uprowadzone do Anglii lub pozostały gdzieś, na dalekich morzach. Kopenhaga do dziś leczy swe rany po ostrzeliwaniu jej z morza. Nie było więc mowy o wybraniu się z misją do Gdańska drogą morską, a lądowa podróż także nie wróżyła powodzenia, wiodła przecież przez kraje niemieckie, z którymi Dania nie żyje w przyjaźni. Ostatecznie zdecydowano za mnie, że do Gdańska, w celu nawiązania stałych kontaktów politycznych i handlowych z senatem, udam się mordem. Okazję do tego stwarzała ruchliwość statku „Nord Brabant” pana Jorga van der Groote, nazywanego „Latającym Holendrem”, słynnego kontrabandyzisty i łamacza blokady napoleońskiej, który ma jednak równie mocnych popleczników wśród stanu urzędniczego cesarstwa, podobno nawet u odsuniętego niedawno, ale chyba nie na długo, pana Talleyranda, byłego ministra spraw zagranicznych, i u pana Fouche - szefa tajnej policji. Ostatecznie ustalono, że pan van der Groote zabierze mnie na pokład z dzikiej duńskiej plaży i wysadzi na brzeg w okolicy Wydmy Umarłych na półwyspie. Stamtąd miałem być przewieziony przez Zatokę Pucką i wysadzony na brzeg w Oliwie. Kiedy wylądowałem ciemną nocą na szalupie z „Nord Brabant”

- nie wiem, czy w uzgodnionym lub innym miejscu - w imieniu senatu gdańskiego powitał mnie pan Godolin, już uprzedzony o moim przybyciu.

- Pan Godolin?... W imieniu senatu gdańskiego? Przecież to bliski współpracownik gubernatora i rezydenta Francji pana Massiasa, a mówią, że na żoździe pana Fouche...

- Dziś tak przypuszczam. Po prostu pan Jorg van der Groote dał znać do Paryża, do pana Fouche, i zastawiono na mnie pułapkę. Zorientowałem się dopiero, gdy pan Maret, z polecenia pana Godolina, „ukrył” mnie w tym składziku, w dość znośnych warunkach, obiecując uwolnić i przewieźć do Gdańska, gdy nadejdzie pora... Nigdy nie nadeszła...

- A Mary Markham?

- Poznałem ją na statku pana van der Groote. „Latający Holender” działa na wszystkie strony i dotąd mu się to udaje. W łaski Francuzów wkradł się, informując ich o mojej sekretnej misji do Gdańska, potem zdobył zaufanie Anglików, informując ich także o mojej misji i zabierając z wyspy Anholt pannę Mary Markham. Na Anholt trafiła wprost z Londynu, a zabrał ją Jorg van der Groote, planując wysadzenie jej w tym samym miejscu co mnie, ale aby przekazać w ręce przedstawicieli gminy angielskiej, w tym domu handlowego Gibsonów. Ktoś ją rzeczywiście witał na lądzie, ale sądzę, że następnie spotkała się z panem Godolinem, który grał przed nią z kolei rolę przedstawiciela domu handlowego Gibsonów... Niestety, nie wiem, co się z nią dalej stało, była noc, atmosfera pełna tajemnicy i napięcia. Chyba trafiła, tak jak ja, do innego więzienia lub została zgładzona.

- Pan miał określoną tajną misję do spełnienia na lądzie, a ona?

- Opiekowała się nią admiralicja, ale sprawa była cokolwiek skomplikowana i dlatego nie wysadzono jej na półwysep z pokładu okrętu angielskiego, lecz za pośrednictwem pana van der Groote. Jej wyprawa miała być traktowana jako przedsięwzięcie całkowicie prywatne. Pannie Mary Markham chodziło o znalezienie grobu jej ojca w Gdańsku, wykopanie trumny i przewiezienie jej do Anglii. Jej ojciec był mianowany specjalnym rezydentem Anglii w oblężonym trzy lata temu Gdańsku, ale do Gdańska nigdy nie dopłynął. Zginął na korwecie „Dauntless” zatopionej na Wiśle, w drodze do oblężonego miasta z ładunkiem żywności i amunicji dla Prusaków. Anglicy mieli zaufanie do pana Jorga van der Groote, że dostarczy ją całą i zdrową na wybrzeże, zresztą trudnił się nie tylko przewozem angielskich

towarów, łamiąc zasady napoleońskiej blokady kontynentu, ale i szpiegów oraz sekretnych pism. Tym razem z zadania także wywiązał się znakomicie, ale... grając na dwie strony, niewątpliwie uprzedził o wszystkim Francuzów, zapewne samego pana Fouche - tajniaka nad tajniakami, który nawet wobec Napoleona potrafi mieć własne zdanie.

- Jak pan myśli, dlaczego panna Markham podjęła się tak karkołomnej misji przewiezienia kanałami kontrabandy trumny ze szczątkami ojca, spotykając się nawet z pomocą admiralicji, o czym świadczy jej pobyt na Anholt?

- Na pokładzie „Nord Brabant” pan Jorg van der Groote wprowadził bardzo liberalne zwyczaje, chyba wynikające z jego oryginalnego poglądu na świat. Jest przeciwnikiem

Napoleona, bo w każdym innym kraju, prócz chyba Polski, widzą w cesarzu uzurpatora pozbawionego szacunku do wszystkich narodów świata, nawet do ludu swej Korsyki, ziemi ojczystej. Na tron wynieśli go Francuzi i czuje się istotnie cesarzem Francuzów, ale w zamian za uwielbienie swej osoby zabiera temu krajowi całą młodzież pod swe sztandary, francuskimi grobami znacząc szlaki swych pochodów. Duńczycy widzą we Francji swego sojusznika w walce z Anglią, ale zrozumieli, że w chwilach trudnych dla Danii na pomoc Francji nie mogą liczyć. Ale pan Jorg szanuje zarówno racje angielskie, jak i duńskie w tej wojnie, no, a mimo że bez entuzjazmu ustosunkowuje się do cesarza, współdziała z Francuzami i odwiedza ich porty. Gdańsk to dziś baza francuska, a nie żadne „wolne miasto”, jak je nazywacie. Ale wracając do obyczajów, otóż przy kapitańskim stole prowadziliśmy nieskrępowane rozmowy między sobą i wówczas panna Mary Markham wyznała, że głównym motywem jej wyprawy do Gdańska jest zapis w testamencie pozostawionym przez sir Markhama, jej ojca. Uczynił ją główną spadkobierczynią rozległych dóbr w hrabstwie Essex, ale prawo do nich nabędzie dopiero wówczas, gdy doczesne szczątki jej ojca spoczną w rodzinnym grobowcu. Pan Markham uczynił jednak dodatkową klauzulę w swych pośmiertnych zaleceniach „Jeśli pochowano by mnie w słonym

morzu, zgodnie z obyczajem marynarskim, to tak, jakby pochowano mnie w Anglii” - miał zapisać piórem swego notariusza - „Wówczas połowa mojego majątku należy się spadkobiercom, a połowa ma zostać sprzedana. Uzyskane zaś stąd sumy mają być zużyte na cele niesienia pomocy rodzinom marynarskim, których ojcowie lub synowie polegli na morzu”. Widzi pan, jakim to oryginałem był ojciec Mary Markham? "

- Czy chociaż wiedziała, gdzie szukać grobu swego ojca?

- Właśnie to mnie zastanowiło. Miejsce pochówku miał jej wskazać sekretarz jej ojca, obecny z nim razem w czasie ostatniej bitwy korwety „Dauntless”. Od trzech lat sekretarz ów ukrywa się pod fałszywym nazwiskiem w Gdańsku, w kręgach angielsko-szkockiej gminy. Ale to już nie moja sprawa. Pytając o Mary Markham, chciałem dowiedzieć się, czy żyje?

- Muszę pana zmartwić, nic o tym nie wiem. Być może dowie się pan czegoś więcej w Gdańsku.

- Kiedy pan chce wyekspediować mnie do Gdańska, kapitanie?

- Już jutro, na pokładzie francuskiego okrętu korsarskiego „Messalina”, którym dowodzi znany z prawości charakteru kapitan Tricon. Mam do niego pełne zaufanie, że przekaże pana bezpośrednio do kręgu ludzi należących do głównej administracji miasta.

- Będzie to krąg, niewątpliwie związany z gubernatorem, a nie z senatem.

- Jestem przecież komendantem wojskowym Helu i w tych sprawach nie podlegam senatowi, lecz władzy gubernialnej, a bezpośrednio szefowi polskiego garnizonu. Nic innego zrobić dla pana nie mogę.

- Rozumiem pana i za wszystko, czego pan dokonał, wielce dziękuję. Nie dokończyłem panu jeszcze opowieści o moich losach. Otóż pan Godolin przekazał mnie w ręce pana Mareta, który jakoby miał mnie skontaktować z przedstawicielami senatu w Gdańsku, a tego czasu miałem „ukrywać się” na Helu, tyle że pod kluczem pana Mareta. Po kilku dniach zrozumia-

łem, że padłem ofiarą zasadzki i że jestem po prostu więźniem. Wie pan, kapitanie - wyznał pod koniec rozmowy Duńczyk - nie boję się niebezpieczeństw, ale dopóki dotyczą one sytuacji jasnych. Chyba nie nadaję się do roli tajnego emisariusza. Jest pan szlachetnym człowiekiem i bardzo odważnym, czego dowodem uwolnienie mnie z więzienia, ale na pana miejscu nie kładłbym się tutaj spać, nie kładąc nabitego pistoletu w zasięgu ręki...

- Zawsze tak robię - zaśmiał się Wolski, przypominając sobie noc w zajezdzie „Pod Trzema Maurami”.

9.

Znów przyszedł wieczór z ostrymi porywami wiatru i z deszczem. Księżyc nie było - ciemno, choć oko wykol. Łodzie rybackie wróciły szybko z połowów, bo na Małym Morzu chodziły niebezpieczne szkwały z różnych kierunków, a na brzegu Wielkiego Morza już zaczęły szturmować potężne grzywacze. Następnego dnia mogło wprawdzie wyrzeć słońce, ale tymczasem noc zapowiadała się złowrogo.

Zaremba zasiadł przy kominku, jedynym tego rodzaju urządzeniu w całym Helu, bo wszędzie budowano tylko wielkie uniwersalne piece - równocześnie praktyczne do gotowania strawy, pieczenia chleba jak i ogrzewania izby. Kominków tu nie znano, nie wydawały się praktyczne w czasie silnych wiatrów - o czym już przekonał się ubiegłej zimy Zaremba. Wyobrażał sobie sielskie wieczory przy ogniu, budzące wspomnienia rodzinnego dworku, ale wiatr wpychał mu niejednym raz dym z paleniska do wnętrza izby i w siarczasty mróz zmuszał do otwierania na oścież drzwi wejściowych. Czasami huraganowy podmuch potrafił nawet rozrzucić palenisko, stwarzając realne niebezpieczeństwo pożaru. Tego wieczoru sytuacja tak źle się nie przedstawiała, ale w pomieszczeniu czuło się jednak nie tylko zapach sosnowych igieł, ale i sporo duszącego dymu.

W pewnej chwili na dworze zaczęły gwałtownie ujadać psy - tak źle, że obawiano się je nawet spuszczać z łańcucha. Co mogło pobudzić je do takiej złości? Czasami obce psy podkradały się pod obejście, a zdarzało się, że na plaży nagle pojawiała się foka z Wysp Alandzkich. Jakiś czas próbował nie zwracać uwagi na psi koncert, kiedy jednak szczekanie stało się zbyt natrętne i denerwujące[^] wezwał jednego z dwóch parobków, którzy spali w skrzydle domu, niedaleko kuchni. Jak już wyjdzie - przekazywał chłopakowi - niech przy okazji zajrzy na plażę i sprawdzi, czy wiatr się nie zmienia i jak daleko sięgają fale. Jeśli „Anna Maria” stoi zbyt blisko przyboju, wyjdą wszyscy i przy pomocy kołowrotu wciągną łódź; wyżej, na ląd.

Niech weźmie - mówił do parobka-jego pelerynę, osłoni go od wiatru i deszczu. A na obce psy niech zabierze drąg, który leży przy kominku, służący do grzebania w ogniu, ale idealny na wałęsające się czworonogi.

Parobek otulił się peleryną, wziął kij, zapalił sztormową latarnię i odsunął rygiel. Gdy wychodził, wpuścił do wnętrza powiew sztormowej nocy i słonawy smak pyłu z rozbitych na plaży fal. Potem zawarł za sobą drzwi i utonął w huczącej wilgoci i czerni. Psy rozszczeły się jeszcze gwałtowniej

Zaremba pomyślał, że zdenerwowało je światło sztormówki, niesionej przez chłopaka. Ale tak, jak gwałtownie wybuchły ujadaniem, tak samo raptownie umilkły.

Wtedy walnęło coś, jak piorun... ale nie był to na pewno piorun. Krótki ostry huk, bez pogłosu. To ktoś strzelił!

Zaremba bez chwili namysłu porwał swoją groźną laskę i wybiegł na dwór, szeroko otwierając drzwi, aby światło wnętrza izby rozproszyło ciemność. Nie uszedł jednak daleko, aby zobaczyć na środku podwórza leżącą postać, nakrytą peleryną i przez to upodabniającą się do wielkiego nie-toperza ze złamanym skrzydłem.

Ktoś, kto ze strzelbą zasadził się pod domem Zaremby, musiał pilnie uważać, aby mu nie zmokła broń. Nie był to amator. Liczył na szczekanie psów i na wyjście Zaremby na dwór. W pelerynie, z kijem - parobek upodobnił się do gospodarza, więc wymierzył i strzelił. Nie był, jak zostało to już napisane, amatorem, wiedział, że strzelić-to trafić, a jeśli trafić - to zabić. Parobek nie żył już. Latarnia sztormowa strzaskała się przy upadku i zgasła. Z pomocą drugiego parobka, który wyskoczył z domu, Zaremba wciągnął zabitego do głównej izby. Jeszcze miał cień nadziei, że może jednak wydało mu się tylko, że chłopiec nie żyje, że uda się go przywrócić między żywych. Ale przekonał się, że było tak, jak skonstatował na podwórzu, kiedy przyłożył ucho do piersi leżącego. Serce nie biło. Potem wziął swego ulubionego psa, nabitą broń, którą tak. skrył pod peleryną, aby nie

zamokła i ostrożnie, bez latarni obszedł cały swój mały folwark - wszystkie zabudowania. Nikogo nie znalazł, a wątpił, aby przy takiej pogodzie odczytać mógł rano czyjeś ślady na mokrej ziemi.

Parobka pochowano następnego dnia. Na pogrzebie zjawił się kapitan Wolski, przyszli starzy maszopi, kilka kobiet i pastor. Rodziny zabitego nie było, ponieważ chłopak pochodził z drugiego brzegu Zatoki Puckiej.

- To mnie chcieli zabić - powiedział Zaremba, gdy po pogrzebie odwiedził go komendant Helu. - Dobrze, że pan przyszedł, bo naszą poprzednią rozmowę przerwało nam wejście pastora, a właśnie chciałem coś jeszcze opowiedzieć.

- To raczej ja starałem się coś z pana wydusić.

- Tak, prawdą jest, że niechętnie dzieliłem się z panem tym, co wiem, a gorzej, że nie wydaje mi się, aby mogło to rozpedzić mroki, które nas otaczają.

- Chcesz mnie wystraszyć, zacny panie Zaremba?...

- Bo też nie wolno niczego lekceważyć. Pokazało to najlepiej morderstwo, dokonane w tę sztormową noc. To ja miałem iść do ziemi, nie ten chłopak. Będę musiał dać znać x rodzinie, odesłać rzeczy i wypłacić zaległości. Szkoda go...

- Zawsze szkoda młodego, z takimi jak my już jest cokolwiek inaczej.

- Zgadzam się, kapitanie. Ale dać się głupio zabić, to też paskudna sprawa.

- Co więc chcesz mi pan jeszcze dopowiedzieć, panie Zaremba? Staliśmy na tym, że znaliście się z kapitanem Kosseckim wcześniej, razem byliście na Ostrowie w czasie zatopienia tej korwety i razem uczestniczyliście w pogrzebie sir Markhama, kiedy składano jego doczesne szczątki koło dworu w Młyniskach. I co dalej?

- Mówiłem jeszcze o kasie korwety „Dountless”, która była na pewno na okręcie, ale zginęła! Moi saperzy starannie jej szukali, nawet pod wodą...

- Tak, dobrze to zapamiętałem. I co dalej? - powtórzył pytanie.

- Niewiele już zostało do opowiedzenia, ale tajemnic przed panem, kapitanie, mieć nie chcę. Kiedy trzeci raz się na mnie zasadzą, już chyba im się uda. Nie chciałbym zejść ze świata bez spowiedzi. Choćby przed panem.

- Mówisz pan „oni” albo „im”, dlaczego nie powiesz „on” albo „jemu”?

- Bo nie ma pewności. Podejrzewam, to prawda, ale nic jeszcze pewnego, a najgorzej ze swymi podejrzeniami z kimkolwiek się dzielić. W każdym razie, gdy psy zaczną nocą ujadać, wychodzić będę przez kuchnię, z moim ulubionym psem - tropicielem. Z bronią...

- Lepiej siedź pan nocą w domu i zawrzyj okiennice. Nie igra się z lichem.

- Kiedy ja tak nie mogę - jeśli wyczuwany niebezpieczeństwo, próbuję się z nim zmierzyć... To niemądre, wiem, ale pan to też czujesz i tak samo czynisz, kapitanie. Różnimy się charakterami, ale podobnie nęci nas każda awantura, choć od innej może strony.

- Więc co było dalej?

- Spieszy się kochany pan komendant, żeby wszystko ze mnie dziś wydusić? Dobrze, ale i tak wiem, że rozczaruję pana. Końca tej sprawy nie widać. A dziś czasu mamy dużo, możemy sobie pogwarzyć. Nikt nam nie przeszkodzi, jak wtedy...

W złą godzinę widocznie wypowiedział te słowa Zaremba, bo stało się inaczej. W tym właśnie momencie zjawił się na progu izby porucznik Sta-

blewski, przez nikogo nie ogłoszony, nawet przez ujadanie psów, które go chyba znały.

- Zdaje się, że rozmowy naszej nigdy nie skończymy - westchnął Zaremba.

- Coś ważnego? - spytał Wolski porucznika.

- Myślę, że tak, panie kapitanie. Czekają na pana w garnizonie maszopi z Jastarni. Źle tam u nich.

- Maszopi?

- Starszyzna miejscowych rybaków. Sami szyprowie. Jest wśród nich Budzisz Wielki. Podobno Anglicy na Jastarnię napadli!

- Anglicy? Dobrze, idę z panem. A my, panie Zaremba, skończymy naszą rozmowę przy innej okazji, może nawet jutro.

- Zawsze serdecznie zapraszam. My teraz obaj z panem kapitanem jakby na jednym wozie, albo jednej łodzi. Jak zatonie, to z nami.

- Oby nie zatoneła, Zaremba! Spieszę więc do garnizonu. Mówisz pan, poruczniku - zwrócił się do Stablewskiego - że Anglicy na Jastarnię napadli?

- Trudno zrozumieć tych rybaków, ale na to wygląda, że mają duże kłopoty z Anglikami!

- Nie za późna pora na takie wizyty? Już się ściemnia...

- Chyba przyплыnęli morzem, potem łódź gdzieś ukryli i przyszli plażą, żeby ich helanie nie wypatrzyli.

- Fatalne wyobrażenie mają w Jastarni o bystrości helan! Lecimy więc, panie poruczniku Stablewski. Bywaj, Zaremba! Do zobaczenia...

Byli to istotnie czterej szyprowie, przedstawiciele maszoperii z Jastarni, a wśród nich sam Budzisz Wielki, ojciec Rudka i Gulosza, właściciel

kutra „Święta Barbara”. Gdy Wolski rzucił im od progu „witajcie!”, zdjęli kapuzy, skłonili się i powiedzieli chórem: „z Ponem Boziem”. Kazał im usiąść i sam zajął miejsce naprzeciwko, zrzucając płaszcz i kapelusz. Stablewski zapalił świece, przyciągnął taboret z drugiej izby i siadł w kącie. Spojrzeli na niego niechętnie, chyba nie chcieli mieć świadków, w końcu jednak jego obecność zaakceptowali. Jakiś czas w milczeniu oglądali mundur galowy komendanta - prócz Budzisz, jeszcze żaden z nich „pona kapi-tena” nie oglądał. Nie byli przyodziani świątecznie, a roboczo, „po łow- czemu”.

Sprawa miała się tak - „dwie niedziele nazod” zjawiała się pod Jastarnią korweta jego królewskiej mości „Seafox”, z której wysadzony na brzeg de- sant przechwycił, powiązał i zepchnął na morze pięć dużych, pełnomor- skich łodzi rybackich, pełnych sprzętu. Ponadto pochwycono i zabrano z sobą dwóch „knabasów”, czyli chłopców rybackich. Traf chciał, że nawinę- li się Anglikom obaj synowie Budzisz Wielkiego, Rudk i Gulosz. Łodzie wzięto na hol i korweta rozpięła żagle, odpływając na północo-zachód. Do- kąd? Budzisz przypuszczał, że „tak, jak cziede jinąd”, a więc nie był to pierwszy wypadek. Wzięli wszystko pewnie na całkiem dziki brzeg za Sta- rą Łebą. Nic tam nie ma, tylko piachy i lasy. Co było powodem porwania chłopców, łodzi i sprzętu? Chyba chcieli wziąć wszystko jako zastaw przed rozmowami z rybakami. Gdyby chcieli łodzie i sprzęt zniszczyć, a chłop- ków zabić, pewnie zrobiliby to zaraz. A nie zechce się z nimi gadać, dopie- ro chłopcom krzyże przetrąca, a łodzie zatopia...

- O czym chcą z wami rozmawiać?

- Nie z nami chcą oni gadać. Byli w Ceynowie i „weselegowali” do nas jednego reboka, aby nam rzeknął, że ich „raszczba je”, co z jegomością komendantem chcą „jazec”...

- Ze mną?

- „Jo, gwesno co je do wasty” - potwierdził jeden z rybaków. - Tak, pewnie z panem...

- A czego chcą?

Wyjaśnienie tej sprawy nie przychodziło łatwo, chyba nawet sami maszopi dobrze się nie orientowali w sprawie, jaką „Anielczykowie” mają do komendanta. ^Mówili coś między sobą, chyba kłócili się nawet, ale w jednym punkcie byli zgodni: komendant spotka się z „Anielczykami”, wówczas oddadzą im łodzie ze sprzętem i obu chłopców. Jeśli nie, nie powrócą ani chłopcy, ani sprzęt, ani łodzie. Na tym froncie panowały surowe prawa wojny i było pewne, że Anglicy spełnią swoją groźbę. O co mogło im chodzić? Może dotyczyło to jakiegoś wydarzenia, o którym nikt na Helu nie wiedział? Może Anglicy wyłowili jakichś rozbitków neutralnych albo gdańskich i chcieli zaproponować wymianę? Może nastąpiło coś takiego, o czym za pośrednictwem Helu chcieli powiadomić Gdańsk, nawet samego gubernatora? Spotkanie z nieprzyjacielem na warunkach honorowych nie raz stosuje się w czasie wojny „między pozycjami” w nagłej potrzebie. Okoliczność to nadzwyczajna, ale w warunkach bojowych dopuszczalna - praktykowano to w wojnie z Austrią, a nawet w wojnie w Hiszpanii, choć tam, pod pozorem rozmów, zdarzały się również zasadzki.

Rybacy powiedzieli swoje i zamilkli. Czekali na reakcję Wolskiego. Co mógł im odpowiedzieć? Spojrzał na Stablewskiego, ale ten rozłożył bezradnie ręce. Nie wiedział, co ma radzić, i Wolski wcale mu się nie dziwił. Potem powiódł wzrokiem po brodatych, pooranych zmarszczkami twarzach maszopów i zatrzymał się na obliczu starego Budzisa. Jego oczy wyrażały niemą prośbę, dawały mu znać, że od tego, co powie komendant, zależeć będzie życie Rudka i Gulosza. Jak miał postąpić Wolski? Dusza zabijaki, mimo że utemperowana wiekiem i doświadczeniem, przecież podpowiadała mu: „zaryzykować”. Pytać się o to nikogo nie mógł, a zresztą jeśli dostałby odpowiedź za miesiąc, na pewno spóźnioną, i tak byłaby negatywna. Kogo w Gdańsku obchodził los dwóch chłopców z Jastarni? Rozum nakazywał ostrożność.

Odpowiedział więc wymijająco. Mówił, że „w zasadzie” nie widzi przeszkód w zorganizowaniu takiego spotkania, ale jak ma ono wyglądać? Na jakich warunkach? Kto ustali datę i miejsce?

Rybacy nie widzieli w zorganizowaniu najmniejszych trudności. Anglicy często wysyłali na brzeg szalupy po prowiant i wodę, płacąc najczęściej rumem - stąd brało się tyle rumu z Jamajki na całym wybrzeżu, choć rybacy go nie pili - odsprzedawali go kupcom i korsarzom. Byli z tej transakcji zadowoleni, mogli bowiem nic nie dostać w zamian, a i tak byliby wdzięczni za pozostawienie im sprzętu, za niespalenie chat czy wreszcie za zostawienie ich samych przy życiu. Była wojna.

- Dobrze... - postanowił Wolski. - Spotkam się z Anglikami, skoro się o to dopraszają. Ale warunek wstępny, niech zwrócą wam wszystko, co zabrali. Warunek drugi, spotkam się z nimi w' Jastarni i przyjmę dwóch oficerów nie wyższych mi rangą oraz zwykłą załogę szalupy. Jeśli byłaby to szalupa z moździerzem i desantem, nic nie gwarantuję. Wybór dnia zależy od nich... Zrozumieliście?

- Jo - skinął głową Budzisz Wielki - Wszetko...

- Ponadto zobowiązuję was do ścisłej tajemnicy, inaczej nie gwarantuję niczego. Wiemy o tym my dwaj, wasza czwórka i będą wiedzieć Anglicy. Rozumiecie mnie? Tajemnica!

- Jo! „Krejarnost”! - skinęli głowami.

- Na tym jednak nie koniec porozumienia między nami i wami. My wam pomożemy i będziemy rozmawiać z Anglikami, ale wy nam też pomożecie! - Przerwał na chwilę i popatrzył im prosto w oczy. - Wiem, że między Jastarnią a Kuźnicą*¹ odbywa się przeładunek kontrabandy. Ze statków wędruje ona na brzeg otwartego morza, przenoszona jest na brzeg Zatoki Puckiej, czyli po waszemu Małego Morza i w łodziach wędruje do

¹ dla lepszej jasności miejsca, używam często nazewnictwa współczesnego, wg słownictwa polskiego nazw geograficznych, czasami tylko stosuję nazewnictwo dawne.

Swarzewa, Mechelinek, pod Oksywie i Oliwę. Chcę znać termin najbliższego przybycia towarów. Nie zdradzę nikomu, skąd o tym wiem, a wy, Budzisz, przeprowadzicie mój statek przez Mewią Rafę i kanałem między płytczniami aż na Kuźnicką Jamę. Postaracie się także o pilota.

Budzisz pokręcił głową.

Mówił, że to 'sprawa trudna, że oni z przemysłem nie mają do czynienia, że grozić to może odwetem ze strony „tamtych”, kluczył, trochę kłócił się z kamratami, trochę z Wolskim. Przestał nagle mówić językiem miejskim, popadł w północną kaszubską gwarę - jak to nazywają Kaszubi z południa: „zaczął greboleć”, aż raptownie urwał.

- No, jo... Trzeba nam „zgodzec się”... „Sztemowac”..., Ale to strach, łaskawy panie oficerze...

- Pewnie, że strach - zgodził się Wolski.

Usłyszał jeszcze, że kontrabandą nie zajmują się rybacy, „co najwyżej” pomogą coś przewieźć przez Małe Morze lub ze statku na ląd, ale kontrabanda to główne „rzemięstwo” zauszników grafa z Krokowej, uprawiają je „ancekresty Presoki”... Ale zgodzili się.

Późnym wieczorem przyjęli poczęstunek i wypili z nim za pomyślność rozmów z Anglikami, za uwolnienie chłopców i sprzętu i za udaną operację przeciw kontrabandzie. Byli to ludzie twardzi i prawi, nigdy nie łamali przyrzeczeń, nie cofali danego raz słowa, ale słowo komendanta także traktowali jak rzecz świętą. Był świadomy, że nie mógł już wycofać się z podjętych zobowiązań.

Gdy opuścili go, rozwinął mapę Pomorza i razem ze Stablewskim zaczęli ją studiować. Znał się na tym, kiedyś sam rysował mapy brzegów San Domingo i Kuby... Wziął - kałamarz z czerwonym atramentem i na starej mapie wojskowej z czasów fryderycjańskich zakreślił z pamięci granice Wolnego Miasta. Obszar obejmował cały półwysep Hel, a na lądzie granica biegła od ujścia potoków oliwskich koło Jelitkowa, sięgała w głąb pojezie-

rza i szerokim łukiem obchodziła obrzeża miasta i okoliczne wsie aż po Tczew nad Wisłą. Wisłę przekraczała już na obszarze delty - obejmowała część Żuław i połowę Mierzei Wiślanej. Jeśli chciało się złapać przemytników „na gorącym uczynku”, należało popłynąć na Małe Morze, przejść barierę Mewiej Rewy koło cypla Rewy, skierować się kanałem między ławicami aż na Kuźnicką Jamę i tam zająć łodzie z kontrabandą.

Taka operacja mogła spowodować zajęcie całego transportu, stanowić uderzenie w cały system przemytniczy i na długo powstrzymać wszelkie konwoje, łamiące kontynentalną blokadę na Pomorzu. Jakkolwiek idea blokady była wątpliwym pomysłem gospodarczym i militarnym Napoleona, była jednak zasadą obowiązującą wszystkie kraje sojusznicze cesarskiej Francji i wszystkie sojusznicze armie. Obrona zasad blokady i zwalczanie przemytu było dla polskiego garnizonu w Gdańsku jego głównym zadaniem bojowym. Cokolwiek uważano na temat skuteczności blokady i jakiegokolwiek oficjalne sugestie kierowano z Warszawy do Paryża, oczekując liberalizacji doktryny napoleońskiej i dzięki temu ożywienia polskiego handlu zagranicznego- Księstwa Warszawskiego Wisłą, przez Gdańsk i za morze, Wolski miał rozkaz na dziś przeciwstawić się łamaniu blokady. Postanowił więc zadać cios „szmuglerom” - jak ich zaczęto nazywać w gwarze portowej Anglii.

Wolski pomyślał o możliwości wykorzystania w operacji „Messaliny” kapitana Tricono, „Anny Marii” Zaremby i „Świętej Barbary” Budzisz Wielkiego, licząc że albo do tej

pory Anglicy zwrócą mu obu synów, albo weźmie na pokład . do pomocy swoich familiantów.

Zwinął mapę w rulon, odstawił pod okno, przysunął świece, papier, atrament, usiadł i wziął do ręki ostro zatemperowane gęsie pióro.

„Jaśnie Wielmożny Panie Generale!” - napisał u góry i nagle zatrzymał się. Przypomniały mu się bowiem czasy legionów Dąbrowskiego we Włoszech, kiedy surowo zabronione było podobne tytułowanie. „Wszyscy Ju-

dzie wolni są braćmi!” - pisano przecież na sztandarach i obowiązywało zwracanie się do siebie w formie „obywatelu”, w ślad za rewolucją francuską, która przyjęła zwrot „citoyen”, a nawet „bracie” - „frere”. Nie było to znów tak dawno, a przecież jakby w innej epoce... - „Jaśnie Wielmożny Panie Generale! W ślad za moim poprzednim pismem, które skierowałem za pośrednictwem kuriera na ręce JW Pana Generała, oraz za pismem, w którym donosiłem o uwolnieniu z korsarskiego karceru sekretnego posła Królestwa Danii, pragnę donieść JW Panu Generałowi o zaplanowaniu operacji, która mogłaby przeciąć ważny szlak kontrabandy z towarami angielskimi...”

Pisał długo, przy okazji informował o różnych sprawach, na koniec prosząc o wskazania, decyzje i rozkazy... Zakończył zamaszystym podpisem, posypał piaskiem, odczekał, aż atrament wyschnie, po czym arkusz złożył, związał i zalakował pieczęcią garnizonu.

Nazajutrz oddał list kanceliście burmistrza i poszedł do portu, dowiedział się bowiem, że wróciła „Messalina”. Żaglowiec stał zacumowany przy palach. Aby dostać się na pokład, skorzystał z łodzi starego Murzy, który zawsze gotów był do takich usług, bowiem zawsze coś na tym zarobił. Niekiedy nawet pływał do Gdańska, ale Wolski takiej wyprawy nie zaryzykowałby na podobnej łupinie.

Po przybyciu na pokład zamknął się w kabinie z kapitanem Triconem i porucznikiem Sokołowskim, aby omówić możliwość operacji przeciw kontrabandzie - nie wątpił, że stary Budzisz powiadomi go wkrótce o terminie transportu.

- Dobrze, że pan o tym myślisz, kapitanie Wolski - pokiwał głową Tricon, zanim jeszcze komendant Helu wyłożył mu swój plan. - O dziwnych sprawach dowiedziałem się w Gdańsku. Kto wie jak jeszcze długo będziemy pełnić tu funkcje strażników blokady kontynentalnej.

- Ma pan na myśli osłabienie rygorów blokady?

- Na to wygląda. Podobno car rosyjski, chociaż w Tylży zobowiązał się honorować zasady blokady, teraz uchyla coraz szerzej bramy swoich portów dla okrętów angielskich. Dziwne sprawy dzieją się również w Szwecji, choć oficjalnie popiera ona cesarstwo, a Prusy... Atakując kraje niemieckie, cesarz nie zdawał sobie sprawy z tego, że militarne klęski obudzą w tym narodzie tak silne poczucie wspólnej więzi. Słyszałeś pan takie nazwiska jak Schamhorst, Gneisenau albo Blücher?...

- Ten ostatni jest mi znany. To stary pruski wojak, ale nam nieprzychylny.

- W Prusach zmieniają prawo, zmieniają zasady całego państwa i reorganizują armię. W Paryżu cieszą się, że będą mieli z tej armii pożytek, gdyby wybuchła wojna z Rosją. Myślą nawet o posłaniu niemieckiego żołnierza w inne strony... Oby się w tych rachubach nie pomylili! Kontrabanda i łamanie blokady staje się powszechne, okrętów angielskich przybywa, a my wciąż pozostajemy w tym samym składzie, nie dysponując na całym Bałtyku ani jednym okrętem wojennym regularnej floty.

Wolski był ciekaw, jak przyjęto w Gdańsku Svena Nielsena, którego zabrała z Helu „Messalina” w poprzednim rejsie.

- Nikt nam z tego powodu nie gratulował, mój zacny kapitanie, choć otrzymaliśmy nagrodę za dostarczenie do Gdańska towarów pochodzenia angielskiego. Pan chyba na order ani na pochwałę z tej okazji liczyć nie możesz.

Wygląda na to, że Simon Maret działał z polecenia władz wyższych, zresztą za tym przemawiałaby obecność pana Godolina na Helu w dniu przybycia posła z Danii. Rezydentem na pewno nie zostanie, bo go tu nie chcą. Pan Nielsen rozmawiał wprawdzie z gubernatorem, ale nie spotkał się ani z burmistrzem, ani prezydentem senatu, jak zamierzał. W trzy dni później miał opuścić miasto, udając się do Kopenhagi wozem pocztowym, a nie okrętem. Żeby to ja wiedział, co tu się naprawdę dzieje i czyje interesy grają główne role?! Ale nie frasujmy się tym zanadto, kapitanie Wolski.

Wiemy, jakie są dziś nasze zadania, i starajmy się je solidnie wykonywać. Jeśli tylko zabezpieczymy sobie pilota i nawigację w głębi zatoki, aby nie wejść na jakąś zdradliwą mieliznę, to przy zanurzeniu „Messaliny” możemy zaryzykować podejście do Kuźnickiej Jamy, pod sam półwysep i przechwycić łodzie ze Swarzewa.

Wieczorem Wolski zapragnął oderwać się od bieżących kłopotów i spraw, które piętrzyły się nad jego głową. Zrezygnował nawet z wizyty u Zaremby, choć obaj mieli na swoim koncie nie zakończoną rozmowę o tajemnicy korwety „Dauntless”. Sięgnął do kufra, gdzie na dnie leżały jego książki, jakie nabył jeszcze w Paryżu. Był tam solidnie sfatygowany tomik księdza Prevosta d’Exiles „Historia Manon Lescaut i kawalera Des Grieux” - opowieść o wielkiej namiętności i tragicznych losach dwojga kochanków w czasach „starego reżymu”, była powieść pikarejska „Gil Blas” Lesage’a - gruba, rozsypująca się wskutek odpadnięcia grzbietu, księga przygód - nie wnikających jednak głęboko w mechanizmy ludzkich czynów, i ostatnia, trzecia, pełna młodzieńczego niepokoju - rzecz pana Chateaubrianda, nazywanego „kawalerem z Combourga”: „Szkic historyczny o rewolucjach”, w której pan Wolski, ongiś żarliwy republikanin, pragnął znaleźć wyjaśnienie albo przynajmniej uspokojenie wobec tego, co oglądały obecnie jego oczy pod sztandarami cesarstwa. Ciągoty do utraconej młodości rekompensował mu. Lesage, głód wielkiej, autentycznej miłości leczył Prévost, a u Chateaubrianda szukał naiwnie i bezskutecznie wyjaśnienia upadku rewolucji i pogrzebania republiki.

Wziął więc do ręki Chateaubrianda i zbliżył wymięte stronicę do ogarka świecy, kiedy niespodziewanie wydało mu się, że na korytarzu, tuż za drzwiami, usłyszał jakieś szmery. W tym momencie zdał sobie sprawę, że drzwi zapomniał zaryglować, a szablę i pistolet zostawił w sypialni. Nie zwlekając zerwał się z krzesła, doskoczył do drzwi i zasunął rygiel. Potem cofnął się do drugiej komnaty, założył pas i pendent, wyszarpnął szablę i wrócił cichutko pod drzwi, pilnie nasłuchując. Rzucił ostre „kto tam?”, a nie otrzymawszy odpowiedzi, szarpnął rygiel i rozwarł szeroko drzwi,

przezornie kryjąc się za ich skrzydłem. Nikt jednak nie odpowiedział, nikt nie wszedł.

- Jest tam kto?... - zapytał półgłosem.

Nie było odpowiedzi.

- Nie wiem, kim jesteś, ale ryzykujesz życiem...-wrzasnął nagle, zdenewrowany, skoczył w mrok korytarza, tnąc ciemność kilku błyskawicami swej szabli.

Nie znalazł nikogo, ale gdy zatrzymał się na podeście, z bronią gotową do przyjęcia ataku, usłyszał cichuteńki zgrzyt zamykanych drzwiczek na strych, które nie tak dawno zdradziła mu Anna Maria jako „nieużywane” przejście z komnat burmistrza do jego kwatery. To Stąd mógł nadejść kiedyś morderca Kosseckiego...

Doskoczył do drzwi na strych, załomotał rękojeścią szabli - ale prócz głuchego pogłosu innej odpowiedzi nie otrzymał.

Kto to mógł być? Pomyślał nagle, że to Anna Maria próbowała się z nim skontaktować przez sekretne przejście, ale myśl tę zaraz odrzucił. Już raczej był to morderca, ten sam, który zabił Kosseckiego, i ten, który zastrzelił parobjca Zaremby, przekonany, że usuwa chromego weterana. Czyżby kolej przyszła teraz na Wolskiego, a morderca sprawdzał tylko skuteczność swojej taktyki?

Wrócił, zaryglował drzwi, rozebrał się, odłożył nawet książkę i zgasił świecę. Nie otwierał okna. Bał się? Nazwał to na własny użytek przezornością. Sprawdził jeszcze, czy pistolet i szabla znajdują się w pobliżu. Jeżeli ktoś zdecydował się zabić go z zasadzki, wówczas ani pistolet, ani szabla mu nie pomogą.

10.

Wiała lekka bryza z południowego zachodu, gdy opuszczali port na Helu. Wyszli pod wszystkimi żaglami, dopiero kiedy zmienili kurs na cypel Oksywia - częściowo je zrefowali, obawiając się silniejszych podmuchów od lądu. „Anna Maria” płynęła przodem i jej przypadło ważne zadanie uotrowienia drogi idącej za nią „Messalinie”, która miała większe zanurzenie i była nieco mniej zwrotna niż łódź Zaremby. - Sam Zaremba nabrał już wiele umiejętności dobrego żeglarza, ale wśród mielizn Zatoki Puckiej na pewno przewyższali go w tych sprawach obaj jego pomocnicy, zwłaszcza nowy, spod Swarzewa, znający okoliczne mielizny i przejścia jak własną kieszeń. Zmierzch złapał ich na środku Zatoki Gdańskiej. Żeby „Messalinie” ułatwić postępowanie za „Anną Marią”, Zaremba zawiesił na rufie swej łodzi i na obu jej burtach latarnie. Gdy z pokładu „Messaliny” widać było wszystkie trzy światła na „Annie Marii”, oznaczało to, że korsarska galiota posuwa się idealnie w szyku torowym za łodzią-przewodniczką. Gdy tylko dwa światła, należało uważać, bowiem oznaczało to, że „Anna Maria” zwraca się burtą do „Messaliny”.

Przy zbliżaniu się do przesmyku w podwodnym wale Mewiej Rafy Zaremba zarządził sondowanie, biorąc pod uwagę możliwości nie tyle swej łodzi, co idącego za nim żaglowca korsarskiego. Stojący na rufie obok Wolskiego, porucznika Sokołowskiego i sternika - kapitan Tricon postanowił zrzucić wszystkie żagle rejowe, aby bryza nie zdryfowała jego okrętu z kursu, i również nakazał sondowanie. Tricon, jak większość korsarzy francuskich, omijał często Zatokę Pucką, miał więc słabe pojęcie o żegludze na tym obszarze, a mapy morskie nie zawrze godne były zawierzenia. Płynąc więc postanowił na skośnym żaglu bezanmasztu oraz żaglach dziobowych - foku i kliwrze, cały czas sondując i naśladując ruchy łodzi Zaremby. Tu rozpoczynało się niemal wyłącznie królestwo małych jednostek rybackich i

tylko miejscowi szyprowie z Rewy zapuszczali się aż po Kuźnicką Jamę na swoich pełnomorskich dwumasztowcach.

„Messalina” płynęła nie oświetlona - jej pojawienie się wśród łodzi ładujących towar angielski miało całkowicie zaskoczyć przemytników. Wolski całość operacji dobrze przemyślał - wynajęci przez niego ludzie mieli zapalić na cyplu koło Rewy silną latarnię {również z Rewy miał dostać na pokład „Messaliny” pilota, który „nawet z zawiązanymi oczami” potrafił trafić pod Kuźnicę. W połowie drogi między Rewą a głębią koło Kuźnicy czekać miała na nich dodatkowo łódź Budziszka Wielkiego, tkwiąc tam na kotwicy, oświetlona - jak boja sygnałowa. Anglicy zwrócili już sprzęt i zagrabione jednostki z Jastarni, ale obu chłopaków nie zwolnili, stary wziął więc do pomocy - jak przewidział Wolski, jakichś familiantów. Połowa Jastarni to przecież sami Budziszki!

-Tak jak było umówione - na cyplu koło Rewy paliła się latarnia i wzięli stamtąd pilota. Był to ponury, brodaty szyper w skórzanej, długiej kurtce i skórzanym kapturze oraz sztormowych butach, sięgających wyżej kolan. Cała załoga „Messaliny” była w pogotowiu - marynarze na stanowiskach manewrowych, kanonierzy przy działach. piechota morska skryta za nadburciem, choć Wolski liczył, że zaskoczenie może wykluczyć walkę i rozlew krwi. Obiecał rybakom z Jastarni, że jeżeli nie dojdzie do walki, ich familianci i kamraci ze Swarzewa nie poniosą srogich kar, ale na pewno będą musieli dostarczyć cały zasekwestrowany towar do Gdańska.

- Jeżeli wszystko przebiega zgodnie z planem, kapitanie Wolski, patrol porucznika Stablewskiego powinien być już niedaleko miejsca wyładunku towarów - podzielił się własną refleksją dowódca „Messaliny”.

- Z całą pewnością już tam są, ale mają rozkaz ujawnić swą obecność dopiero wówczas, kiedy my damy znać o sobie. To zresztą ułatwia sprawę. "Cały ładunek z przemytniczego statku zostanie już przetransportowany przez szerokość półwyspu na brzeg zatoki.

- Tak więc ci, którzy odbierają towar i ładują do szalup na zatoce, nie mają dokąd uciekać.

- Sami wpakowali się w tę pułapkę. Ich jedyna droga ucieczki została zablokowana przez „Messalinę”.

- Zmyślnie pan to obmyśliłeś, kapitanie.

- Na nic byłaby jednak cała moja zmyślność, gdybym nie znał miejsca i czasu operacji i gdyby nie obecność „Messaliny”.

- Co pan takiego obiecałeś rybakom, że ci to wszystko zdradzili? To przecież cena góry złota!

- Tak jakoś weszło, kapitanie Tricon. Czasami człowiek pomoże, to i człowiekowi pomogą... I obędzie się bez złota..

- I chce pan, żebym zaszczyt takiego zwycięstwa przypisał głównie „Messalinie”, tylko skromnie wspominając o pomocy helskiego garnizonu?

- Tak, kapitanie Tricon. To mnie zupełnie komentuje, a prawdę mówiąc, bez „Messaliny” żaden, nawet najlepszy -plan by się nie udał. To pan zgodziłeś się zaryzykować rejs w nocy, na morzu pełnym zasadzek... No i nie mówmy jeszcze o zwycięstwie, skoro najważniejsze przed nami!

- Kto organizuje tu przemyt? Wie pan coś o tych ludziach? '

- Według niezbyt ścisłych informacji towary są tu różne, na pewno część przeznaczona na „czarny rynek” Europy, ale głównie to wyposażenie nowej armii pruskiej, któremu nie mogą widocznie sprostać miejscowe manufaktury. Feldmarszałek Blücher czeka na dostawy, a pomaga mu w tym dziele sam August Neithardt von Gneisenau.

- A wie pan przynajmniej, jaki to statek trudni się kontrabandą?

- Tu mam pewność. „Nord Brabant” pod kapitanem Jorgiem van der Groote...

- Nazywają go „Latającym Holendrem”, to ten?

- Zgadza się. Jeśli wszystko się uda, niedługo go poznamy. Ma wszędzie protektorów i zachodzi swobodnie do portów Anglii, Francji, Holandii i Prus, jakby nie istniała żadna blokada kontynentalna. Ostatnio podobno pływał aż do St. Petersburga z towarami angielskimi... Jeśli się o tym dowiedzą w Gdańsku...

- Marzyciel z pana, kapitanie Wolski. Jeśli on jest taki, jakim go malują, trzęsienia ziemi z tej wiadomości nie będzie.

Minęli szczęśliwie farwater w łańcuchu mielizn Mewiej Rafy i pod bystrym okiem pilota, naśladowując manewry „Anny Marii”, weszli na kurs, wiodący prosto na głębię koło Kuźnicy. Wkrótce zobaczyli przed sobą dwa światła - jak było umówione: białe, a pod nim czerwone. Była to „Święta Barbara” Budziszów. Do burty rybackiego stateczku dobiła łódź Zaremby i obie małe jednostki poczekały na wejście „Messaliny”. Dalej wysforować miał na czoło okręt korsarski, należało się bowiem liczyć z oporem zbrojnym przeciwnika. „Anna Maria” Zaremby zgasiła teraz swoje światła, a następnie uczyniła to „Święta Barbara”, której rola kończyła się. Z chwilą rozminięcia się z „Messaliną” wyciągano kotwicę i żeglowano przez przesmyk koło Rewy do domu. „Anna Maria” i piała płynąć za rufą „Messaliny”, a następnie dobić do brzegu i czekać na Wolskiego.

Przewidziano wystrzał artyleryjski, który miał ostrzec przemytników przed jakimkolwiek działaniem obronnym, a następnie desant piechurów Sokołowskiego. Na pierwszej szalupie znaleźć się miał, razem z porucznikiem i jego żołnierzami, kapitan Wolski...

- Jak meldują Budzisz, towar z „Nord Brabant” jest już na lądzie. Pan kapitan van der Groote jest tam także! - wykrzyknął Zaremba, kiedy „Messalina” mijala „Annę Marię” i „Świętą Barbarę” kierując się na rojowisko światła na horyzoncie. Były to szalupy przemytnicze. Ich załogi czuły się tak bezpiecznie, że na każdej wiosłowej łodzi zapalono jedną albo dwie latarnie, aby uniknąć zderzenia. To ułatwiło atak „Messalinie”.

- Teraz przekonamy się, ile może zdziałać zaskoczenie. Jeszcze nas nie spostrzegli, powinno to nastąpić po wystrzale armatnim - mówił Wolski do Tricon. - Tam nie ma żołnierzy. Taki jeden wystrzał powinien wzbudzić panikę. Nie wolno dopuścić, aby zgasili światła i próbowali uciekać przez mielizny wtedy będziemy musieli otworzyć ogień do ludzi, a tego pragnąłbym uniknąć. Zaraz po wystrzale działa powinien przemówić porucznik Sokołowski, opanować panikę i odebrać tamtym na szalupach wiarę w szansę ucieczki. Uwaga, panowie... Już czas!... Kapitanie Tricon, poruczniku Sokołowski, usuwam się! To wy kierujecie odtąd atakiem. Mnie pozwólcie potem zająć miejsce w pierwszej szalupie spuszczonej na wodę i nie czekajcie na mnie! Wrócę z Zarembą!

Błysnęło i huknęło! Wystrzał armatni odbił się szerokim echem po całej zatoce, płosząc ptactwo wodne w sitowiu koło' Swarzewa i Pucka. Słyszano ten wystrzał chyba aż na Oksywiu, może nawet w Sopocie. Na przemytniczych szalupach wybuchła rzeczywiście panika. Jedni chcieli zawracać na ląd, inni próbowali ucieczki przez mielizny. Wówczas przemówił przez tubę kapitańską Sokołowski, używając dialektu puckiego, który poznał już w służbie na Pomorzu.

Wezwał do spokoju i pozostania na miejscach, grożąc otwarciem ognia w razie próby ucieczki i gaszenia świateł na łodziach. Jeżeli załogi łodzi podporządkują się poleceniom, każdy „w dobrym zdrowiu” wróci do domu - zapewnił dowódca okrętowej piechoty morskiej.

Kiedy razem z piechurami morskimi Wolski wylądował na plaży, niebo zaczynało szarzeć. Noc letnia nie trwa przecież długo. Rozpoznać już było można pojedyncze kontury łodzi, kontur lądu i bielone ściany domów. Wstała lekka bryza, nie dopuszczając na szczęście do zawiesiny z porannej mgły. Widoczność, wciąż jeszcze była dobra.

Wolski był już na plaży. W jednej ze zbliżających się do niego sylwetek rozpoznał Stablewskiego.

- Wszystko w porządku?

- Tak jest, kapitanie. Rozpocząłem działania zaraz po wystrzale „Messaliny”. Mam pod strażą kapitana Jorga van der Groote i głównego agenta pruskiego. Trzymamy także szalupę z „Nord Brabant”. Sprawa jest dość dziwna - ten agent z kupą pieniędzy dla „Latającego Holendra” to podobno adiutant samego feldmarszałka Bluchera. Tak mi się przedstawił. Major Werner von Ambach. Oczywiście po cywilnemu.

- Gdzie ich trzymacie?

- Niedaleko, w rybackiej chacie.

Poszli tam niezwłocznie. . Obu jeńców zastał Wolski przy srebrnych kubkach i gąsiorze wina - w dodatku francuskiego, a nie z przemytu. Wolski pozdrowił obu zatrzymanych, przedstawił się i zdjął kapelusz, rozpiął płaszcz. Stablewski zapytał go, czy mógłby odejść i „dać baczenie naokoło” - ma mało ludzi, a chce utrzymać „ogólny porządek” . .

- Dobrze, poruczniku. Dam sobie radę z naszymi nieproszonymi gośćmi - odpowiedział i usiadł za stołem. Obaj jeńcy odsunęli swoje kubki, oczekując na to, co powie polski oficer.

- No cóż, panowie, wasza operacja nie udała się. Jesteście moimi jeńcami. Nazywam się Rafał Wolski i jestem komendantem garnizonu Helu. Zatrzymano was po naruszeniu rygorów blokady kontynentalnej, obowiązującej na tym wybrzeżu. Muszę jednak zapytać obu panów oficjalnie, co tu robicie, i od waszej odpowiedzi uzależniam dalsze postępowanie.

- Jestem majorem armii pruskiej. Werner von Ambach - przedstawił się młodszy. W izbie paliła się świeca, ale przez maleńkie szybki w oknach i otwarte szeroko drzwi chaty wciskał się już świt. Oficer miał twarz, jaką z przyjemnością rzeźbiłby Canova, nosił bokobrody i kędzierzawą czuprynę.

- Witam, panie kapitanie Wolski! Słyszałem wiele o panu. Należy pan do brygady wojsk polskich stacjonujących w Wolnym Mieście Gdańsku, a od niedawna jest pan komendantem placówki helskiej. Cieszę się, że mogę pana poznać, choć warunki tego spotkania są, powiedzmy, nadzwyczajne.

Obaj służyliśmy w armiach sojuszniczych. Prusy tak samo jak Księstwo Warszawskie uznają pokój w Europie, oparty na zasadach ostatnio zawartych traktatów pokojowych, sygnowanych przez cesarza Francji, Napoleona Pierwszego. Transakcja, która tu się odbywa, a którą pan chce zakwestionować, kapitanie, tylko pozornie wygląda tajemniczo i pozornie narusza zasady blokady kontynentalnej. W rzeczywistości jest legalna, choć może dość oryginalna w samym sposobie jej przeprowadzenia... - zaczął mówić płynną francuszczyzną, starając się nie zdradzać podniecenia. Wszystko było grą, ale kto wie, czy gra ta nie została przygotowana znacznie precyzyjniej, niż to się Wolskiemu wydawało. - Sytuacja, w jakiej pan nas znalazł, całkowicie usprawiedliwia pańskie działanie i nie zgłaszam do tego momentu żadnego sprzeciwu. Na pana miejscu tak samo bym postąpił i tak samo postawiłbym wartownika przy drzwiach tej chaty. Ależ teraz czas zaprezentować panu kulisy tej sytuacji. Oto mój glejt, pismo osobiste feldmarszałka, upoważniające mnie do przewozu sukna i mundurów armii pruskiej, od zawarcia pokoju w Tylży - sojuszniczej armii francuskiej! Nie przypuszczam, aby miał pan takie uprawnienia, które pozwoliłyby panu kwestionować oświadczenie feldmarszałka...

Wolski przyjął podany mu arkusz papieru, rozłożył go i przebiegł wzrokiem. Napisany był po niemiecku, w języku, który niezbyt dobrze znał, na tyle jednak, żeby rozumieć ogólną treść dokumentu. Złożył go i oddał majorowi, z kolei zwracając się do Holendra: :

- A pan, kapitanie van der Groote?

- Cieszę się, że zna pan moje nazwisko, zanim je wymieniłem. Rzeczywiście, jestem tym, za kogo pan mnie bierze. Mój statek czeka na morzu, a załoga, wraz z szalupą na brzegu, gotowa do odpłynięcia. Mam wiele dokumentów, którymi mógłbym się wylegitymować, ale żeby je okazać, musiałbym poprosić pana na mój statek, kapitanie. Ze sobą wziąłem jedynie to, co dla pana powinno mieć najbardziej miarodajną wartość. Podlega pan przecież ostatecznie gubernatorowi. - Podał złożony w czworo papier, opatrzony pieczęciami.

- Oto pismo własnoręczne rezydenta cesarstwa Francji w Gdańsku, pana Nicolasa Massiasa. Pan Massias informuje w nim, że statek „Nord Brabant” nie podlega kontroli przez jednostki cesarstwa, działam bowiem z upoważnienia urzędu rezydenta. Czy trzeba panu coś więcej?

Wolski przeczytał, skinął głową i zwrócił dokument.

- Teraz, moi panowie, słuchajcie uważnie. Przybywając tutaj, nie spodziewałem się wprawdzie spotkać tak szanowanych ludzi, ale raczej rzeźmieszków trudniących się przemytem i łamiących zarządzenia blokady kontynentalnej. Byłem jednak przekonany, że proceder jest dobrze przygotowany i że okazane mi zostaną podobne dokumenty jak te, które mi panowie zademonstrowali. Mimo to będą panowie zobowiązani uszanować moje decyzje, nawet jeśli nie będą one po myśli panów. Niepodporządkowanie się moim rozkazom grozi śmiercią. Garnizon polski na Helu otrzymał rozkaz ścisłego wypełniania zaleceń cesarskich i ani pismo pana feldmarszałka, ani rezydenta cesarstwa nic tu nie zmieniają. Rozkazy otrzymuję od generała Grabowskiego, a nie od pruskiego feldmarszałka lub francuskiego urzędnika. Co najwyżej gubernator Wolnego Miasta Gdańska pan generał Rapp może uchylić areszt, jakiemu z natychmiastowym skutkiem podporządkowuję obu panów.

- Chyba pan żartuje, kapitanie - zachnął się Holender.

- Pan nie ma prawa zatrzymywać mnie, a tym bardziej przedstawiciela armii pruskiej. To narusza...

- Naruszony został dekret cesarza o blokadzie kontynentalnej i to jest główne naruszenie prawa.

- Pozwoli pan, że zgłosimy o tym w Gdańsku...

- Ułatwię to panom. Porucznik Stablewski, mój zastępca, uda się wraz z z patrolem żołnierzy na statek „Nord Brabant” wraz z obu panami i zarekwirowaną kasą, która miała pokryć koszty przewozu zabronionych towa-

rów. „Nord Brabant” popłynie zaraz do Gdańska, gdzie obu panów porucznik Stablewski przekaże do dyspozycji gubernatora. Kasę również...

- Panie kapitanie, w szalupach na zatoce znajduje się bardzo cenny ładunek! Nie może pan...

- Właśnie, że wszystko to mogę, ponieważ cały półwysep, a obaj panowie znajdujecie się na półwyspie Hel, podlega k ochronie sprawowanej przez nasz garnizon.

- Na szalupach są moi ludzie - panowie Bucholtz i Grimm... - zdenerwował się pruski major. - Ja muszę zaraz...

- Wszystkie szalupy z ich obsadą i ładunkiem zostaną przeholowane do Gdańska pod osłoną dział galioty „Messalina”. Chyba już nawet odpłynęły... Będą przed panami w Gdańsku, bo udają się przez zatokę, natomiast „Nord Brabant” kotwiczy na otwartym morzu. Dziękuję, panowie, za wysłuchanie mnie. Zaraz będzie tu porucznik Stablewski – proszę wykonywać wszystkie jego polecenia, a włos z głowy nikomu nie spadnie.

- Kto ma dowodzić moim okrętem? - pytał purpurowy z gniewu Holender.

- Pan sam oczywiście, jeśli celem tej podróży, odbytej pod nadzorem polskich żołnierzy, będzie Gdańsk.

Po rozstaniu ze Stablewskim, Wolski jakiś czas jeszcze stał na brzegu, obserwując oddalającą się szalupę, w której prócz holenderskiej załogi, kapitana van der Groote i pruskiego majora, znajdowali się polscy żołnierze, dowodzeni przez porucznika z Helu. Potem Wolski zebrał resztę oddziału i udał się z nim na drugi brzeg półwyspu, gdzie oczekiwał go na swej dużej łodzi Zaremba. Miejsca starczyło dla wszystkich.

Daleko majaczyła piramida żagli „Messaliny” i jak drobne gąski płynące za swą matką - szalupy z przemytem. Przechodzili właśnie cieśninę koło cypla Rewy, kierując się na Gdańsk.

Załoga Zaremby przy pomocy żołnierzy zepchnęła „Annę Marię” na wodę. Ich czynnościom przyglądała się gromada dzieci kaszubskich z pobliskiej wioski. Pod lasem sosnowym, na wzgórzu, stało kilku rybaków, pykając ze swych fajeczek.

11.

Mimo że porucznik Stablewski konwojował statek „Nord Brabant” do samego Gdańska, nie był w stanie opowiedzieć Wolskiemu, jak potoczyły się dalej sprawy zarekwirowanej kontrabandy.

- Kiedy dopłynęliśmy do ujścia Wisły, był już wieczór -- zdawał raport swemu dowódcy. - Mimo rozpiętych wszystkich żagli nie mieliśmy zupełnie wiatru, choć po minięciu Helu dostaliśmy trochę bryzy od Zatoki Puckiej. W każdym razie na noc stanęliśmy na redzie. Nasi żołnierze pełnili straż na rufie, przy sterniku, ale nic szczególnego się nie działo. Dostali nawet posiłek oficerski. Kapitan van der Groote zaprosił mnie i pruskiego majora do wspólnego stołu, był przesadnie grzeczny, ale nie dlatego, że się nas bał. On po prostu nas i całą marynarkę francuską, chyba nawet całe cesarstwo lekceważy. Tłumaczył mi, że administracja francuska w Gdańsku jest tak sprzedajna, że nie znalazłbym ani jednego człowieka o czystych rękach. „Jest na pewno oddana cesarzowi, bo nigdy by jej nie było lepiej - ani przy republice, ani przy starej monarchii”. Mogę mówić dalej, kapitanie?

- Oczywiście, poruczniku Stablewski. Co więc zastał pan w Gdańsku?

- Bez żagli, holowany przez dwie szalupy wiosłowe wszedł nasz statek następnego dnia w ujście Wisły i został zatrzymany przez francuskiego komendanta portu pana Chefrena. Właśnie od komendanta portu dowiedzieliśmy się, że całe miasto mówi już o „wielkim zwycięstwie francuskich korsarzy” i zdobyciu „całego konwoju płynącego z towarami angielskimi”. Pułkownik Tinel, szef korsarzy, został przyjęty przez gubernatora. Mówiono również o nagrodzie dla „bohaterskiego kapitana Tricona”. Odszukałem później „Messalinę” i Tricona, który zaklinał się, że żadnej nagrody nie otrzymał, a czeka na zwykłą wypłatę przyzowego, po wycenie przez rachmistrzów wartości zatrzymanego towaru. Kłopoty były z załogami szalup, na których przywieziono towary, bo gubernator był gotów skonfiskować wszystkie łodzie i sprzedać je później na licytacji, ale gdy okazało się, że

mieszkają „na pruskim brzegu” zatoki i spowodowałoby to konflikt z władzami pruskimi, zezwolono im wrócić. Komendantowi portu złożyłem dokładny raport i przekazałem w jego ręce sprawy kapitana van der Groote i pruskiego majora. Z Holendrem powitali się jak starzy przyjaciele. Ściągnąłem więc naszych żołnierzy z pokładu i udałem się do miasta, aby poszukać okazji na powrót. Gdy znalazłem wreszcie koło „fiszmarku” dużą łódź rybacką z Helu, dowiedziałem się, że „Nord Brabant” opuścił już Wisłę i wyszedł w rejs do St. Petersburga. Pewnie część towarów zatrzymał gubernator, część wysłał do Paryża, a rzeczy nikomu niepotrzebne zostaną uroczyście spalone na Długim Targu.

- A może nic nie zostanie spalone, nic nie wyślą i nic nie zatrzymają, lecz wszystko zostanie zwrócone Prusakom? - zastanowił się Wolski. - Jorg van der Groote otrzymał chyba należne mu pieniądze, a jedynymi poszkodowanymi okażą się rybacy ze Swarzewa, którzy gotowi byli przewieźć zatrzymane towary?

- I to jest możliwe... - przytaknął Stablewski. - Może wkrótce przywyknijemy do takich rozwiązań?

Marek wciąż jeszcze nie pokazywał się na Helu. Mówiono, że rana po cięciu szabli Wolskiego goi mu się długo, widziano go bowiem w Gdańsku z ręką na temblaku. Zlikwidowanie korsarskiej meliny na zapleczu „Lwiej Jamy” i sekwestr nagromadzonych tam towarów pochodzenia angielskiego także podkopały jego pozycję w bractwie francuskich strażników morza. Burdy w gospodach ustały, ale gospody miały chyba mniejsze obroty. Pastor Kolleck, który z wszystkich zjawisk wysuwał negatywne wnioski, uważał, że „coś wisi w powietrzu”. Na wybuch nowego poważnego konfliktu zbrojnego nic jeszcze nie wskazywało. Pogorszenie się stosunków z Rosją zdarzało się na zupełnie marginalnych odcinkach - jak na przykład przejmowanie w portach rosyjskich statków z Anglii, i nie zapowiadało jeszcze wybuchu wojny. A jednak o wojnie Napoleona z Rosją przebąkivano coraz częściej, choć należało na to jeszcze poczekać niecałe dwa lata.

Wolski nawiązał w tym czasie wiele nowych znajomości i często był gościem u starych maszopów, próbując zdobywać ważne dla siebie informacje. Poza tym kilkakrotnie zaszedł na pogawędkę do pastora, który pokazał mu rzecz niezwykle cenną, od kilku lat prowadzony „dziennik pokładowy” plebanii. Z tego notatnika wynikało, że w ów wieczór, kiedy zamordowano kapitana Kosseckiego, w porcie helskim stała „Misericordia”, na pokładzie której był sam pan Godolin „bez wątpienia agent pana Fouche, ministra tajnej policji” - zapisał w swoim notatniku pastor.

Wolski już nie uczestniczył we wspólnych posiłkach z burmistrzem i jego córką, kazać podawać sobie śniadania, obiady i kolacje na kwaterę, jak to praktykował Stablewski. Czasami jadali wspólnie. Z rozmów z Zarembą wysnuł wniosek, że weteran i Kossecki myśleli o znalezieniu „skarbu z Dauntless” i chyba nie byli w tych pragnieniach odosobnieni. Plotka o skarbie krążyła po całym Gdańsku i podejrzewano, że został on ukryty w trumnie, a - jak to zapamiętał Zaremba, uczestniczący kiedyś w pierwszym pogrzebie Markhama - „w wielkiej, podłużnej skrzyni dębowej, znacznie dłuższej niż potrzebna była na długość nieboszczyka, a która posłużyła za trumnę niedoszęłego nadzwyczajnego rezydenta Anglii w Gdańsku”. Co mogła skrywać kasa z „Dauntless”? Jeśli papiery wartościowe - z pewnością byłyby one dzisiaj garścią zbutwiałych i nic niewartych- papierzysk, ale jeżeli - bo i tak mówiono - złote talary Marii Teresy, posiadające uniwersalną i wieczną wartość? Na ślad Mary Markham Wolski nie wpadł, nie miał również sposobu, aby dotrzeć do ścisłych kręgów dawnej emigracji angielskiej i szkockiej - od czasów królowej Elżbiety zamieszkującej w Gdańsku, wzmocnionej nowymi grupami emigrantów po rewolucji Cromwella i po straconej szansie na odbudowę niepodległej Szkocji w osiemnastym stuleciu. Część tej emigracji była zresztą nie do rozpoznania w tak międzynarodowym kotle narodowościowym, jaki stanowił zawsze Gdańsk.

Anna Maria jakby rzadziej już spotykała się z Zarembą, na co niewątpliwie wpływ miały jej wyprawy do Gdańska z urzędnikami goszczącymi u Mullera, niekiedy także jej ojciec zezwalał na wyjazdy z maszopami, pod opieką ich „białek”, na „fiszmark”. Zdarzało się także, że na przejażdżki

zabierał ją na swojej łodzi nestor tutejszych rybaków, stary Murza, podnoszący na swojej łodzi zawsze kolorowy, połatany żagiel.

Wolski czekał teraz na sygnał od rybaków z Jastarni i sygnał taki wreszcie nadszedł. Według słów Budzisz - Wielkiego - „w nablizci czwiort” dwaj oficerowie Royal Navy mieli oczekiwać komendanta Helu w obejściu Budzisz Gocha. Ale porwanych synów' Budzisz Wielkiego „Anielczykowie” dotąd nie oddali, choć zwrócili porwane łodzie i sprzęt...

Wyznaczonego dnia o świcie wyruszył Wolski na łodzi Budziszów „Święta Barbara”, która zawinęła do helskiego portu jeszcze nocą. Wziął ze sobą tylko jednego żołnierza, którego mu wybrał Stablewski - „bystrego w życiu i dzielnego w boju” - choć na żaden bój, z jednym piechurem u boku, nie liczył. Chodziło mu o utrzymanie oficjalnego charakteru rozmowy.

- Ja bym tam panu kapitanowi nie radził jechać na taką rozmowę. W Gdańsku by tego nie pochwalili. Zresztą Bóg jeden wie, co się może stać. Zostanie pan porwany lub zabity.

- A jeśli chcą mi zakomunikować, że zwijają bazę na Anholt, albo że kapitulują przed cesarzem? - zażartował.

- E, co pan!... - Stablewski nie miał poczucia humoru.

- Prędzej będą próbowali pana na swoją stronę przekabacić! Pewnie słyszeli, że pan tu wrócił z San Domingo.

- Mnie? Ej, panie poruczniku, to już wolne żarty. Ani za złoto, ani za honory nikt mnie nie kupi.

Już na morzu Budzisz opowiedział mu, jak to Anglicy . wrócili wszystkie szalupy z Jastarni oraz oddali sprzęt, nawet dodali od siebie baryłkę rumu dla maszopów. Ale chłopców nie uwolnili. Słyszeli już o zagarnięciu konwoju kontrabandy z pokładu „Nord Brabant” i w odróżnieniu od Francuzów w Gdańsku lepiej znali przebieg całej operacji. Może nawet przeceniali rolę Wolskiego? Żołnierz z garnizonu nie słyszał tej rozmowy swego dowódcy z rybakiem, ulokował się bowiem na dziobie, obok obu

familiantów maszopa, a ponieważ już ponad rok stacjonował na Helu, dość łatwo porozumiewał się z chłopakami. Budzisz skarżył się oficerowi, że operacja przeciw kontrabandzie poróżniła mieszkańców Kuźnic z mieszkańcami Swarzewa. Kuźnicza- nie otrzymali zapłatę za dostarczenie towarów na brzeg, natomiast tym ze Swarzewa nikt nie zapłacił - jeszcze przyszło im cała noc przesiedzieć w lochu gdańskiej Katowni i nawet grożono im konfiskatą szalup!

- No, ale skończyło się na groźbach - odpowiedział

Wolski. - A co do zapłaty, to nie wątpię, że Prusacy zechcą im jakoś wynagrodzić tę stratę, bo po jakimś czasie spróbują znów tego miejsca przerzutu angielskich towarów... Chyba że do tego czasu cała blokada kontynentalna utraci swój sens.

W Jastarni byli już oczekiwani.

W chacie Budzisz Gocha zastali dwóch oficerów brytyjskich, z których starszy rangą nosił mundur kapitana piechoty, natomiast młodszy - był na pewno porucznikiem królewskiej marynarki. Przed checzą rybacką stał żołnierz brytyjskiej piechoty morskiej i Wolski ustawił tam także, tyle że po drugiej stronie drzwi - polskiego wartownika. Ordynans brytyjski przygotował butelkę porto, a po napełnieniu kieliszków, opuścił izbę. Ich rozmowa nie miała mieć świadków.

- Nazywam się Geoffrey Pearsori - powiedział po francusku kapitan brytyjski, powstając na widok polskiego oficera. - A to jest porucznik David Castlewood z korwety „Seafox”. Proszę, niech pan usiądzie, kapitanie. Zapraszamy do skosztowania znakomitego porto. Gdyby życzył pan sobie co innego, mogę wezwać żołnierza. Mamy zapas trunków w szalupie...

Wolski podziękował, zdjął kapelusz i usiadł naprzeciw obu oficerów. Czuł wzrastające podniecenie, z przyjemnością więc, dla opanowania nerwów., pociągnął haust wina. Czemu miało służyć to spotkanie? O co chodziło Anglikom?...

- Przypuszczam, że nie ma pan zbyt wiele czasu, sir, przystąpię więc od razu do spraw, które nas interesują. Jak pan zapewne już wie, życzenie pańskie zostało spełnione zwróciliśmy zatrzymane łodzie i sprzęt. Pewnie zaskoczyło pana nasze postępowanie, ale nie mieliśmy innego sposobu, aby spowodować dzisiejsze spotkanie. Z zasady nie niszczymy sprzętu rybackiego, jeśli nie wiąże się to z określonymi celami wojennymi. Rzecz w tym, że na ładzie, w rejonie, który podlega panu ze względów wojskowych, zostało dokonane również naruszenie prawa. Będzie więc celowe wyjaśnienie sobie istoty tego konfliktu i jego ewentualne zlikwidowanie...

Oficer mówił płynnie, ładną francuszczyzną, choć jak dotąd omijając najważniejsze tematy. Był to niewątpliwie ktoś doskonale zorientowany, być może należący do specjalnych służb Korony Brytyjskiej. Wolski słuchał uważnie, popijając porto. Ciągłe wydawało mu się, że sprawa, którą chcą mu wyjawiać Anglicy, będzie miała dla niego ważne znaczenie i że kryła się za tym gra, z której istnienia zupełnie nie zdawał sobie dotąd sprawy.

Trzy lata temu, w czasie działań wojennych pod Gdańskiem - ciągnął dalej kapitan Pearson - została zatopiona na Wiśle, w połowie odległości między Nowym Portem a samym obleżonym miastem, korweta jego królewskiej mości „Dauntless”, dowodzona przez kapitana Christophera Stracheya... - w tym momencie Wolski podniósł z zainteresowaniem wzrok na mówiącego, co chyba nie uszło uwagi tamtego. - Na okręcie tym płynął poseł w randze rezydenta specjalnego, sir Humphrey Markham, odpowiedzialny za cały ładunek, który wiozła korweta dla obleżonego pruskiego garnizonu. Sądzę, że nie odkrywam nic nowego, chyba słyszał pan o tym wydarzeniu. Francuski marszałek Lefebvre, dowodzący wojskami oblegającymi Gdańsk, wyraził wówczas zgodę na prośbę kapitana Stracheya, aby zwłoki poległego w bitwie sir Humphreya Markhama pochować oddzielnie, a nie razem z zabitymi członkami załogi okrętu. Dokonano tego następnej nocy w obecności kilku oficerów strony cesarskiej, a także kapitana Stracheya i sekretarza Hardforda. Kapitan Strachey, dopuszczony na słowo honoru do ceremonii pogrzebu, powrócił do niewoli. Zresztą przebywający w

niewoli z żoną, traktowany był na polecenie marszałka Lefebvre'a z honorami. Zezwolono mu zachować szpadę. Obecny jednak przy pogrzebie sekretarz pana Markhama nie był oficerem, nie dawał nikomu słowa honoru i... nie wrócił do niewoli. Znał język francuski i niemiecki - udało mu się dość łatwo ukryć, a gdy po kilku dniach ogłoszono kapitulację pruskiego garnizonu w Gdańsku, pan Hardford wrócił na miejsce pochowania pana Markhama i wraz z zaufanymi ludźmi wykopał trumnę, ukrywając ją następnie w innym miejscu. I tu dochodzimy do sedna całej sprawy. Spełniając zapisane w testamencie życzenie swego ojca, aby jego doczesne szczątki zostały złożone w rodzinnych stronach w hrabstwie Essex i nigdy nie pozostawione na obcej ziemi, starsza córka sir Markhama, panna Mary Markham, wychowana w otoczeniu zbiegłej z Francji arystokracji francuskiej, osoba dzielna i przedsiębiorcza, wybrała się za zgodą admiralicji na ryzykowną eskapadę, która teoretycznie nie przedstawiała wielkich trudności. Panna Mary miała zostać wysadzona nocą na półwyspie na szlaku przerzutu kontrabandy i tam przyjęta przez przedstawicieli kolonii angielskiej w Gdańsku. Stąd zabrać miała dzielną pannę Markham, wraz z trumną skrywającą szczątki jej ojca - szalupa z korwety „Seafox”. Plan był prosty, jednakże początkowo admiralicja nie była chętna, aby przyzwolić na jego realizację. Panna Markham użyła wobec tego takich wpływów, które doprowadziły ostatecznie do wyrażenia zgody. Została przewieziona na wyspę Anholt, a następnie z Anholt na brzeg półwyspu Hel na pokładzie statku „Nord Brabant”. Teoretycznie nic nie stało na przeszkodzie w realizacji planu. Mały garnizon wojska polskiego na Helu był wówczas bez dowódcy, który zginął w dość tajemniczych okolicznościach. Wiemy, że lądowanie udało się, ale potem jakby „kamień w wodę”, Mary Markham po prostu zniknęła...

Oficer przerwał, wypił do dna swoje porto i dał gestem znak porucznikowi marynarki, aby napełnił wszystkie trzy kieliszki. Wolski nie wątpił, że kieliszki przywiezione zostały także w szalupie, specjalnie na to spotkanie - w kaszubskich chatkach piło się wino własnego wyrobu i blaszanymi kubkami.

- Nasze szalupy lądują często na gdańskich i pruskich wybrzeżach. Pobierając prowiant lub wodę, otrzymujemy mniej więcej dokładne wiadomości o tym, co się tu dzieje. Tutejsi ludzie nie są nastawieni przychylnie do Prusaków, ale nie są stronnikami Napoleona, odkąd nastąpiło tak zwane „Wolne Miasto”. Jak już wspomniałem – wiedzieliśmy o tajemniczej śmierci pańskiego poprzednika, wiedzieliśmy kiedy pojawił się pan na Helu, słyszeliśmy o pojedynku z Maretem. Prowadzimy wojnę i zostajemy nadal po przeciwnych stronach - tego pewnie nie zmienimy, ale pan, jako człowiek honoru, może- dopomóc w znalezieniu nam panny Markham. Baza w Anholt zobowiązała się czuwać nad jej bezpieczeństwem i odpowiada przed admiralicją za jej życie. Jeżeli korsarze francuscy więzili tak długo posła nadzwyczajnego Danii, pośrednio wyświadczając nam tym przysługę, może zdarzyć się i tak, że więżą gdzieś pannę Markham, choć nie jest ani posłem, ani szpiegiem, lecz trochę szaloną córką dzielnego człowieka. Nie mamy wyboru. Jeśli nie natrafimy na jej ślad, jeśli nie powróci, nasilimy działania represyjne w stosunku do mieszkańców półwyspu. Zniszczymy ich łódzie i spalimy całe wsie. Jesteście za słabi, żeby nam w tym przeszkodzić, a my wyjścia nie mamy. Żywa lub w trumnie panna Markham musi wrócić do Anglii...

- Stawiacie mi, panowie, ultimatum? Albo odnajdę wam pannę Markham, albo zniszczycie rybackie wsie na Helu?

- Mamy rozkaz zakończyć tę sprawę. Nie ma od tego odwołania. Na pewno nie da pan rady obronić Helu swoim plutonem żołnierzy, nawet wspartym działaniami francuskich korsarzy, jak udało się to w stosunku do konwoju kontrabandy przed kilku dniami. Jest pan poza tym jedynym człowiekiem, z którym mimo że pozostajemy nadal nieprzyjaciółmi, możemy rozmawiać jak z dżentelmenem.

- Zostałem do tej rozmowy zmuszony. Porwaliście dwóch synów szanowanego tutaj szypra, uprowadziliście łódzie i sprzęt.

- Łódzie i sprzęt zwróciliśmy, ale jeżeli nasza misja nie odniesie skutku, nie tylko łódzie, ale cała Jastarnia pójdzie z dymem.

- A chłopcy?

- Znajdują się na wyspie Anholt. Życie panny Mary Markham i trumna ze szczątkami jej dzielnego ojca są więcej warte niż życie wszystkich mieszkańców tej wioski. Takie są prawa wojny i po doświadczeniach wyniesionych z San Domingo powinien pan o tym wiedzieć. Francuzi i Polacy nie zachowywali się tam lepiej od nas. Mówicie o wolności, a pomagacie Napoleonowi tyranizować wolne narody!... Ale zostawmy ten temat. Nie o tym chcieliśmy przecież mówić. Mamy jeszcze inne sprawy do omówienia. Darzymy pana -szacunkiem, chociaż jest pan naszym wrogiem, a pańscy francuscy zwierzchnicy uważają pana za ostatniego łotra.

- Panie kapitanie, nie wolno panu wygłaszać takich sądów o moich zwierzchnikach!

- Gdybym nie miał poważnych dowodów na to, co mówię, to oczywiście, że nie mógłbym wygłaszać, takich sądów. Ale dowody takie posiadani. Przechwyciliśmy na zatoce dwukrotnie kuriera, wracającego z Helu i płynącego do Gdańska. Wiózł pakiety różnych dokumentów, adresowanych do pana gubernatora, do rezydenta cesarstwa pana Massiasa, do szefa polskiej brygady generała Grabowskiego. Większość pism wyszła z kancelarii burmistrza Helu Proszę - oto pierwsze pismo dotyczące pańskiej osoby. Nie będzie niedyskrecją z pana strony, jeśli zapozna się pan z jego treścią. W angielskim odpisie przekazaliśmy treści tych dokumentów do admiralicji... Proszę, czytaj pan!

Wolski zawahał się, ale w końcu sięgnął po zapisaną kartę papieru, aby przynajmniej przekonać się, czy jest to autentyk. Tekst pisany był po francusku ręką burmistrza. Znał ten charakter pisma, zdradzający, że autora uczono w dzieciństwie pisać gotykiem. Znajomość francuskiego była u tego człowieka szkolna i powierzchowna, ale dostateczna, aby w tym języku przekazać określone treści - obelżywe i nikczemne!

Burmistrz przypominał o przesłaniu „na ręce wielce szanownego pana Klaudiusza Godolina, komisarza jego ekscelencji Gubernatora”, listu, który

ten może wykorzystać w rozmowach ze swoimi zwierzchnikami, a także w kontaktach z szefem polskiej brygady generałem Grabowskim. Z pisma wynikało, że Wolski nawiązał rzekomo kontakty z „klanami rybackimi na całym półwyspie, trudniącymi się procederem przemytniczym” i z kontaktów tych ciągnie osobiste korzyści, że jest „wichrzycielem i gwałtownikiem”, wdaje się łatwo w awantury i burdy, a także nawiązał przyjaźń z „najbardziej niepożądaną osobą na półwyspie, niejakim panem Boguszem Zarembą”. Burmistrz opisywał przy tej okazji „hańbiącą sprawę udzielenia pomocy tajnemu posłowi Danii, usiłującemu za plecami Paryża nawiązać współpracę z senatem gdańskim”. Przy okazji wspomniano o - wcześniej już opisaney - sprawie napadu Wolskiego i Zaremby na osobę „szlachetnego pana Simona Mareta, dzielnego cesarskiego korsarza”. Burmistrz pisał ponadto, że potwierdzają się jakieś raporty spisane przez specjalnego komisarza, który bawić miał niedawno na Helu. A dodatkowo - co chyba miało także obciążyć opinię o komendancie Helu - Wolski interesuje się faktem zatopienia korwety „Dauntless” w roku 1807 na Wiśle.

- To tylko list przewodni, panie kapitanie... - uzupełnił informacje kapitan Geoffrey Pearson. - Do listu dołączono pana osobiste raporty, adresowane do generała Grabowskiego, wraz z ich francuskimi przekładami, dość podle zredagowanymi. Proszę, oto one... Jest jeszcze opinia o panu, opracowana przez burmistrza, specjalnie na życzenie gubernatora. Proszę, czytaj pan...

Wolski wziął do ręki dokumenty, przebiegł wzrokiem opinię o własnej osobie, potem przejrzał swoje listy-raporty, wysyłane do generała Grabowskiego, wraz z ich nieudolnymi przekładami na język francuski. Anglicy zapewne również je przetłumaczyli...

- Żaden z ostatnio wysłanych przez pana raportów do generała Grabowskiego nie został przekazany adresatowi - mówił Pearson, starając się zachować ton lakoniczny, urzędowy, pozornie nic nie sugerujący polskiemu oficerowi.

- Nie mogliśmy uczynić inaczej, kopie pańskich raportów również otrzymała admiralicja oraz komodor eskadry bałtyckiej jego królewskiej mości, stąd znamy trudną sytuację garnizonu, którym pan dowodzi. Brak tu jest meldunku o operacji przeciw konwojowi, przechwyconemu przy udziale „Messaliny” - bo zapewne wysłał pan taki, ale burmistrz jeszcze go nie przesłał do Gdańska lub wysłał innym kurierem. To, co panu przedstawiłem, może pan zachować. Nie jest to nam już potrzebne.

- Nie, dziękuję, kapitanie. Mnie także nie są potrzebne te papiery. Gdybym je przyjął, oznaczałoby to współpracę z wami, a taka współpraca nie byłaby zgodna z moim pojmowaniem honoru. Chyba z waszym również. Jesteśmy obaj dalej nieprzyjaciółmi, kapitanie Pearson, i fakt, że pan burmistrz nie był uprzejmy przesłać moich meldunków, albo że przejęliście, panowie, całą korespondencję, w niczym tego nie zmienia.

- Wielu pańskich rodaków, nawet tam, na San Domingo, skąd pan przybyłeś, uznałoby takie dokumenty za wystarczające, aby zrezygnować ze służby dla cesarza. W armii brytyjskiej istnieją całe oddziały złożone z Polaków, którzy dawniej służyli Napoleonowi.

- To, co pan w tej chwili sugerujesz, panie Pearson, przekracza dopuszczalne granice naszej rozmowy. Proponuje mi pan zdradę...

- Nie chciałem zostać tak zrozumiany, sir...

- Mimo to stało się, słowa zostały wypowiedziane. Sądzę, że wyczerpaliśmy temat. Obiecuję zająć się sprawą Mary Markham i, jeżeli żyje, ułatwić jej powrót do domu wraz z trumną jej ojca. Fakt, że nie jest mi wciąż znany los obu synów rybaka Budzi sza, wpłynął na to, że w ogóle nastąpiło nasze spotkanie. Zapewniam panów., że zanim zostanę odwołany z Helu, postaram się zrobić wszystko co w mojej mocy, aby korweta „Seafox” poszła na dno. Mówienie mi o tym, że uważacie mnie „za dżentelmena”, a następnie proponujecie mi zdradę, upoważnia mnie do zażądania również dżentelmeńskiej satysfakcji. Do pana należy wybór czasu, miejsca i broni.

Z całą pewnością znajdzie pan sposób, aby zawiadomić mnie o dokonanym wyborze. Zabiję pana. kapitanie Pearson... Dziękuję panom.

Podniósł się, nałożył kapelusz i wyszedł z chaty, po drodze zabierając z sobą polskiego wartownika. Kredy obaj angielscy oficerowie kierowali się w stronę brzegu, gdzie oczekiwała ich szalupa z „Seafox”, on podążał w przeciwnym kierunku, nad brzeg zatoki, gdzie kotwiczyła „Święta Barbara”. Jak miał oznajmić Budziszowi Wielkiemu, że los jego synów jest wciąż nieznany? Ani on, ani Budzisz nie mogli uwierzyć, że chłopcy znajdują się na wyspie Anholt. Czuł zamęt w głowie, szum w uszach. Nie był to skutek porto - swój drugi kieliszek zostawił przecież nietknięty. Spodziewał się niespodzianek, ale nie tych rozmiarów! Podważony został cały sens jego służby, sens obietnic czynionych rybakom, sens jego pobytu na Helu!... Chyba tylko nie sens powrotu z San Domingo. Życ mógł tylko tutaj. Umrzeć - gdyby nastąpiła taka konieczność - także tutaj, a nie w dalekich dżunglach i sawannach.

12.

Pod koniec lipca 1810 roku zjawili się na Helu dwaj oficerowie ze sztabu dziesiątego pułku, do którego należał oddział stacjonujący na półwyspie i w którego ewidencji figurowali Wolski i Stablewski.

Mimo pogody Bałtyk rozkolebany był martwą falą i obaj oficerowie wysiedli na ląd w nie najlepszej kondycji. Byli to - major Żółtowski, zastępca dowódcy pułku, i porucznik Aksamitowski, oficer intendentury. Po zejściu z pokładu statku poczuli się lepiej, a po wypiciu szklaneczki rumu wrócili w granice normalnego samopoczucia. Następnego dnia - wypoczęci i wyspani - przeprowadzili inspekcję koszar, zapoznali się ze stanem uzbrojenia i umundurowania, a w końcu Aksamitowski wylądował w kwaterze Stablewskiego, lustrując grube teczki i księgi pełne rachunków, a Żółtowski trafił na kwaterę Wolskiego, aby wyjaśnić rzeczywisty cel odwiedzin tej „najdalej na północ wysuniętej polskiej placówki”.

- W najbliższym czasie, prawdopodobnie w pierwszej połowie sierpnia, zapowiedział odwiedziny gdańskiego garnizonu sam wódz naczelny, minister wojny jego ekscelencja książę Józef Poniatowski... - wyjaśnił dowódcy oddziału.

- Nie wątpimy, że wizyta ta, która nastąpi na osobistą prośbę szefa naszego garnizonu generała Grabowskiego, będzie miała wielkie -znaczenie nie tylko dla nas, ale dla całego kraju. Gdańsk nie został dotąd włączony w granice Księstwa, choć z ziemiami polskimi był zawsze jak najściślej zespolony. Już generał Giełgud, zaraz po oswobodzeniu Gdańska, zabiegał u cesarza o prawne połączenie Ujścia Wisły z resztą kraju, co było sprawą jak najbardziej rozsądną i naturalną. Po zwycięstwach wojsk Księstwa Warszawskiego nad Austriakami w ubiegłorocznej kampanii i poszerzeniu obszaru Księstwa, co potwierdzone zostało przez traktat w Schonbrunnie, wszyscy chcieliśmy ściślejszego powiązania ujścia Wisły z resztą kraju. Jeżeli, jak mówi się powszechnie, mogą ulec osłabieniu rygory blokady kon-

tyntentalnej, ruszy polski handel nie tylko wzdłuż Wisły, ale i za morze. To oczywiście nic oficjalnego, tylko nasze pobożne życzenia, ale gdy wziąć je pod uwagę, wizyta jego ekscelencji księcia Józefa Poniatowskiego w Gdańsku nabiera szczególnego znaczenia. Naszemu generałowi chodzi także o to, żeby księżę przekonał się naocznie o wszystkich trudach służby garnizonowej w Gdańsku i o tym, że z twierdzy w Wisłoujściu oglądamy przynajmniej raz na tydzień żagle angielskich okrętów, a żołnierz polski jest gorzej wyposażony od żołnierza francuskiego i wojsk sprzymierzonych. Zresztą pan, kapitanie, dobrze zna te warunki ze swojej praktyki i z uczestniczenia u boku generała w tych żalonych wydarzeniach na początku pańskiej służby, kiedy w pododdziałach polskiego garnizonu wrzało jak w ulu i groził bunt...

- Prawi mi pan, majorze, same sprawy dobrze mi znane. Czy mam rozumieć, że przyjazd jego ekscelencji księcia Józefa do Gdańska jest głównym powodem inspekcji panów na Helu? Jaki to ma wzajemny związek? Przecież wódz naczelny nie przybędzie na Hel!

- Wyobraź pan sobie, kapitanie, że szef garnizonu ma właśnie taki projekt - aby wódz naczelny nie tylko inspekcjonował garnizon w Gdańsku, ale i na Helu! Trafi to do prasy całej Europy, podniesie wagę naszej obecności tutaj. Oczywiście taka podróż morska księcia Józefa wymagałaby szczególnego przygotowania. Wydaje mi się, że obecny stan naszej placówki na Helu jest dostateczny i gdyby niespodziewanie odwiedził pana jutro sam minister wojny, nie znalazłby wiele kwestii wymagających wyjaśnień, chyba tylko wzmocnienia tego nadmorskiego bastionu. Ogólny stan musi ulec poprawie - to jasne. Zna pan wymagania każdego dowództwa, gdy jakaś placówka staje do przeglądu. Ale nie tylko chodzi o to - trzeba przemyśleć warunki bezpieczeństwa podróży księcia Józefa na Hel, omówić wszystko po kolei. Księżę zjadłby tu razem ze swą żołnierski posiłek, odbył rozmowę z władzami cywilnymi i z żołnierzami. Nie przebywałby dłużej jak dwie godziny...

- A wspomniane przez pana majora bezpieczeństwo na morzu?

- Oczywiście - realizację tego projektu warunkuje po pierwsze dobra pogoda. Podróż z Gdańska na Hel odbyć powinien książę na francuskim okręcie korsarskim, ale z mieszaną francusko-polską załogą. Na okręcie pewnym, zwrotnym i dobrze uzbrojonym.

- Chyba najlepiej nadaje się do tego „Messalina”, galiota dowodzona przez kapitana Triconą, na której znajduje się oddział polskich ochotników, zwerbowanych wśród żołnierzy garnizonu i miejscowej ludności, dowodzony przez porucznika Sokołowskiego.

- Dziękuję za tę informację. Już ją zapisuję. Francuskie okręty korsarskie flotylli pana pułkownika Tinela zostałyby zgrupowane w czasie wizyty eksceleencji w porcie helskim. Działa tych okrętów powitałyby przybycie księcia odpowiednim salutem, Obecność tych okrętów na Helu powinna również powstrzymać Anglików, gdyby chcieli zakłócić całą wizytę. Powracając do Gdańska, okręt wiozący księcia znalazłby się w asyście okrętów francuskich, także powracających z Helu. Jeśli chodzi o przyjęcie na brzegu helskim, to honory spełniałby tutejszy garnizon, już w porcie witający księcia i jego świtę. Konieczna byłaby obecność burmistrza, proboszcza i starszych rybaków... Musi pan to wszystko przemyśleć. Za tydzień pan generał Grabowski oczekuje pana w swej kwaterze w Gdańsku z gotowymi propozycjami. Później zajmie się tym sztab oraz zostanie to przedstawione gubernatorowi. Należy jednak pamiętać, że wszystko warunkuje zgoda księcia. My proponujemy mu nasz program, ale na pewno on ma swój... No i pogoda... A poza tym, jak często Anglicy pojawiają się na horyzoncie? Zgadłem, mówiąc, że przynajmniej raz na tydzień?

- Niekiedy częściej, panie majorze. Z reguły zachodni rejon Zatoki Gdańskiej i wybrzeża półwyspu patroluje jedna korweta. Czasami dwie. Znamy je dobrze, nawet po imieniu. To „Seafox” i „Falcon”.

- Zdarzały się przypadki lądowania na wybrzeżu?

- Nawet dość często. Anglicy kupują od rybaków ryby, zaopatrują się tu w wodę, a przy okazji przeprowadzają wywiad.

- Nie potrafiliście temu przeszkodzić?

- Jedna angielska korweta ma więcej dział, niż znajduje się na całym wybrzeżu. Poza tym niezbędny byłby tu oddział kawalerii, żeby szybko reagować w czasie lądowania. Ostatnio przerzuciłem część naszego oddziału na wozie rybaków. Zanim piechotą doszlibyśmy do miejsca lądowania, nikogo byśmy tam już nie zastali. Francuzi nie mają ani jednego okrętu, który mógłby podjąć walkę jak równy z równym z pojedynczą angielską korwetą.

- Nie możecie wywrzeć presji na ludność, aby nie wspomagała nieprzyjaciela?

- To nieszczęśliwi ludzie, gnębieni przez nieprzyjaciela chyba od czasów wojen szwedzkich, a może jeszcze wcześniej. Odmowa oddania ryb nieprzyjacielowi może oznaczać dla nich śmierć. Zniszczą im sprzęt, zatopią łodzie, spalą chaty - nikt nie stanie w ich obronie. Poza tym przez półwysep idą również kanały zorganizowanej kontrabandy, pruskie wybrzeża są także otwarte na przepływ przemycających towarów... Ostatnio w okolicy Rozewia pojawił się jakiś oddział francuskich huzarów i zablokował drogę przemytu przez Lisi Jar, ale na pewno nie potrwa to długo. Prusacy ubierają swoich żołnierzy w mundury z angielskiego sukna... Taka jest prawda. Rozumiem, że miałbym wkrótce pojechać do Gdańska, a następnie powrócić tutaj, aby w razie wyjazdu księcia pełnić honory gospodarza domu, jako dowódca placówki - czy tak?

Major Żółtowski jakby się przez chwilę zmieszał, sięgnął po karafkę z rozcieńczonym winem, nalał sobie trochę do szklanki, po czym spojrzał prosto w oczy Wolskiemu.

- Nie chcę nic taić przed panem, kapitanie, ale jeśli za wiele powiem, proszę to traktować jako wyraz wzajemnej sympatii, szacunku i... zachować dyskrecję. Po pierwsze więc i chyba najważniejsze, generał Grabowski mówił mi przed odjazdem tutaj, abym powiadomił pana o rychłym przywróceniu panu stopnia majora.

- Znalazły się więc moje dokumenty w archiwach sztabu generała Lec-
lerca z San Domingo?...

- Nie, to nie jest tak, kapitanie. Większość dokumentów z San Domin-
go rzeczywiście zaginęła. Księżę Józef po prostu pamiętał o waszej roz-
mowie w Warszawie, po pańskim powrocie z drugiej półkuli. Nie uzysku-
jąc żadnych potwierdzeń z Paryża, postanowił awansować pana na normal-
nej drodze służbowej. Wniosek o awans wystawił dowódca pułku, zaopi-
niował szef garnizonu.

- Francuzi nie kwestionowali?

- A co tu mają do gadania Francuzi? To fakt, że opinię masz pan u nich
nie najlepszą, wciąż widzą w panu dawnego republikanina, nawet jakobina,
ale to było do przewidzenia, robią tu niezłe interesy, a pan im je psujesz. W
Paryżu bada się obecnie bardzo dokładnie działalność regenta cesarstwa w
Gdańsku, pana Massiasa, wróciła znów afera kapitana Nussena. Zajmuje
się tym pan Savary, księżę Rovigo, co oznaczałoby, że wielki Fouche traci
w oczach cesarza na zaufaniu. Są to jednak informacje bardzo dyskretne i
nie powinny wyjść poza ten pokój.

- Krótko mówiąc - moja kampania na San Domingo nie pomaga mi w
karierze wojskowej.

- W opinii wielu ludzi we Francji na San Domingo znaleźli się w więk-
szości żarliwi republikanie, przeciwnicy Bonapartego. W Polsce patrzymy
na to inaczej - jako na dramat i bohaterstwo żołnierza polskiego. Nigdzie
nie spotka się pan z tego powodu z niechęcią...

- Ale jaśniej mówiąc... Nie pozostanę dłużej na stanowisku dowódcy
placówki na Helu, nie będę komendantem półwyspu? Do zakomunikowania
tej wiadomości zmierza pan okrężnymi drogami, prawda?

- Mówiąc szczerze, chyba tak. Tak to wygląda panie kapitanie, ale to
raczej moje przypuszczenia niż pewna wiadomość. Mówimy przecież

szczerze i w zaufaniu. Rekompensatą może być dla pana ten awans na majora.

- A generał Grabowski? Wyrzekał na służbę w Gdańsku, w mojej obecności krzyczał na gubernatora...

- To nie jest tajemnicą, kapitanie, że generał Grabowski pragnie najdalej pod koniec roku opuścić Gdańsk i wrócić do Warszawy... Właściwie to już postanowione.

- Tak, to było do przewidzenia, kiedy świadkowało się tej sytuacji, jaką zastałem wiosną, po zameldowaniu się w garnizonie. Jestem panu niezmiernie wdzięczny, panie majorze, za tak otwartą i szczerą rozmowę. Poczulem się nagle w atmosferze, jaka towarzyszyła legionom generała Dąbrowskiego na włoskim teatrze wojny....

- Drogi panie kapitanie, ja tam także wtedy byłem. Cudem ominął mnie wyjazd na San Domingo. Jesteś mi pan druhem i towarzyszem broni z dawnych lat, o czym nie wiedzieliśmy obaj. Niezapomniane dni! Ale zostawmy ten temat - to dawne czasy. Historia. Przyrzekliśmy teraz na wierność sztandarom Księstwa Warszawskiego. To nas zobowiązuje.

- Mówi się o kimś, kto miałby przybyć na miejsce generała Grabowskiego?

- Tak, ale to tylko plotki wśród oficerów. Wydaje się, że jest tylko jedna osoba godna tego stanowiska - generał Woyczyński, szef garnizonu w Toruniu.

- A na miejsce kapitana Wolskiego? .

- Także jest tylko jedna osoba godna tego stanowiska i pan ją dobrze znasz, kapitanie.

- Stablewski?

- Tak. Z Warszawy jedzie już dla niego awans, a konkretnie przywrócenie mu dawnego stopnia. Utracił ten stopień za pojedynek, chociaż w

szlachetnych intencjach... Jedno pytanie jeszcze, kapitanie, to tu właśnie, w tej komnacie zginął kapitan Kossecki?

- Tak, w tym miejscu, panie majorze.

- Obiecywał pan sobie podobno wytropienie jego mordercy. Nie udało się?

- Zamiast jednego, znalazłem całą zgraję...

- Wie pan, może lepiej, że pan stąd odejdiesz, kapitanie. Generał Grabowski otrzymał sekretną wiadomość, że pana także chcą zabić. A tak, może uda się panu odjechać stąd razem z generałem do Warszawy.

Gdy następnego ranka obaj oficerowie odpływali, morze było znacznie spokojniejsze, podróż do Gdańska przedstawiała się więc nie tak groźnie, jak przyjazd. Jeszcze z otwartego morza szedł głuchy poszum silnego przyboju, ale Zatoka Gdańska za Helem nie straszyla złośliwą falą o zmierzwionej, żółtawej grzywie. Natomiast na Zatoce Puckiej była zupełna cisza, jak mówią Kaszubi - „glada”...

Nie od razu Wolski wrócił na kwaterę, wstąpił jeszcze na pogawędkę do pastora, potem zajrzał do „Lwiej Jamy”, pogawędził z rybakami, próbując swoich lingwistycznych umiejętności. Nagle żal mu się zrobiło, że nie będzie słyszał tej dźwięcznej mowy, w której brzmieniu zamykał się poszum morza, wiatr gwizdzący w wantach oraz przywiązanie do ojczystego brzegu.

- Chyba czas zapomnieć o wszystkim, ożenić się i osiaść w jakimś zakątku Polski, z dala od bitew, intryg i niebezpieczeństw! - powiedział nagle głośno do siebie, aż obejrżeli się na niego kurzący fajki starzy rybacy. On natomiast zmitygował się i zawstydził - nie tego, że głośno rozmawia z cieniem, ale że to, co mówił, nie było prawdą.

13.

Kiedy w kilka dni później Wolski zjawił się w sztabie garnizonu, z gotową propozycją przyjęcia księcia Józefa Poniatowskiego na Helu, nie zastał generała. Przyjaźnie do oficera z Helu nastawiony kapitan Sokolnicki kazał mu zostawić przywiezioną dokumentację, którą zobowiązał się natychmiast przekazać dowódcy. Generał bawił niedaleko, w Oliwie, korzystając z gościnności gubernatora, który miał tam swoją osobistą rezydencję.

Do zobaczenia się z generałem ma pan cztery dni czasu, kapitanie - poinformował adiutant Wolskiego. - Dowódca życzy sobie, aby pan nie wracał tymczasem na Hel, ale pozostał w garnizonie. Mam wystarać się dla pana o kwaterę, a jeżeli chce pan mieć na ten czas ordynansa i konia, też to załatwię.

Za kwaterę oficer z Helu podziękował. Zatrzymał się w dobrze mu znanym zajęździe „Pod Trzema Maurami”. Z propozycji otrzymania konia gotów był chętnie skorzystać. Wówczas Sokolnicki poradził mu odwiedzenie konno Sopotu, gdzie lekarz garnizonu i osobisty przyjaciel gubernatora, pan Georges Haffner, pragnie wybudować zakład kąpielowy i gdzie wyjeżdża latem najlepsze towarzystwo z Gdańska.

Wolski odwiedził zatem stajnie garnizonowe, gdzie na czas pobytu w Gdańsku przydzielono mu pięknego gniadosza Sulejmana, wraz ze stajennym. Uprzedził, że jeśli na „wieczór nie wróci, koń stać będzie w stajni zajazdu. Dzięki możliwości swobodnego poruszania się po obrzeżach miasta, jeszcze tego dnia pojechał konno do Młynisk, gdzie pochowany został sir Markham, a także obejrzał miejsce zatopienia korwety „Dauntless”. Okręt znajdował się obecnie na nabrzeżu remontowym - wracano go bowiem do życia, zapowiadając rychłe zwodowanie. Otrzyma wówczas - mówiono - odpowiednie wyposażenie i wróci do służby, obecnie pod trójkolorową

banderą cesarstwa. Wówczas może stać się najsilniejszym okrętem wojennym w bazie gdańskiej, a może nawet włączyć go do regularnej floty cesarstwa?

Jadąc wzdłuż nabrzeży, położonych na lewym brzegu Wisły, aż po fortecę Montebello, Obejrzał sylwety dwóch znanych mu okrętów korsarskich - „Misericordii” kapitana Simona Mareta i „Messaliny” kapitana Triconi, cumujących w pewnym oddaleniu od siebie przy palach wbitych w dno rzeki. Koło Montebello stała również łódź Zaremby, który przywiózł go do Gdańska i obiecał zaczekać „tak długo, jak będzie trzeba”, miał bowiem również jakieś sprawy do załatwienia w mieście. Przy nabrzeżu fortu Montebello stał także flagowy okręt korsarskiej flotylli cesarstwa - bryg „Flintrepide”, dowodzony przez pułkownika Tinela. Przy „Annie Marii” Wolski zeskoczył z konia, wiążąc go za uzdę przy tym samym palu, przy którym cumowała łódź Zaremby.

- Nie przeniósłby się pan do zajazdu „Pod Trzema Maurami”, panie Zaremba? Wzięłyby pan komnatę obok mojej, bo miejsc tam sporo i pokoje stoją puste.. Wieczorem byłaby okazja pogawędzić - zaproponował przyjacielowi.

- To już raczej ja zapraszam na „Annę Marię”. Urządziłem sobie przecież doskonałą kabinę na rufie - dwie osoby się w niej zmieszczą. Moi dwaj parobcy mieszkają w kabinie ~ na dziobie - zwykłe pomieszczenie załogi. Więc chociaż mała ta moja łajba, czuję się prawie kapitanem fregaty, ba - może nawet admirałem floty!...

- Zauważyłeś pan „Misericordię” Mareta przy nabrzeżu?

- Tak. Kupiłem w Gdańsku lunetę, jaką powinien posiadać każdy szanujący się kapitan, i czasami wychodzę na pokład obserwując, co dzieje się na murach twierdzy w Wisłoujściu i na wałach fortu Montebello. A niekiedy oglądam przepływające obok statki. Przyglądam się także Maretowi. Minęło kilka miesięcy, a rękę nosi dalej na temblaku, cięcie mameluckiej szabli nie chce się zagoić...

- Mam cztery dni wolne, piątego melduję się u generała. Może pan tak długo na mnie zaczekać?

- Czemu nie? Nic mnie nie goni, nikt za mną nie tęskni.

- A panna Anna Maria, jeśli wolno spytać o takie sprawy?

- Rzadziej ją teraz widuję, coś się chyba między nami psuje.

- Może nie „coś”, ale ktoś wam na drodze stoi?

- Myśli pan o burmistrzu?

- O nikim innym, Zaremba. Wiemy obaj, że nieprzychylny panu.

- To prawda... Nie znajduje w mojej osobie odpowiedniego kandydata do ręki córki... A ona złego słowa na ojca powiedzieć nie pozwoli.

Potem Wolski odwiedził „Messalinę”. Na okręcie prowadzono drobne naprawy i częstując gościa, kapitan Tricon zapytywał, czy nie szykuje się jakaś nowa operacja „w rodzaju tej pod Kuźnicą”...

Wrócił wieczorem, konia zostawiając pod opieką stajennego w zajęz-dzie. Pragnął znaleźć zapomnienie wszystkich spraw i kłopotów w pościeli stylowego „letto matrimoniale”, w marzeniach sennych. Nie bał się widm ani „tajemniczych nieznanomych”. Na jego żądanie postarano się, aby dostał tę samą komnatę, w której nocował zaraz po przybyciu do Gdańska, kiedy to za szybami szumiała sztormowa ulewa. Odpiął swą mamelucką szablę i postawił przy łóżku, na stole „na wyciągnięcie ręki” położył swój groźny pistolet. Jak wtedy... W pokoju zjawiała się ta sama, co wówczas pokojówka. Na jego życzenie przyniosła dwie grube świece, butelkę dobrego wina i... dwie szklanice - choć prosił o jedną. Nawet zapytała konfidencjonalnie, czy może być również „kafa”, choć to specjał bardzo drogi.

Pewnie, że drogi, pomyślał, bo z przemytu! Ale oczywiście zgodził się na taką okazję. Pił gorącą i czarną kawę, mimo że w modzie była „wiedenska” z mlekiem lub śmietanką, nazywana także „kawą po polsku” lub „cafe melange”.

Mroki osnuły pokój, zapalił więc obie świece. Żałował, że nie zabrał ze sobą książki do czytania przed snem - właśnie Prevosta, a nie Chateaubrianda. Wahał się jeszcze, czy kłaść się od razu czy posiedzieć i pomyśleć? Może ułożyć własne plany na przyszłość - niezależnie od decyzji księcia, generała i innych przychylnie mu nastawionych osób? Ostatnio w śnie wracał często do dżungli San Domingo - był to dobry czy zły znak? Ostrzeżenie czy potwierdzenie jego życia? Kawa nie przeszkadzała mu nigdy zasnąć - ale teraz budziła reminiscencje dalekich Antyli i Morza Karaibskiego.

Nagle ktoś zastukał!...

Przez chwilę wróciło znów wspomnienie tamtej nocy i ów krzyk spoza drzwi: „proszę otworzyć, monsieur!” Jeśli jednak było to tylko widmo przeszłości, kto mógł dziś dobijać się do niego późnym wieczorem? Pokojówka? Adiutant generała? Może Zaremba, który zmienił postanowienie i zdecydował się nocować w zajezdzie?

- Kto tam? - rzucił pytanie, tak zwykle, zadawane na całym świecie w podobnych okolicznościach.

- Proszę otworzyć, monsieur! - usłyszał nagle głos młodej kobiety. - Bardzo proszę, niech pan szybko otworzy! Potrzebuję pomocy!...

- Głupie żarty!... - burknął. - Trzymają się kogoś nieznośne dowcipy!

Otworzył bez ceregieli, nie sięgając ani po pistolet, ani po szablę. Ktoś, kto w ten sposób dobijał się do jego drzwi, mógł go wówczas zabić jednym pchnięciem sztyletu, ciosem szabli albo wystrzałem. Ale nie zrobił tego.

Na progu stała Luiza d’Ambert. Wprawdzie nie w negliżu jak wtedy i nie udawała przerażenia. Była uśmiechnięta, wyzywająca, ubrana w szary strój amazonki, nawet ze szpicrutą w dłoni - jakby przyjechała tu konno. Jej zielone oczy wydały mu się ciemniejsze, jakby zmęczone.

- Wpuści mnie pan, kapitanie?

- Naturalnie! Jakby to powiedzieć, nawet oczekiwałem pani! Nie kłamie. Proszę usiąść. Można poczęstować? Wino czerwone, włoskie, wytrawne. Nie wiem, czy z przemytu czy dostarczone drogą legalną, ale za to dłuższą i okreśną, przez Alpy

Weszła, rozejrzała się, znów powrócił uśmiech na jej twarz, gdy zauważyła szablę przy łóżku i pistolet na stole. Usiadła i podniosła na niego wzrok. Przypatrywał się jej, podobały mu się jej oczy, jej uśmiech i złote iskierki w jej włosach.

- Kocha pan nadal niebezpieczeństwo!

- Pani jest uosobieniem niebezpieczeństwa, Luizo, i sama także lubi pani ryzyko. Jest pani bardzo odważna, przychodząc tu dziś do mnie, po wszystkim, co spotkało mnie - w czasie pierwszej wizyty pani u mnie. Powinienem teraz wezwać żandarmerię albo pluton z naszego pułku i aresztować panią, ale ja, jak pani widzi, nalewam wina do kieliszków i nie kryję się z tym, że rad jestem z pani odwiedzin. Na pewno nie są to odwiedziny towarzyskie. Pani zjawienie się zapowiada dla mnie nowe kłopoty i nowe niebezpieczeństwa, ale właśnie niebezpieczeństwo sprawia, że uczymy się cenić życie...

- Dziwna to teoria, panie kapitanie, ale muszę się zastanowić, czy sama jej nie wyznaję...

- Ależ z pewnością, Luizo! To tak, jak radość z jasnego dnia po ciemnej nocy, jak zdrowie po okresie ciężkiej choroby. Bez niebezpieczeństwa nie umielibyśmy cieszyć się z chwil, kiedy nic nam nie zagraża! Nie poznałibyśmy smaku życia!

- I zapewne miłości... Tak chciał pan to powiedzieć?

- Miłości także - zgodził się. - Cóż warta jest miłość bez zagrożenia jej utraty? Wznoszę toast na pani cześć, zanim wyjawi mi pani cel swej wizyty. Jest pani naprawdę Luizą d'Ambert, czy to tylko fantazja?

- Nie opowiem panu tego wieczoru swojego życiorysu, kapitanie Wolski. Pozostanę dla pana Luizą d'Ambert. Luiza to moje prawdziwe imię, a d'Ambert to nazwisko moich rodziców. Pochodzą z Paryża. Tam wyszłam za mąż i tylko tam znają mnie pod innym nazwiskiem. W Gdańsku jestem Luizą d'Ambert. Mniejsza o mnie, panie Wolski! Na pewno mnie lepiej poznasz, jeśli nie dasz się zbyt łatwo zabić... Zobaczyć możemy się przecież nawet w Paryżu.

- Będę się starał unikać śmiertelnego ciosu, choćby dlatego, żeby panią lepiej poznać, Luizo. Trzy miesiące temu, kiedy obejmowałem dowództwo małego garnizonu na Helu, kazano pani wywabić mnie z pokoju, aby ktoś inny mógł skraść mi w tym czasie żółtą kopertę z dokumentami. Dziś pewnie dowiem się, dlaczego to pani uczyniła... Zgadłem?

- Zgadł pan, choć na pewno oczekiwania pańskie są większe niż moje możliwości. Znienawidził mnie pan za tamten incydent?

- Sam tego nie mogę pojąć, ale stało się odwrotnie. Polubiłem panią. Trudno to wytłumaczyć, prawda? I co najgorsze, nie chodzi tylko o urodę, której matka natura pani nie poskąpiła. Równie jak uroda pociąga mnie pani perfidia, pani niedobry charakter. Jest pani przecież bardzo niebezpieczną osobą i tylko szalony może lubić panią, a zwłaszcza zaufać pani. Sądzę, że lubię panią i mógłbym pani zaufać! Dziś włóczyłem się po Gdańsku, w nadziei, że spotkam panią.

- Gdyby chciał pan mnie znaleźć, z pewnością takie poszukiwania ukoronowane zostałyby w końcu powodzeniem.

- Nie zrozumiała mnie pani. Nie szukałem pani. Bałem się okoliczności, w jakich mógłbym panią znaleźć. Nie chciałem znać ludzi, wśród których pani przebywa. Chciałem po prostu spotkać panią przypadkowo. Co mi pani dziś przynosi?

- Te dokumenty, które wyjęto wówczas z żółtej koperty. Jak pań zapewne zauważył, żółta koperta została panu zwrócona bez części jej zawartości.

- Tak, zauważyłem to, ponieważ zdążyłem wcześniej przejrzeć część papierów i znalazłem dziwne notatki kapitana Kosseckiego, robione na odwrocie lub na skraju rachunków i meldunków. Było tam coś o panu Godolinie, o Wydmie Umarłych, o korwecie „Dauntless”. Później już tych papierów nie znalazłem.

- To oczywiste. Zniknęły także te, których pan jeszcze nie czytał, a które wyjaśniały wiele zagadek. Kto wie, może 1 lepiej, że ich pan wówczas nie poznał? Mógł pan pójść ich śladem, a to oznaczałoby dla pana śmierć.

- A dziś? Mówi pani, że przyniosła mi pani te dokumenty...

- Tak, proszę... Oto one! - wyjęła z kieszeni peleryny plik papierów przewiązany tasiemką i położyła na stole. - Dziś ich waga jest już znacznie mniejsza. Niektórych żadna. Zna pan historię zatopienia korwety „Dauntless”? Z pewnością pan zna. Wielu ludzi o niej słyszało. Kapitan Kossecki i pański przyjaciel pan Zaremba asystowali nawet przy pogrzebie sir Markhama.

- Wiem. Mówił mi o tym Zaremba. Ale że pani o tym słyszała? Wiem również, że w celu odzyskania trumny przybyła córka Markhama, korzystając z kanałów przemytniczych. Nie wiem natomiast, czy chodziło jej tylko o szczątki swego ojca, czy także o kasę z „Dauntless”. Zdaje się, że ta sprawa interesuje panią.

- Trudno będzie panu uwierzyć, ale z całą pewnością pannie Markham chodziło tylko o szczątki ojca.

- Jaka była pani rola w tej historii? Bo chyba przyszła dziś pani do mnie, aby mi właśnie o tym opowiedzieć, prawda?

- Zgaduje pan.

- Co jest tego powodem?

- Powód ujawni się w trakcie mojego opowiadania. Chce pan posłuchać?

- Czemu nie, choć w całą tę historię zostałem wciągnięty przypadkowo, przez śmierć Kosseckiego. Nie pożałowałem nigdy skarbów, pewnie gdybym znalazł kasę, przekazałbym wszystko na rzecz ekwipunku polskiego wojska, żeby przestało chodzić w dziurawych butach i łatanych kurtach...

- Kapitan Kossecki także podobnie rozumował, ale właśnie to kazało mu interesować się kasą z „Dauntless” i spowodowało, że przy okazji poznał inne sprawy. Wszystko to razem splotło się w całość i kapitan Kossecki stał się niebezpieczny dla wielu bezwzględnych ludzi, którzy nie znoszą kłopotliwych natrętów.

- A więc to nie sprawa „Dauntless” była powodem jego zabójstwa?

- Na pewno nie. Skarb z „Dauntless” mógł zostać odnaleziony bez potrzeby zabijania kapitana Kosseckiego, nie dotyczył zresztą Helu, ale Kossecki szukając kasy z „Dauntless” znalazł ślady ludzi, którzy organizowali przerzuty zaopatrzenia dla reorganizowanej armii pruskiej, na co pan także wpadł i to szybciej, niż ktokolwiek mógł to przewidzieć! Dziwne, że pan jeszcze żyje!

- Na miły Bóg, wie pani o wszystkim! Kim pani jest naprawdę? Wreszcie, dlaczego pani mówi mi o tym dzisiaj?

- Wiele pytań, może nawet za wiele! Odpowiem panu na najważniejsze, bo i tak w tym celu tu przyszedłem. Jest pan jedynym człowiekiem, który nie polując ani na skarby, ani na pieniądze, może nie dopuścić, aby kasa z korwety „Dauntless” dostała się w niewłaściwe ręce. Jest pan jedynym człowiekiem honoru, który...

- Tego pani nie wie na pewno, co teraz powiem - właśnie nie tak dawno „jako człowiekowi honoru” zaproponowano mi dopuszczenie się zdrady. Przynajmniej zabić człowieka, który uznał mnie za „człowieka honoru”, godnego takiej propozycji.

- Nie znam tej historii. Nic mi o tym nie wiadomo...

- Wreszcie o czymś pani nic nie wie! Co więc chciała mi pani opowiedzieć? Działa tu pani na rzecz Anglików czy Francuzów? A może przysłał tu panią sam Belzebub - Księżę Piekieł?

- To jasne, że dla Francuzów. Skierował mnie natomiast tutaj pan Fouche, naczelnik policji i wszystkich służb tajnych. Osobiście. Oficjalnie pan Józef Fouche księżę Otranto. Nie wiem, co się dzieje w Paryżu, ale niespodziewanie cofnięto wczoraj moje Wszystkie polecenia i uprawnienia, jakie otrzymałam od pana Fouche.

- Czemu mi pani o tym mówi?

- Zaraz dojdziemy do tego. Wszystko, co robię, robię w jakimś celu. Chyba że jest to miłość; ale taki stan przeżyłam tylko raz i odbił się piekielnym piętnem na całym moim życiu. Dlaczego przyszłam do pana, kapitanie, zaraz panu wyjaśnię, ale mamy jeszcze na to trochę czasu, choć dla mnie i dla pana kończy się pobyt w Gdańsku.

- Nie jestem jeszcze zdecydowany...

- Czy myśli pan, że od pańskiej decyzji będzie zależało, czy pan tu zostanie?

- Myślę, że tak. Zadziwia mnie jednak pani. Proszę mówić dalej.

- Pracowałam kiedyś dla pana ministra Talleyranda, zanim znalazł się w niełasce. Nie wątpię, że do łask jeszcze powróci. To on był uprzejmy zwrócić uwagę pana Fouche na mnie i moje zdolności.

- Przybyła pani do Gdańska, aby udawać Mary Markham?

- Tak, zgadł pan,, ale zanim panu o tym opowiem, jeśli oczywiście interesuje to pana, chcę jeszcze coś usłyszeć. Z dokumentów, które panu zwracam, zorientuje się pan, kto w Gdańsku maczał palce we wszystkich nieczystych sprawach, ale podejrzewam, że pan już sam do tego doszedł. Domyśla się pan również, jak zginął kapitan Kossecki.

- Przecenia pani mój talent, madame. Oczywiście gdy się ma oczy i uszy otwarte, nasuwa się wiele przypuszczeń. Wiem, jak zginął Kossecki, ale mam za mało dowodów, żeby kogokolwiek oskarżyć. Szukałem winowajcy nie dla zemsty, ale byle samemu podobnego losu uniknąć.

- To ślepy traf, że szukając zaginionej kasy z „Dauntless”, a wcześniej trumny sir Markhama, niektórzy poczynili tyle zamieszania w innych kręgach sekretnych spraw. Powiem panu, gdzie ukryto trumnę z doczesnymi szczątkami sir Markhama, po wydobyciu z grobu w Młyniskach; Jeśli chce pan wiedzieć, powiem panu także, co się stało z Mary Markham, która przybyła tu, aby znaleźć i zabrać trumnę ze zwłokami ojca. Uczynię tak nie dlatego, że polubiłam pana, choć rzeczywiście polubiłam, ale tak dalece sentymentalna nie bywam. Po prostu kazano mi się tym wszystkim dotąd zajmować, ale wczoraj niespodziewanie polecono mi wszystko pozostawić i natychmiast stąd wyjechać. Jutro przed południem powinnam wsiąść do dylizansu i udać się do Paryża. Tam zgłosić się mam nie do pana Fouche, który osobiście mi to wszystko zlecił, ale do pana Savary. Coś się w Paryżu zmieniło, i pan Fouche być może przestał już piastować godność szefa tajnej policji? Jeśli tak, mogę nawet do Paryża nigdy nie dojechać. Mam więc osobistą satysfakcję, zwracając panu skradzione dokumenty i zdradzając inne tajemnice. Zrobi pan z tym co chce, wedle uznania... Cokolwiek pan zrobi, będzie to z korzyścią dla mnie i sprawi mi satysfakcję.

- Jeszcze wina?

- Unikam wina, drogi panie, bo niepotrzebnie rozwiązuje ludziom języki, a ja chcę tylko to dziś powiedzieć, co postanowiłam, ani słowa więcej! Czuję już nawet szum w uszach, to zdradliwy, mocny trunek. Pije się jak wschodnie sorbety, a moc swoją posiada. Ale co tam! Wypiję z panem jeszcze kieliszek, kapitanie! Niech sobie szumi!

Wolski nalał młodej damie i sobie. Nie spodziewał się, nie mógł nawet marzyć, że spędzi ten pusty wieczór w Gdańsku w takich okolicznościach. To było na pewno lepsze niż lektura powieści księdza Prevosta.

- W czasie gdy zabito Kosseckiego - powiedział wolno, patrząc w zielone oczy Luizy i obserwując igrające w jej włosach złote ogniki - refleksy od blasku płomienia świecy - w porcie na Helu stał okręt pana Mareta „Misericordia”, ale Maret Kosseckiego nie zabił. On chyba czekał pod domem na sygnał, chciał wiedzieć, czy Kossecki już nie żyje, i zanieść tę wiadomość na okręt, gdzie czekał pan Godolin. Mógł więc Kosseckiego zabić sam burmistrz, którego nikt by o to nie podejrzewał, ale trudno wyobrazić sobie burmistrza Müllera z pistoletem w dłoni. Już raczej jako otwierającego tajne przejście przez strych wprost do kwatery Kosseckiego. Komu otwierał to przejście? Komuś, kto wykonuje takie zlecenia za pieniądze i zna się na podobnej robocie. A dlaczego zabito Kosseckiego? Po prostu za dużo wiedział, i na temat kontrabandy, i na temat „Dauntless”. Wiedział nawet o tym, że na półwyspie wylądowała Mary Markham... Ale to tylko przypuszczenia, wiązanie luźnych informacji i faktów.

- Zdziwiasz mnie pan, kapitanie. Minister Fouche byłby zachwycony mając takiego współpracownika. Ale cóż, Fouche prawdopodobnie utracił już swoją władzę. Przynajmniej na dziś.

- Zostawmy w spokoju ministra Fouche! Miała mi pani opowiedzieć o sobie i Mary Markham.

- Zaraz to zrobię, ale Fouche także w moim opowiadaniu wystąpi. Po prostu pan Jorg van der Groote powiadomił go o zamierzonej wyprawie Mary Markham po trumnę, o skarbie ukrytym w trumnie i o wyprawie po sła duńskiego.

- Działal na dwie strony?

- Interesował go zawsze tylko jego własny interes, ani sprawy Duńczyków, ani wyprawa Mary Markham, ani nawet poszukiwanie skarbu... Pan minister Fouche posiadał już trucht informacji na temat Duńczyków i skarbu z „Dauntless”, postanowił więc, że poseł duński zostanie zatrzymany na Helu i jego misja spali na panewce, a ponieważ ludzie współdziałający w Gdańsku z Anglikami, nawet sam pan Hardford, dawny sekretarz pana

Markhama, nie widzieli na oczy panny Mary, polecono mi wystąpić w Gdańsku w roli Mary Markham, ukrywającej się pod nazwiskiem Luizy d'Ambert. Piętrowa mistyfikacja!...

- Żeby w to uwierzyć, trzeba było na własne oczy zobaczyć, jak pani wysiada z szalupy na helskim brzegu...

- I tak się właśnie stało. Po wysadzeniu na ląd tego Duńczyka i Mary Markham, pan Jorg van der Groóte zabrał mnie na swój statek i wylądowałam o trzy mile dalej, ciemną nocą, wprost na Wydmie Umarłych, w miejscu oznaczonym trzema czerwonymi latarniami. Oczekiwali mnie tam przedstawiciele gdańskiego domu handlowego Gibsonów i we własnej osobie sekretarz pana Markhama, Thomas Hardford, który ukrywał się w Gdańsku. Zostałam przyjęta jak rzeczywista córka nadzwyczajnego rezydenta, poległego na pokładzie „Dauntless”. Moja angielszczyzna, wykrystalizowana w czasie pobytu w Anglii w latach dzieciństwa - okazała się znakomita! Nikt, nawet po akcencie, nie spostrzegł mistyfikacji!

- Chodziło o to, żeby pan Hardford pokazał pani miejsce ukrycia trumny sir Markhama?

- Tak. Sama bawiłam się początkowo tą sytuacją. Niestety, mistyfikacja nie trwała długo, nie udała się. Nie uwzględniono prostego przypadku. Przed ostatnią bitwą korwety „Dauntless” pan Markham, pewnie w chwili słabości, pokazał swemu sekretarzowi skryty w pudełku pukiel włosów córki. Ale były to włosy czarne i pan Hardford zapamiętał to dobrze! Odmówił mi pokazania miejsca ukrycia trumny! Był to pedantyczny urzędnik bankowy, takich nie przekonają ani łzy, ani logika zdarzeń. Był przecież świadkiem mojego lądowania, wszystko się zgadzało, ale on w to nie uwierzył! Ostatecznie chwyciłam się innego sposobu: przyznałam się do mistyfikacji, obiecując skontaktować go z autentyczną Mary Markham. To właśnie wczoraj wyznaczyłam mu spotkanie...

- Tylko pewnie zamiast Mary Markham na spotkanie to przyszedł pan Godolin z panem Maretem, zgadza się?

- Właśnie tak się to odbyło. Oni mają swoje sposoby na rozwiązanie języka najbardziej twardego urzędnika bankowego. Dziś w nocy Godolin wejdzie w posiadanie skarbu. Skrzynka z pieniędzmi, wieziona przez korwetę „Dauntless”, została ukryta w ogromnej skrzyni, wykorzystanej jako trumna. Skrzynia ta wykopana została przez pana Hardforda z mogiły w parku dworskim w Młyniskach i zakopana ponownie na pustkowiu, między Gdańskim i Nowym Portem.

- No więc wie pani obecnie, gdzie znajduje się to miejsce?

- Dopiero dziś wieczorem uzyskałam tę wiadomość. Miałam nawet być obecna przy wykopaniu trumny i skarbu, ale bałam się... Upadek ministra tajnej policji i wezwanie mnie do Paryża czyniły odtąd wszystko, co dotyczyło mnie, sprawą ogromnie ryzykowną. Mogłam obejrzeć trumnę, nawet skarb, ale z tego miejsca już nie wrócić. Odejście pana Fouche ze stanowiska tajnej policji może spowodować dalsze poważne komplikacje również dla pana Godolina, a ja mogę stanowić jedną z przyczyn tych komplikacji...

- Krótko mówiąc, zamiast przyłączyć się do Spółki, wolała pani przyjechać do mnie, wszystko mi opowiedzieć, a jutro wsiąść do dylizansu pewna, że już ja „załatwię” pana Godolina i Marena?

- Znów mi pan imponuje tak doskonale zgadując moje intencje! Teraz mogę panu powiedzieć, gdzie ich obu szukać - nad jeziorem Zaspą koło Nowego Portu. W głąb jeziora wchodzi półwysep, na którego cyplu znajduje się kamienny krzyż pokutny. To właśnie tam. Jeżeli weźmie pan zaraz patrol z garnizonu, znajdzie pan wszystkich wmieszanych w tę sprawę, znajdzie pan trumnę i skarb oraz pewnie już tylko trupa Hardforda, który, po wskazaniu miejsca pochowania Markhama, byłby niewygodnym świadkiem...

- Co zamierza zrobić dalej Godolin?

- Jeżeli nie zmienił poprzedniego zamiaru, który przypadkowo poznałam, wyciągnięty z trumny kuferek ze skarbem miał przewieźć Simon Maret na pokładzie „Misericordii” na półwysep. Właśnie w to samo miejsce,

gdzie ukryto, albo lepiej uwięziono Mary Markham. Każde dziecko wskaże panu, gdzie to jest. Nazywają to - tu spróbowała powiedzieć po kaszubsku „checza”, ale ostatecznie wyszedł z tego taki dziwoląg, że poprawiła się, nazywając miejsce po prostu „domem” - „maison”... Był to „Dom Trzech Sióstr i Diabła”.

- Jezus Maria! A cóż to za okropne miejsce? Trzy siostry to brzmi jak trzy czarownice! I w dodatku Diabeł!

- Znam to miejsce. W rzeczywistości są to trzy poczciwe, starsze kobiety, wdowy po zaginionych rybakach z rodu Konkoli. Raczej krewne niż siostry.

- A... Diabeł?

- To ich parobek, trochę przygłup, ale dobry chłopak. Te kobiety same rybaczą na łodzi, on im pomaga. Z pewnością Mary Markham nie jest tam dręczona, przeciwnie, znajduje się pod dobrą opieką. Mają pewnie przykazane ukrywać dziewczynę, bo rzekomo grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo! Kto wie, może sama Mary Markham też w to uwierzyła? Ale jeśli Maret dotrze tam ze skarbem przed panem, pannie Markham dopiero zacznie zagrażać niebezpieczeństwo. Stanie się drugim niewygodnym świadkiem...

- Czy rzeczywiście skrzynka w trumnie zawiera takie skarby, że warte są one tylu zabiegów? Miały to być pieniądze na zaległy żołd dla tysięcy żołnierzy. Czy można je było zmieścić w niedużej skrzynce?

- Prawdę mówiąc nikt tego nie wie. Nawet sam pan Hardford. Co zawiera skrzynka, wiedział pan Markham. Fama głosi o złocie, o złotych talarach austriackich z podobizną Marii Teresy. Ale okaże się to dopiero, gdy skrzynka zostanie otwarta. Jeśli pan uda się tam teraz...

- Ach, Luizo!... Jesteś złą, złą i piękną kobietą! Złą do szpiku kości! Złą i niebezpieczną! Nie chciałbym mieć w tobie przeciwnika! To dziwne, że cię nie znieawidziłem za to wszystko, ani nie lękałem się nigdy twojej

osoby, przeciwnie, marzyłem o naszym spotkaniu, takim jak dziś!... - Wstał i zaczął odpinać guziki u swojej oficerskiej kurtki.

- Co pan robisz, kapitanie? Trzeba się spieszyć! Oboje spóźnimy się, ty nad jezioro Zaspą po skarb, a ja na poranny dyliżans!

- Mówisz teraz nonsensy, Luizo. Są różne przyczyny spóźnień, również i takie, które potrafi rozgrzeszyć historia. To i cóż, że będziesz ostatnią pasażerką, która jutro rano wsiądzie do dyliżansu? Bez ciebie i tak nie odjadą! To i cóż, że nie znajdę nad jeziorem Zaspą pana Godolina lub Mareta? Może jeszcze tej nocy ich godzina nie wybiła? A skarb z korwety „Dauntless”?... A cóż nas oboje obchodzi ów bliżej nieokreślony skarb? Uwierz mi, mogą tam być tylko cynowe grosze brandenburskie i przegniłe papiery wartościowe!

Mówiąc to usiadł na skraju łóżka i zaczął ściągać buty... Luiza jakiś czas patrzyła zdumiona na niego i na to co robi, a potem gwałtownie dopiła swój kieliszek i szczerze, głośno zaczęła się śmiać, nie dbając o to, że była już pełna noc i jej zachowanie mogło zostać poczytane w zajeździe za niemoralne...

Brakowało niewiele do świtu, gdy Wolski schodził po schodach zajazdu. Miał w perspektywie budzenie dozorczy i chłopca stajennego, a potem drogę w stronę Nowego Portu. U boku niósł mamelucką szablę, za pasem pistolet, kapelusz nałożył zawadiacko na czoło... Skarb z „Dauntless”, kontrabanda, zabójstwo na Helu - a niechże tam! Najlepiej dać sobie z tym wszystkim spokój, przyjąć zapowiadany awans, a potem wyjechać jako asysta generała Grabowskiego do Warszawy! Może się kiedyś trafi okazja odwiedzić Paryż?... Ach, zacny księżulo Prevost i awanturniczy pan Lesage, żebyście wiedzieli i potrafili opisać uczucia kapitana, który właśnie opuszczał progi zajazdu!... Tej nocy był gotów rozgromić na cztery wiatry całą flotę brytyjską!...

14.

Nie bardzo sam wiedział, dlaczego tych spraw nie zostawi innym, aby je za niego zakończyli, skoro miał zostawić helski garnizon swojemu losowi, a Gdańsk zamienić na Warszawę? Ale czuł się wciąż jak ktoś, kto wychodząc z domu, zostawia za sobą otwarte drzwi. Czy jednak do niego należało ich zamykanie? O tej porze, przed końcem nocy, nie powinien już nikogo spotkać nad jeziorem Zaspą. Godolin wrócił zapewne do swojego mieszkania przy Długim Targu, Maret ze szkatułą na okręt, trumnę ze szczątkami Markhama zakopano... Tragedia była skończona. Nie było już sensu tam jechać, chyba żeby ktoś zaczął się tam jeszcze w oczekiwaniu na piękną Luizę, jeśli nie kłamała, że grozi jej śmierć. Ale czemu miała kłamać? Pewnie chciał jeszcze tylko zobaczyć jezioro, krzyż pokutny i definitywnie pożegnać całą sprawę! Gdyby ktoś tam jeszcze był, gdyby doszło do walki, musiałby jednak Wrócić do tego łańcucha zbrodni i tajemnic. A może to właśnie go pociągało: chciał jednak zamknąć, a raczej zatrzasnąć otwarte drzwi?

Koń Sulejman nie był narowisty, łatwo dał się prowadzić i nie bał się niczego, typowy koń wojskowy. Ciekawe, skąd go wzięli? Czy był już w bitwie? Czy po salwie artyleryjskiej wydymał tylko chrapy, łowiąc w nozdrza dym prochowy? Wolski nie wiedział, czy na rogatkach miasta obowiązują jakieś hasła, jeśli tak, mógł mieć kłopoty z pierwszym patrolem, zwłaszcza gdyby natknął się na cudzoziemski kontyngent choćby z Badenii-Wirtembergii lub Saksonii. Ale posterunki przy Bramie Oliwskiej, koło słynnego - dziś już tylko szczątkowego - „Labiryntu”, w ogóle nie zareagowały na jego widok. Byli to Francuzi. Noc była ciepła, ale na skraju placu Napoleona paliły się trzy ogniska i dostrzegł wozy taborowe. Być może przybyło zaopatrzenie dla garnizonu. Polski patrol spotkał dopiero koło Młynisk. Rozmawiali tak głośno, że usłyszał ich wcześniej, niż zobaczył. Na widok jeźdźca umilkli. Nie chciał, aby go pytano o hasło, podjechał

więc prosto do żołnierzy, zapytując ich po polsku o drogę do fortu Montebello. Zaskoczył ich tym pytaniem.

- Dobrze pan jedzie, wasza wielmożność - poinformował go stary kapral. - Zaraz wedle Nowych Szkotów będzie mostek na Strzyży i dwór w Młyniskach, gdzie Francuzy stoją. Trzeba jechać dalej, drogą na Nowy Port. Pod samym Nowym Portem jedna droga skręca w lewo, na Zaspę i Brzeżno, a druga w prawo, właśnie do fortu Montebello.

- Od dawna jesteście w Gdańsku?

- Od początku, wasza wielmożność.

- Z którego regimentu?

- Z dziesiątego...

„Od początku” znaczyło zapewne, że już przeszło rok, wiosną 1809 przyszła bowiem do Gdańska brygada generała Grabowskiego - a dziesiąty regiment to jego jednostka, tyle że go w niej nie znano. Rzucił żołnierzom jakiś pieprzny dowcip, zarechotali, ale kapral postawił ich na baczność i kazał sprezentować broń...

Wkrótce minął mostek na Strzyży i niebawem skręcił w lewo. Pusto tu było - trochę ruin, samotne grupy drzew, krzaki na torfowiskach, bagna... Teren stawał się coraz bardziej otwarty - jeśli chciał ostrożnie podejść nad brzeg jeziora, powinien był skręcić jeszcze bardziej w lewo, dotrzeć do czarnej ściany lasu i tym lasem spróbować zbliżyć się do jeziora. Tak też uczynił. Księżyc ze srebrnego czynił się już złoty, wkrótce na wschodnim horyzoncie niebo z granatowego miało stać się popielate. Omotały go cienie lasu. Usłyszał nagle szelest sitowia, i oto między drzewami błysnęły ku niemu refleksy na grzbietach załamujących się fal. Był nad jeziorem. Owal wschodniego brzegu odchodził od niego w bok szerokim łukiem, gęsto zarosniętym sitowiem. Nie można było rozróżnić, gdzie kończy się woda, a zaczyna brzeg. Na wprost miał cypel i ostro rysujący się czarny kształt krzyża pokutnego.

Usłyszał głosy od tamtej strony i metaliczny dźwięk łopaty, uderzającej o kamień. Dojrzał pod krzyżem dwie sylwetki. Nie ulegało wątpliwości, że to kopacze - chyba zasypują właśnie dół pod krzyżem! Rozejrzał się, ale nie zobaczył więcej nikogo.

W szuwarach nad jeziorem odezwał się jakiś ptak. Na wschodniej stronie niebo jaśniało. Jeśli chciał coś się dowiedzieć, należało niezwłocznie działać. Puścił cugle, ściskając boki konia piętami. „Sulejman” ruszył w kłus, a następnie przeszedł w galop. Teren nie był jednak dobry dla galopu, kopyta uderzały w miękką glebę, rozpryskując grudki torfu. Raz nawet zapadły się głębiej w mokradło i koń się wystraszył. Najdzielniejszy koń, który nie lęka się pękających szrapneli, boi się bagna. „Sulejman” parsknął, postawił na sztorc uszy, ale kiedy poczuł twardy grunt, natychmiast uspokoił się...

Obaj kopacze przerwali robotę i usłyszał, że mówią do siebie po niemiecku.

- Hej, co tam robicie! - krzyknął do nich po francusku, ciekawy, czy znają ten język. Musiał się z nimi jakoś dogadać, a po niemiecku rozmawiał słabo.

- Ein Franzose! - rzucił jeden do drugiego. - Was sollen wir tun?

- Niederschiessen... aber nicht jetzt... Soli er naherkom men... Tyle zrozumiał - wzięli go za Francuza i jeden drugiemu polecił go zastrzelić, kiedy się zbliży. Ten, który miał to zrobić, odstawił łopatę, ujmując w dłonie jakiś archaiczny muszkiet o lufie z wylotem rozszerzonym jak u garłacza. Mimo dziwnego kształtu, była to groźna broń rozbójników, nabijana zazwyczaj siekańcami.

- Zakopujemy dół, przecież widzisz! - krzyknął do niego ten, który pozostał przy krzyżu, trzymając łopatę. Chyba nie miał broni palnej. - Jeśli ci życie miłe, wracaj do swoich! - mówił łamaną francuszczyzną. W tym czasie ten, który wysunął się do przodu, zniżył wylot lufy garłacza.

Nie było już czasu ani na wezwania do poddania się, ani na jakąkolwiek inną konwersację. Byli to najemni mordercy, którym zapewne polecono, aby zabili każdego, kto zastanie ich przy krzyżu. Wolski strzelił temu z garłaczem prosto w pierś, w blasku wystrzału - przez moment krótki jak błyskawica - oglądając zdumioną i zaskoczoną gębę łotra. Koń krótko zarżał, ale nie przestraszył się wystrzału. Wolski schował za pas pistolet, dobył szabli i poklepał konia po szyi

- miał rację, że to dobrze ćwiczony koń wojskowy, cywilny po takiej błyskawicy i huku poniósłby go prosto w toń jeziora...

Drugi z kopaczy porzucił łopatę, dobył bandyckiego kordelasa i rzucił się do ucieczki - ale za sobą miał toń jeziora, musiał więc szukać ratunku w luce między koniem brzegiem. Oficer zauważył, że jego przeciwnik trzyma broń w lewej ręce... A więc to leworęczny - zrozumiał. Wolskiego uczono jeszcze we Włoszech, jak należy walczyć z leworęcznym przeciwnikiem. Pierwsza zasada - leworęczny liczy na to, że będzie miał do czynienia z praworęcznym, trzeba to wykorzystać i zaatakować go właśnie lewą ręką... Istotnie - przeciwnik usiłował przedostać się między brzegiem jeziora a bokiem konia, sądząc, że jeździec będzie miał trudności w osiągnięciu go szablą. W mgnieniu oka oficer przerzucił rękojeść szabli z prawej dłoni do lewej i wykonał młynca swą mamelucką szerpentyną, wytrącając broń tamtemu z ręki i miażdżąc mu kości dłoni. Kordelas szerokim łukiem wpadł do jeziora, aż chlupnęło, a bandyta zawył z bólu i padł na kolana.

Wolski zeskoczył z siodła, nie wypuszczając z rąk ani szabli, ani uzdy. Uczył się tej sztuki przed laty - teraz mógł sprawdzić, że dawne umiejętności pozostały, choć przybyło lat, a i okazji do walki z siodła miał ostatnio niewiele. Kopniakiem przewrócił przeciwnika na ziemię, do szyi tamtemu przytykając ostrze szabli. Musiał być brutalny - tacy jak jego przeciwnicy, którzy szanowali tylko siłę bezwzględność.

- Herr Offizier, ich bin nicht schuldig! - skomlał leżący.

- Panie oficerze, nie jestem winien!...

Wolski gwałtownie zaczął szukać w pamięci słów niemieckich.

- Wo ist?...- zaczął mówić - Gdzie jest?... - chciał spytać o trumnę, ale jak będzie „trumna” po niemiecku? Kopacz jednak odgadł sens jego pytania.

- Der Sarg? - zapytał.

- Tak, oczywiście - „der Sarg”.

Leżący jakby trochę udobruchany, że oficer z nim rozmawia, mimo że przykłada mu ostrze szabli do szyi, spróbował łamanej francuszczyzny.

- Tam, na brzegu jeziora! Pan Godolin kazał nam zakopać grób, ale trumnę obciążyć kamieniami i zatopić w jeziorze. Ten, którego zabił pan Maret, także miał zostać wrzucony do jeziora.

W popielatej poświacie przedświt, na samym cyplu obok krzyża, dostrzegł Wolski istotnie otwartą ogromną skrzynię, obok zrzucone z niej wieko i leżący nie opodal jakiś kształt, na pierwszy rzut oka sprawiający wrażenie porzuconego worka... Ale nie był to worek - prawdopodobnie był to sekretarz Markhama, pan Thomas Hardford. Luiza miała rację, przypuszczając, że jeśli Godolin z Maretem dostaną w ręce skarb, nic już liczyć się nie będzie, a pierwszym, który zginie, będzie sekretarz Hardford. Następna mogła być Mary Markham.

- Znaleźliście szkatułę? - indagował dalej leżącego.

- Tak. Była ukryta w trumnie, w nogach... Ludzie pana Mareta wzięli ją na „Misericordię”...

- Dokąd z tym płyną?...

- Tego nie wiem, łaskawy panie. Mnie wynajął pan Godolin tylko do kopania...

- A gdzie jest pan Godolin?

- Nie wiem, łaskawy panie. Nawet nam jeszcze nie zapłacił. Jest pewnie w domu...

- Słuchaj uważnie, ty... Jak cię wołają?

- Hans...

- A więc słuchaj uważnie, Hans. Daruję ci życie, ale pójdziesz dziś jeszcze do pana Godolina i zażadasz zapłaty. Powiesz mu również, że nad jezioro Zaspą przyjechał kapitan Wolski. Zapamiętasz?

- Ja... Herr Kapitan Wolsky...

- Tak. Powiesz mu, że kapitan Wolski zabił twój kamrata i że taki sam los czeka pana Godolina. Zapamiętasz?

- Jawohl, mein Herr... Kapitan Wolsky... - skinął głową rzezimieszek.

Kazał leżącemu wstać, wskazał kierunek na Brzeźno, aby za szybko bandyta nie trafił do pana Godolina, przyłożył mu dwoma uderzeniami płazem szabli przez bark i plecy, a potem jakiś czas spokojnie obserwował, jak przerażony kopacz zmiata w stronę ciemniejącego boru pod Brzeźnem. Niebo różowiało. Jeszcze trochę, a spoza horyzontu mogła wyskoczyć kula słońca. Z obowiązku Wolski obejrzał powalonego bandytę, który w dłoniach trzymał jeszcze nabity garłacz. Kopnięciem buta wytrącił tę broń z martwych dłoni, aż potoczyła się i wpadła do jeziora. Potem podszedł do ciała | Hardforda. Sekretarz Markhama zginął od ciosu sztyletu.

Grozę tego zdarzenia pogłębiał fakt, że miał związane ręce i nie mógł się bronić. Widok otwartej dębowej skrzyni

- służącej za trumnę i schowek szkatułki - nie mógł należeć do takich, które nawet żołnierze uczestniczący w wielu bojach i oglądający różne pojowiska, znoszą bez przykrości. We wnętrzu dębowej skrzyni rozpoznawalne były tylko guziki galowego surduta, w którym pochowano niedoszłego rezydenta Anglii w Gdańsku. W guzikach tych odbiły się właśnie

pierwsze strzały słońca... Oficer nie bez wysiłku zaciągnął na otwartą trumnę jej wieko, a kiedy zakryło szczątki poległego, zasalutował.

Gdy odjeżdżał, z jeziora wstały mgły i cypel, na którym pozostawił trzy trupy, zniknął całkowicie okryty białym całunem. Ponad mgłą wznosił się tylko pokutny krzyż.

Było już zupełnie jasno i nad Wisłą zaczynał się portowy ruch, gdy zbliżał się do fortu Montebello, wzniesionego naprzeciw twierdzy w Wisłoujściu. Znalazł okręty zacumowane przy nabrzeżnych palach - tak, jak oglądał je wczoraj

- „Misericordia”, znacznie dalej „Messalina”, a obok „Anna Maria”.

Wpierw odwiedził Zarembę. Zaspanemu, jeszcze w koszuli i betach, w półmroku maleńkiej kabiny na rufie, opowiedział krótko o tym, co zdarzyło się tej nocy. Zaremba miał „stanąć na głowie” i natychmiast wynaleźć gdzieś wóz i konie. Na nabrzeżach nie powinno być z tym kłopotu. Potem ma pojechać z jednym parobkiem nad jezioro Zaspą i w otwartym jeszcze grobie, gdzie spoczywała przedtem trumna sir Markhama, pochować ciała sekretarza Hardforda oraz zabitego rzezimieszka.

- Nie wątpię, że od tej pory będzie tam straszyć - zauważył cynicznie Zaremba, już zupełnie przebudzony i pospiesznie gotujący się do drogi. - A co z trumną sir Markhama?

- To ogromna skrzynia, chyba ją kiedyś oglądałeś. Weźmiesz ją na wóz i załadujesz następnie na swój statek.

- A kasa z „Dauntless”?

- Jest na pokładzie „Misericordii”. Mogę tylko mieć nadzieję, że Maret chce popłynąć z kasą na Hel. Znajdziesz go tam...

- A ty?... Przepraszam za tą małą poufałość - a pan, kapitanie?

- Nie żartuj, Zaremba. Już czas, żebym ci zaczął mówić po imieniu! Nie uważasz?...

- Zgadzam się z tobą całkowicie... Co więc będzie z panem, kapitanie?
- Spróbuję namówić Tricona, aby ruszył w pościg za Maretem.

15.

Kapitan Tricon rozkładał bezradnie ręce. Wyglądał śmiesznie w swej długiej po kostki koszuli i szlafmocy na głowie, bez której żaden szanujący się kupiec w Gdańsku nie kładł się do łóżka. Informacja o szkatułce ze skarbem wywarła na nim wrażenie, nie tylko jednak musiał trzymać się poleceń swego dowództwa i nie opuszczać samowolnie Wisły, ale nie bardzo wiedział, w jaki sposób miałby odebrać Maretowi całe to bogactwo, wyciągnięte z ogromnej trumny sir Markhama. Obowiązek pozostania przy nabrzeżu Montebello wynikał natomiast stąd, że - jak późnym wieczorem poinformował go pułkownik Tinel - na Zatoce Gdańskiej pojawiły się dwa okręty angielskie. Jednym z nich był znany w Gdańsku dobrze „Seafox”, drugim - jakiś transportowy barkas, ale pod banderą jego królewskiej mości.

- W takiej sytuacji Maret także powinien zatrzymać swoją „Misericordię” na Wiśle.

- Tak też sędzę. Jeśli odbije od nabrzeża i ruszy w stronę ujścia, będzie oznaczać, że albo łamie rozkazy, albo ma specjalne zezwolenie na wyjście w morze. Dzisiaj wyjść na zatokę to podwójne niebezpieczeństwo...

- Dlaczego podwójne?

- No, przede wszystkim ci Anglicy, choć wczoraj widziano ich aż pod Piławą - dość daleko. Ale drugie niebezpieczeństwo to pogoda. Mam zwyczaj, jeszcze w koszuli i szlafmocy, wyjść boso na pokład i rozejrzeć się po niebie. Dziś, nim przybyłeś pan na pokład „Messaliny”, żeby ze zgrozą obejrzeć mnie zagrzebanego w betach, byłem już na pokładzie. I co zobaczyłem? Wiesz pan dobrze, Wolski, że marynarze nie tylko widzą, ale i czują w powietrzu jakieś zmiany - jak ptaki, psy i inne zwierzęta. Są bardziej od innych wyczuleni na kaprysy natury, bo od tego zależy często życie ich statków i ich samych. Wydaje mi się, że mogą nadejść silne szkwa-

ły, kto wie, czy nie trzydniowy sztorm... Może zresztą przesadzam, może dmuchnie trochę, a pod wieczór uspokoi się, ale w każdym razie to niepewna pogoda.

- A ci Anglicy? Czego mogą znów szukać?

- Według informacji Tinela nie zaczepiają statków wychodzących lub wchodzących do Piławy albo na wody Zalewu Wiślanego, zresztą w razie sztormu tam właśnie szukają schronienia i Prusacy ich tolerują. Tinel spodziewa się, że będą chcieli zbliżyć się do ujścia Wisły i wypróbować zasięg naszych baterii, a także ustalić nowy rozkład dział na bastionach Westplatte...

- Chodzi o bojowy zwiad przed przybyciem księcia Józefa Poniatowskiego?

- Myślę, że tak...

Wolski pozdrowił Tinela, zostawiając go w kabinie na rufie i przypuszczając, że po jego wyjściu korsarz wychylił sobie kwartę wina z jego rodzinnych stron, a potem legł w betach, śniąc, że jest co najmniej Surcoufem, korsarzem z Indii Wschodnich. Kapitan Wolski wziął tymczasem swego konia Sulejmana, który cierpliwie czekał na brzegu, uwiązany u pala, i pojechał do pobliskiego fortu Montebello, prosząc oficera inspekcyjnego, aby rozkazał swoim ludziom nakarmić konia, zaopiekować się nim w fortecznej stajni, a następnie odprowadzić do stajni garnizonowej dziesiątego pułku polskiej piechoty. Były to naturalne sprawy - między polskim a francuskim wojskiem istniały zawsze dobre stosunki i współpraca. W Montebello stało pół szwadronu strzelców konnych, tak zwanych szaserów, którzy wykorzystywani byli do patrolowania nabrzeży wiślanych aż do ujścia Strzyży, gdzie na mostku stała polska placówka. Patrol strzelców konnych, znajdujący się już w gotowości bojowej, odprowadził Wolskiego aż do burty „Anny Marii”, aby nie musiał iść pieszo. Tam dopiero szaserzy wzięli pod opiekę Sulejmana. Pozdrowił ich i po trapie dostał się na łódź Zaremby.

Szybko uwinął się jego przyjaciel z pogrzebem pana Hardforda i zabitego rzezimieszka oraz z przetransportowaniem dębowej skrzyni z doczesnymi szczątkami sir Markhama. Skrzynia była tak dużą i ciężką, że musiał nająć dodatkowo czterech robotników portowych, prócz woźnicy z furmanką i końmi. Skrzynię szczelnie owinięto nasmołowanym płótnem i owiązано linami, aby w czasie rejsu nie poleciała za burzę, co mogło się zdarzyć przy silniejszym wietrze.

- Nikt was nie widział? - dopytywał się Wolski.

-- Z daleka oglądał nas jakiś patrol, ale nikt o nic nie zapytał. Gdyby nas dogonili, chyba zapomniałbym języka w gębie. Jak się tłumaczyć z tego, że zakopujemy trupa bandyty i agenta angielskiego, a ciągniemy na statek ogromniastą trumnę, której zawartość tak długo leżała w ziemi, że już nawet nie cuchnie?

- Zajrzałeś do wnętrza?

- Zajrzałem... Najgrzeczniej to określając - nic ciekawego. To chyba niezbyt po chrześcijańsku zmuszać nieboszczyka do takich przygód. Leżał spokojnie w Młyniskach, to go przenieśli nad jezioro Zaspą, ale i tu mu nie dali odpocząć. Teraz go zabieramy na pokład, potem z pokładu przeniesiemy na półwysep, a z półwyspu, jak zgaduję, zabioją go Anglicy, aby pochować w hrabstwie Essex. A księża zwykli mówić „requiescat in pace”, „niech odpoczywa w pokoju” nad każdą mogiłą. Gdzie tu odpoczynek? Gdzie spokój? I po co to wszystko?

Obiecałem Anglikom, że postaram się, aby dostali trumnę ze szczątkami sir Markhama i żywą Mary Markham.

- Co obiecali za to?

Zwrócić synów starego Budzisz Wielkiego, nie topić łodzi rybackich, nie niszczyć sprzętu, nie palić chat...

- I wierzysz im, Wolski?

- Po prostu, jeśli chcę Chronić rybaków, muszę im wierzyć., A chronić rybaków to mój obowiązek, dopóki jeszcze jestem komendantem Helu.

- Coś przede mną ukrywasz. Co to znaczy „dopóki jeszcze”. Masz jakieś złe wiadomości?

- Nie wiem, czy złe. Chcą mnie odwołać z Helu, a generał Grabowski widzi mnie u swojego boku w Warszawie.

- I pojechałbyś tam?...

- Wybrzeże nie dało mi ani zadowolenia ze służby, ani wiele radości osobistych. Jedna radość to przyjaźń z tobą, Zaremba...

- Zdaje się, że zawróciła ci trochę w głowie piękna dama z Normandii, którą poznałeś w nadzwyczajnych okolicznościach na samym wstępie twojego pobytu na Wybrzeżu. Spotkałeś ją jeszcze?

- Tak. Nawet niedawno. Masz rację że mi zawróciła w głowie, ale to już minęło. Zapewne właśnie w tej chwili ładuje się do dyliżansu i opuszcza Gdańsk. Na zawsze. A twoja miłość?

- Sytuacja, najogólniej mówiąc, skomplikowała się. Nie mówiłem ci o tym, ale podejrzewam, że na Helu głównym przedstawicielem najbardziej mrocznych mocy jest ojciec Anny Marii i że to on jest winien śmierci kapitana Kosseckiego. Co ty na to?

- Uważam identycznie, ale brak mi ostatecznych dowodów.

- Właśnie... Byłem tak niedelikatny wobec Anny Marii, że kiedy w rozmowie ze mną nie chciała się zgodzić z moją argumentacją na temat jej ojca, wyciągnąłem przeciw niemu najpoważniejsze zarzuty.

- Nie powinieneś był tego czynić.

- Wiem, że nie powinienem, ale stało się.

- Jest jego córką, powinna go bronić.

- Tak też uważam... Zostawmy jednak to swojemu losowi. Czas chyba wszystko rozwiąże, a ból zaleczy. Dokąd płyniemy?

- Na Kuźnicką Jamę, za barierę Mewiej Rafy. Maret chyba tam też popłynie, ale będzie się bał brać kurs na zatokę, już raczej opłynie dookoła kosę półwyspu. Będziemy na miejscu przed nim, jeśli zaraz wyruszymy.

- Kazałem zdjąć trap. Jesteśmy gotowi. Jakie to miejsce?

- Mówią o nim „Chata Trzech Sióstr i Diabła” - to również baza Mareta, jego magazyn i podobno więzienie. Ukrywa tam Mary Markham na polecenie Godolina. Teraz, kiedy ma już szkatułkę, pannie Mary grozi śmierć, podobnie jak groziła sekretarzowi Markhama, którego dziś pochowaliście. Słońce już wysoko, Zaremba. Czas na nas...

Kiedy to mówił, jeden z dwóch żeglarzy jego łodzi zameldował sensacyjną dla nich wiadomość - „Misericordia” opuściła miejsce cumowania na Wiśle i na zrefowanych żaglach szła w dół rzeki, w stronę Westerplatte. Wolski zauważył, że na burtę „Messaliny” wyległa cała załoga, obserwując wyjście korsarskiego okrętu Mareta. Może liczyli, że Maret ucieka i zatrzymają go działa twierdzy w Wisłoujściu albo fortu Montebello, ale nic takiego się nie stało. Może pułkownik Tinel, dowódca francuskich korsarzy, zezwolił na to wyjście? Sam Maret stał na rufie, obok sternika. Zaremba podał Wolskiemu zakupioną niedawno lunetę i oficer mógł wreszcie przyjrzeć się twarzy korsarza - nie przypatrzył się jej przecież w czasie nocnej awantury.

Dojrzał również bandażę i rękę na temblaku. Było prawdą, co mówiono, że rana zadana szablą Wolskiego nie goi się.

- Odbijamy! - zdecydował Zaremba. - Chłopcy, zdejmować cumy! Stawiać grot! Zaraz za ujściem stawiamy fok i kliwer oraz rozpinamy topsel. Pójdziemy ostro pod wiatr, aby przy dobrej pogodzie dojść do cypla koło Rewy i przeskoczyć Mewią Rafę. Płynąc otwartym morzem, po tamtej stronie półwyspu, Maret nie stanie pod Kuźnicą szybciej niż my...

Ale tu Zaremba, jak również i Wolski mylili się. Po wyjściu z ujścia Wisły okręt korsarski nie obrał kursu na cypel Helu, ale taki sam, jak przewidywał dla swojej łodzi Zaremba - północno-zachodni, wzdłuż brzegów zatoki, koło ujścia potoków oliwskich i sopockich, cypla Redłowa i Oksywia - w stronę Rewy... Zamierzał przejść Mewią Rafę i miał wszystkie szanse, aby daleko wyprzedzić „Annę Marię” i pierwszy stanąć przy wybrzeżu Kuźnicy...

Gdy „Anna Maria” wyszła zachodnim ujściem Wisły na otwarte morze - „Misericordia” postawiła już wszystkie żagle i była ledwie widoczna na horyzoncie po północno-zachodniej stronie. Zaremba siadł przy sterze, rzucając co jakiś czas rozkazy swoim dwóm parobkom, zamienionym w jakże znakomitych żeglarzy. - Krzyczał „luzować szoty”, „uwaga na kliwer” albo „przygotować się do zwrotu”. Wiatr wiał od dziobu, musieli więc cały czas halsować, co # opóźniało ich żeglugę - to zbliżali się w stronę lądu, to oddalali. Wolski siadł nie opodal Zaremby, otulił peleryną, bo bryzgi fal spod dziobu leciały aż na rufę, i tylko chylił głowę w swym oficerskim kapeluszu, gdy przerzucano bom na drugą burtę - wreszcie zupełnie zdjął nakrycie głowy i schował do maleńkiej kabiny Zaremby wraz z pistoletem. Miał zamiar przeczyścić go po strzale nad jeziorem i nabić powtórnie, kiedy już zbliżać się będą do brzegów półwyspu. Nie wiedział, jak postąpi, by dotrzeć do „Chaty Trzech Sióstr i Diabła” i jak wyzwoli Mary Markham, gdy będzie tam już Maret ze swoją kompanią...

- Jak myślisz, kapitanie, czy Maret otworzył już szkatułkę? Od czasu gdy oglądałem pogrzeb i zobaczyłem tę wielką, dębową skrzynię, chowaną koło dworu w Młyniskach, byłem pewny, że kryje jakąś tajemnicę. Potem dowiedziałem się, że skrzynię wykopano i przeniesiono w inne miejsce. W całym Gdańsku szeptano o „ogromnych skarbach” z korwety „Dauntless”, co podniecało tylko moją wyobraźnię. Szukałem jakichś śladów na własną rękę, szukał Kossecki, razem pojechaliśmy nawet na miejsce zatopienia okrętu i do Młynisk... I nic... A tu okazuje się, że skarb był tak blisko, tak płytko zakopany! Wiem, że ciebie, kapitanie, nie podniecają pieniądze, ale-

ja wyobrażałem sobie, że znajduję trumnę, otwieram skrzynkę i oto błyszczą w niej talary z wizerunkiem Marii Teresy!...

- Skąd wiesz. Zaremba, że będą w niej złote talary? Przecież to był żołd dla garnizonu, więc raczej żelazne groszaki brandenburskie...

- Mówiono szeptem o złotych talarach, więc o tym marzyłem. Na pewno nie marzyłbym o groszach. Zresztą faktem jest, że grobu Markhama szukać kazał pan Massias, a nawet sam gubernator, zainteresowano się nim podobno w Paryżu..., To prawda?

- Chyba tak. Sam minister Fouche zorganizował poszukiwania, admirałiczka w Londynie chyba też była tym zainteresowana, wysyłając, a w każdym razie pomagając Mary Markham. Zażądali ode mnie także zwrotu trumny, może więc znają jej wartość? Ale nie zapominajmy, że cała Europa pełna jest fałszywych monet i fałszywych banknotów. Czy Maret otworzył kasę na pokładzie? Jeśli trzyma z Godolinem, na pewno nie! Bez Godolina Maret nie istnieje! Zapewne postawił sobie szkatułę na środku kabiny i właśnie modli się do niej. Ukryje ją w „Chacie Trzech Sióstr i Diabła”, a potem przybędzie tam Godolin. Co zrobią dalej? 'Nie wiem. Jeśli Godolin popełni jakieś nowe łajdactwo albo straci grunt pod nogami z chwilą ustąpienia ministra Fouche, może planują obaj ucieczkę? Prawdę mówiąc, mnie wystarczyłaby satysfakcja, gdybym mógł wydrzeć z rąk korsarzy pannę Markham i na jakiejś głębiny zatopić całą tę szkatułę...

- Żartujesz pan, tyle pieniędzy?

Właśnie dlatego, że podobno tyle lam tych pieniędzy! Minimum pieniędzy, maximum wolności i na odwrót.

Płynęli wzdłuż wybrzeży, z daleka mijając Oliwę i Sopot. Na trawersie Oksywia wiatr nagle osłabł, a potem zanikł zupełnie.

- Nie chcę być złym prorokiem, ale ta pogoda nic dobrego nie wróży. Pytałem się moich chłopców. Ten ze Swarzewa uważa, że „ma się na ostro

szkwał”... Tak dobrze się nie znam, w każdym razie trzeba uważać - stwierdził Zaremba.

- Pytałem o to Tricona, on także snuł złe prognozy...

- Co zrobią Anglicy pod Mierzeją, gdy nadleci szkwał?

- Są tak pewni siebie, że koło Piławy wejdą na Zalew Wiślany i tam przeczekają nawałnicę. ,

- A my?

- Zorientujemy się koło Rewy. Spotkać uderzenie „białego szkwału” za Mewią Rafą to śmierć. Chyba Maret ma dobrego pilota, że nie boi się pod żaglami wejść w gardziel Mewiej Rafy. W tej chwili stoi na horyzoncie w zupełnym sztilu... Co za dziwna pogoda!

- Panie kapitanie! - zapiał nagle jeden z chłopców, siedzących na dziobie. - Idzie wiatr! Maret ma go już w żaglach!

Żagle „Anny Marii” także łapały już podmuchy. Łódź drgnęła, spieniła się woda przed dziobem i za rufą.

Od północnego zachodu, razem z posuwającą się po niebie linią frontu burzy, nasuwała się na świat ciemnogrnatowa ciemność, a po morzu szły przez całą zatokę długie, białe pręgi piany, za którymi nadciągał jeden wielki, biały wał. Wkrótce cała zatoka wydała się objęta straszliwą kipiela, jakby morze nagle zaczęło się gotować. Szum wiatru i deszczu, plusk fal i gwizd wichury w olinowaniu - zlały się w jeden ryk, który przeszedł następnie w grzmot, jakby wypaliło nagle kilka tuzinów dział! Na szczęście Zaremba zdążył zrzucić grot i na kliwrze stanąć w dryf dziobem do fali. Zrobiło się zupełnie ciemno, zniknęło słońce, niebo, morze, ląd. Wody morza - jak przed stworzeniem świata - złączyły się z wodami nieba. Pył wodny wciskał się do oczu, nosa, uszu i ust. Wolski poczuł nagle, że tonie, choć tkwił dalej na rufie łodzi, a łódź przyjmowała cały ten początek lub koniec świata. Kurczowo trzymał się nadburcia. Był cały przemoczony, drżał z zimna. Najbardziej przerażała go własna bezsilność wobec potęgi żywiołu i

własna nieprzydatność na pokładzie. Obaj chłopcy dawali sobie znakomicie radę bez udziału Zaremby i oficera.

Po pewnym czasie z nocy i, mgły wyłonił się maszt i olinowanie. Zwinęte żagle nie zostały porwane. Dzięki zamknięciu luków - woda w minimalnej ilości dostała się do wnętrza, a to, co pluskało na dnie, dało się opróżnić czerpakami - w czym dopomagał Wolski, znajdując wreszcie dla siebie konkretne zajęcie. Ciemności ustępowały, choć jeszcze horyzont osłaniała kurtyna deszczu. Przez chmury przebił się nagle promień słońca. Kotwica trzymała się dna.

Deszcz padał już spokojniej, równo, porywy wiatru były gwałtowne, ale niezbyt silne. Z lewej burty zarysował się kontur pobliskiego lądu, na Mewiej Rafie szalało jednak jeszcze kłębowisko piany. Robiło się coraz jaśniej. Horyzont wyostrzył się i z prawej burty dostrzec można było także kontur lądu - półwysep! Ale „Misericordii” nigdzie nie zobaczyli.

- Koniec - powiedział Zaremba, uśmiechając się do oficera. Był chyba zadowolony z siebie i własnych decyzji. „Anna Maria” wyszła z minimalnymi uszkodzeniami i mogła wkrótce podjąć dalszy rejs. - Ładnie było, co? To właśnie nazywa się tu „białym szkwałem”! Trwa krótko, ale ma siłę huraganu... Zrobimy trochę porządku i za pół godziny będziemy mogli wybrać kotwicę i postawić zrefowany grot. Jeśli porywy znikną i wiatr uspokoi się, ale nie opadnie zupełnie, za trzy godziny będziemy w Kuźnicy. Możesz pan zejść do mojej kabiny, Wolski, i wypić szklanek rumu, inaczej gotowe przeziębienie! Trzeba suszyć szatki; zaraz wyjdzie słońce, a przecież to już początek sierpnia, wszystko w mig wyschnie! Wówczas także przyjdzie czas opatrzyć pistolety...

- A tamci? - spytał oficer.

- Jacy „tamci”? „Misericordia”? Chcieli uciec przed szkwałem pod pełnymi żaglami, ale uderzenie wiatru było szybsze i położyło ich... Mieli dobrego pilota, ale ich kapitanowi brakło zdrowego rozsądku.

- Co się z nimi stało? Powinni być gdzieś na Mewiej Rafie...

- Możesz spytać moich chłopców. Rozumiem mowę Kaszubów. Właśnie ten ze Swarzewa tłumaczył drugiemu, że widział, jak wiatr i fale grzmotnęły kadłubem „Misericordii” o wał Mewiej Rify. A gdy wszystko rozsypało się w drzazgi, razem z połamanymi masztami i wręgami, z działami, balastem i załogą, a pewnie i ze szkatułą z grobu sir Markhama, przeniosły całe to rumowisko dalej, za rafę, na głębinę... Kiedyś w piasku tych mielizn znajdują ludzie jakieś szczątki, lufy dział, kule armatnie, a może złote talary z wizerunkiem Marii Teresy, lub zwykłe, żelazne, fałszywe grosze brandenburskie. Podobno już w czasie wojen szwedzkich poszły tutaj na dno, w podobnych warunkach, okręty wywożące złoto z kościołów pomorskich.

- A ludzie?

- Masz na myśli topielców?...

- Może ktoś ocalał?

- Płynąc wzdłuż Mewiej Rify po jej wewnętrznej stronie, będziemy się pilnie rozglądać, ale wątpię, abyśmy znaleźli kogokolwiek żywego. Gdy okręt zostaje strzaskany przez fale na mieliznie, zawsze jedna część ginie w rumowisku

- A druga część?

- Druga część po prostu tonie... Za dwa, trzy dni na plażach koło Oksywia i Kamiennej Góry, koło Redłowa, a nawet u stóp sopockich wzgórz fale zaczną wyrzucać jakieś szczątki i ciała topielców. Małe łodzie przetrzymują „biały szkwał*” lepiej niż duże statki, ale często i one giną, zwłaszcza gdy nie mają pokładu, nie zamkną luków lub nie zdążą zwinąć żagli. O, widzisz pan, kapitanie Wolski, wyszło słońce! Pora ściągać szatki i suszyć! No i pora na kubek rumu. Chłopcy, wypijecie? Lepszy byłby gorący grog, ale ten specjał wypijemy dopiero na brzegu... I ten kubek gorącego grogu będzie miał dla nas pewnie większe znaczenie niż wszystkie skarby korwety „Dauntless”.

Podróż „Anny Marii” trwała dłużej, niż przewidywali. Potem długo jeszcze oporządzali swe ubrania, czyścili kurty, buty, nawet ogolili się. Gościnnie przyjęli ich rybacy, za co wytaszczono z łodzi gąsior trunku. Łódź zostawili na samym brzegu, głęboko dziobem wkrojoną w piasek plaży. We dwójkę, dobrze uzbrojeni, ruszyli na poszukiwanie „Chaty Trzech Sióstr i „Diabła”. Było już pod wieczór, gdy tam dotarli. Dom był dobrze ukryty między dwoma wałami wydmy. Duża drewniana checza z facjatką nad wejściem, dwa ogromne składy na łodzi i sprzęt, kiedyś bogate gospodarstwo rybackie. Naokoło suszyły się sieci, pachniało morszczykiem i rybą. Dookoła rosły olbrzymie stare helskie sosny, ciągnące się pasmem lasu od nasady do cypla półwyspu, korzenie tych drzew wiązały bowiem w całość piasek, głązy, trawy, ił i muszelki.

Chłopak, 'z którego złe sąsiedzkie języki zrobiły „diabła”, właśnie krzątał się po podwórzu i pozdrowił obu „z Ponem Boziem”. W facjacie nad wejściem tkwiła główka bladej dziewczyny. Trzy starsze kobiety, ubrane w długie, czarne suknie spotkali niedaleko, na grzbiecie Wydmy Umarłych. Stały nieruchomo na tle oblanego purpurą zachodu nieba, patrząc w milczeniu na morze. Chyba modliły się. Jak się później dowiedzieli (bo zatrzymali się na noc w obejściu) ich mężowie zginęli właśnie w czasie „brałego szkwału” na wspólnej, wielkiej łodzi. Odtąd zawsze, po każdym morderczym szkwałe, wychodziły na brzeg - lub na wydnię, szepcząc modlitwy za umarłych. Jak przewidział Wolski i jak opowiadała Luiza, były to trzy nieszczęśliwe, stare, pracowite kobiety, z których opinia w wiosce uczyniła trzy wiedźmy, a z ich pomocnika - sieroty, diabła, czyli po kaszubsku „purtką”. Mary Markham nie więziły, ale na życzenie Mareta „ukrywały przed złymi ludźmi”, w co nie tylko same uwierzyły, ale uwierzyła nawet samotna angielska panna, przez wiele tygodni, w odosobnieniu przeżywając „czas refleksji” nad całą swoją przygodą. Najbardziej zaskakujące było to, że ani jej trzy opiekunki, ani ona sama nie zdawały sobie sprawy z sytuacji, nie wiedziały, że gdyby zjawił się Maret, przybyłaby z nim razem śmierć.

Ale Maret zaginął wraz z okrętem i całą załogą, a chociaż po paru dniach morze zaczęło wyrzucać ciała topielców wzdłuż całego wybrzeża, ciała Mareta nie znaleziono. Złośliwi twierdzili, że diabli wzięli go wraz z ciałem do piekła, cóż bowiem za przyjemność dla mieszkańców piekła smażyć na wolnym ogniu tylko dusze?...

Morze nie wyrzuciło na brzeg ani jednego złotego talara z wizerunkiem Marii Teresy. Może ich w ogóle nie było w szkatule z korwety „Dauntless”? A może szkatuła tkwi głęboko zagrzebana w barierze Mewiej Rafy? Coś tam lśni w słońcu, jeśli przypluwając ku Kuźnickiej Jamie od Rewy, wychylimy się za burtę i popatrzymy przy spokojnej wodzie na dno. Ale może są to tylko pięknie obtoczone przez fale i piasek okruchy skał lub kawałki bursztynu?

16.

Mimo że na temat powiązań osoby burmistrza z różnymi wydarzeniami na Helu Zaremba wyraził się do Anny Marii w sposób ogólnikowy i - w jego przekonaniu - delikatny, dziewczyna przyjęła to jako przekroczenie dopuszczalnych granic krytykowania jej ojca. Oczywiście znała stosunek ojca wobec legionowego weterana, ale była przekonana, że nieprzychylność powoli zniknie. Kochała ojca i szanowała go - co było tylko godne pochwały, ale właśnie dlatego ustaliła wobec siebie granice norm, których nie chciała nigdy i pod żadnym pozorem przekroczyć. W tych granicach mieściły się wprawdzie jej tajne schadzki z Zarembą i liściki przesyłane przez pokojówkę, ale był to przede wszystkim rodzaj zabawy, lekarstwo na nudę. Ojciec, który o te schadzki ją podejrzewał, a kto wie, czy nie znał treści jej listów, nigdy o nic nie pytał. Był przekonany, że odpowiedziałaby mu szczerze, ale wówczas dopiero postawiony zostałby w arcytrudnej sytuacji. Miała skrywany pod mieszczańskim wychowaniem bujny temperament i jeszcze bujniejszą wyobraźnię, podobnie jak jej matka. Burmistrz znał jej ambicje i wiedział, że gdyby wypomniał jej błędy, gdyby zażądał „rzucenia Zaremby” i w ogóle wystąpił z własnym programem jej życia, następnego dnia opuściłaby dom i uciekła do dziadków, twardych Kaszubów. Nie zawahaliby się poszczuć go psami, gdyby się o nią upomniał. Nie okłamywała go, ale też nie mówiła całej prawdy, a on o tę prawdę nie pytał, znał ją przecież, umiał bowiem stworzyć spośród służby i znajomych doskonałą sieć wywiadowczą. W krytycznych sytuacjach Anna Maria stawiała po jego stronie. Zawsze. Nawet gdy sprawy dotyczyły Zaremby, chociaż nie zgadzała się z sugestiami ojca, że to „partia nie dla niej”. Odpowiadała wtedy - „zobaczysz, że przekonasz się jeszcze do pana Bogusza Zaremby”. Wiedział, że nie „przekona się” nigdy, ale zgadzał się czekać, na horyzoncie ich życia domowego mógł bowiem ukazać się wreszcie ktoś „odpowiedni”. Takim „odpowiednim kimś” mógł być w marzeniach pana Mullera wysoki urzędnik gdański, to byłaby odpowiednia partia dla panny Anny Marii!

Po raz pierwszy w życiu rozstała się z Zarembą w gniewie i po raz pierwszy jej ambicja przewyciężyła skalę uczuć, jakimi darzyła samotnego weterana, zresztą łubianego przez większość mieszkańców Helu. Nie lubili go jedynie właściciele gospód, a już z zupełną niechęcią odnosili się do niego Francuzi, których chyba także nie lubił. Po jego wypowiedziach na temat tajemnic Helu i osoby jej ojca, zaczęła się jednak baczniej przyglądać nie tylko burmistrzowi, jego dwom kancelistom, kurierom krążącym między Helem a Gdańskiem, ale i postaciom, które odwiedzały ich dom. Doszła wówczas do wniosku, że wiele spraw nie rozumie, o innych ma niewiele pojęcia, znów inne rzeczywiście mogą się wydawać zagadkowe. Zwróciła również uwagę na fakt, że kapitan Wolski przestał przy ich stole jadać posiłki, natomiast życzył sobie, aby podawano mu je do jego kwatery. Sugestie Zaremby sprawiły również, że uświadomiła sobie, jak łatwo mógł ktoś zabić Kosseckiego, jeśli skorzystał z przejścia przez strych, w dodatku wówczas, gdy kapitan nie zamknął drzwi, oczekując jakiegoś znanego mu gościa

Tak nadszedł ów wieczór, kiedy w domu burmistrza zjawił się nieznajomy. Znała jego głos. Bywał tu już kilka razy, nawet brała go za specjalnego kuriera z Gdańska, zanim zorientowała się, że nie jest zwykłym kurierem. Przychodził wieczorem, znikał przed świtem - chyba wsiadając wówczas na oczekującą go w porcie łódź. Ojciec nie życzył sobie, aby ktokolwiek przeszkadzał mu w konwersacji z nieznajomym lub niepokoił przybywszy, kiedy ten przenosił się do gościnnego pokoju. Raz, przed świtem, z okna swego pokoiku, dostrzegła sylwetkę nieznajomego, kiedy opuszczał ich dom. Na głowie nosił wielki kapelusz o zagiętych w górę rondach, a na ramionach obszerny płaszcz, upodabniający go do nocnego ptaka. Nie widziała nigdy jego twarzy, nie mogłaby więc określić jego wyglądu. Ale najlepiej znała jego głos. Z ojcem rozmawiali po niemiecku. Miał głos chropawy, niesympatyczny, z typowym akcentowaniem słów niemieckich, właściwym mieszkańcom znad wschodniej granicy Prus.

Tego wieczoru, gdy zapominając o pobycie nieznajomego weszła do jadalnego, przez szparę w nie domkniętych drzwiach nie tylko zobaczyła

smugę światła od świec płonących w ozdobnym kandelabrze na biurku ojca, ale i usłyszała podniesione głosy. Mówił jej ojciec, mówił ostro, choć ze zdenerwowania głos mu się łamał. Treść tego, co mówił, była tak zaskakująca, że zapomniała, po co przyszła, i przystanąła w miejscu.

- ... Drogi panie... - mówił jej ojciec do nieznanego - pańscy zwierzchnicy zapominają, z kim mają do czynienia! Nie jestem ich pacholkiem, ani moja kasa nie stanowi ich rezerw finansowych. Polecają mi przez pana wykonywanie zadań, za które można nie tylko trafić do lochu, ale i stracić głowę, a ja chcę spokojnie dokończyć edukacji mojej córeczki i wydać ją dobrze za męża. Nikt z nich nawet nie pomyślał, aby mi w tej materii dopomóc, nie zostałem dotąd ani razu zaproszony wraz z córką na bale i spotkania towarzyskie, jakie wydaje gubernator w swoim pałacu i w swoich ogrodach, a przecież jest to najlepsza okazja do zawarcia nowych znajomości i znalezienia kandydata do ręki córki...

- Mogę panu obiecać, że najbliższy bal, po wyjeździe tego polskiego księcia, nie obędzie się bez pana... - powiedział nieznamy.

- A dlaczego nie ten właśnie? Słyszałem, że w salach pałacowych i w ogrodach rezydencji szykuje się przyjęcie na osiemset osób - właśnie z okazji przyjazdu księcia Józefa Poniatowskiego.

.- Słyszał pan zapewne, choć starano się to utrzymać w tajemnicy, że szef polskiej brygady stacjonującej w Gdańsku - generał Grabowski, pragnie, aby książę odwiedził Hel. Pretekstem ma być inspekcja polskiej placówki na Helu, dowodzonej dotąd przez kapitana Wolskiego. Gubernator francuski wyraził na to zgodę i z tej okazji zarządził koncentrację okrętów flotylli korsarskiej właśnie na Helu. To oczywiste, że musi pan tu zostać i pełnić honory domu, musi pan także przypomnieć sobie wszystkie polskie słowa zapamiętanej dzieciństwa, bo wiemy dobrze, że w pańskim domu i w domu rodziców żony mówiono po polsku. Córkę uczyliście już tylko po niemiecku, ale mimo tych waszych starań, po polsku mówi bardzo dobrze. Kiedy więc przybędzie tu ze swoją liczną świtą ten polski książę, będzie pan musiał przez całe dwie godziny bawić go rozmową.

- Nie pozwoli mi na to kapitan Wolski.

- I tu tkwi właśnie sedno rzeczy. Albo Wolski zostanie w Gdańsku, albo powróci tu, aby umrzeć. Być może jego śmierć zmieni na tyle całą sytuację, że książę Poniatowski zrezygnuje z przyjazdu na Hel. Istnieje również nadzieja, że nie dopuszczą do tego Anglicy. Wiem, że pan Godolin porozumiał się w tej sprawie z bazą angielską na wyspie Anholt. Termin przyjazdu księcia Józefa do Gdańska trzymany jest w tajemnicy, ale dziecko nawet wie, że obecny będzie na rewii wojskowej w Gdańsku z okazji dnia urodzin cesarza Napoleona - piętnastego sierpnia, a pobyt jego nie będzie trwał dłużej jak cztery do pięciu dni. Wiadomo, że inspekcja garnizonu gdańskiego nastąpić może następnego dnia po paradzie, wówczas staje się jasne, że wyjazd na Hel mógłby przypaść na dzień szesnastego lub siedemnastego sierpnia. Być może jednak zdarzą się wówczas takie przypadki, które wstrząsną nie tylko Gdańskiem i całym Księstwem Warszawskim, ale odczuje je cała Europa.

- Odważylibyście się na zabicie lub porwanie wodza wojsk polskich?

- Nie mówimy o nas, ale o Anglikach, a na co się oni mogą odważyć, zostawmy im samym.

- Nie mogę się zgodzić, aby Wolski został zabity w moim domu. Mogłem dopomóc panom w zabójstwie kapitana Kosseckiego, ale dwóch polskich oficerów zamordowanych w moim domu to o jednego za dużo. Jesteście zresztą śmieszni w swoich zamierzeniach. Mam wykonywać wasze polecenia, narażać się, a następnie płacić zamachowcom znaczne sumy pieniędzy.

- Dzięki moim zwierzchnikom na tym, co dzieje się na Helu, zrobił pan ogromny majątek.

- I cóż z tego, skoro nie potrafiliście uwolnić mnie od tego Polaka, ranego pod Frydlandem, Zaremby. Myślałem, że robi to Maret, choć nie pochwalam jego awanturniczych metod...

- Wszystko nastąpi w swoim czasie. Wpierw Wolski, potem Zaremba. Wiele spraw wyklaruje się po przyjeździe księcia Józefa Poniatowskiego do Gdańska. Może nigdy stąd nie powróci do Warszawy? A tymczasem musi pan nam pożyczyć sumę, jaką mam zabrać ze sobą jutro rano.

- To ogromna ilość pieniędzy i wątpię, czy mi ją zwrócicie.

- Jeżeli rzeczywiście będą z tym trudności, umożliwimy panu, panie burmistrzu, wzbogacenie swojej kasy o takie sumy, które pokryją wysokość pożyczki wraz z ich lichwiarskim oprocentowaniem.

- A jeśli odmówię?

- Wówczas zniszczymy pana w ciągu tygodnia. Nie możemy czekać, panie Müller. Dysponujemy takimi dokumentami, na których podstawie każdy francuski sąd pozbawi pana całego majątku oraz głowy...

Dopiero teraz Anna Maria przestała słuchać i wycofała się z jadalni. Poszła do swojego pokoju i tak jak stała, nie rozbierając się, rzuciła się na łóżko. Chciała płakać, ale na przekór jej woli - oczy pozostały suche. Leżąc w ciemności na wznak i obserwując na suficie grę świateł sygnalizacyjnych latarni w porcie i tych, które zawieszono przed wejściami do gospód, odczekała, aż wszyscy udadzą się na spoczynek. Ojciec zwykle przychodził do niej wieczorem, aby powiedzieć „dobranoc” - ale tego wieczoru albo zapomniał, albo był przekonany, że jego córka zasnęła i nie chciał jej budzić. Wstała około północy. Spojrzała przez okno na skąpany w księżycowym blasku ogród i próbowała zebrać myśli. Potem powzięła widocznie jakieś postanowienie, bo zapaliła świecę, usiadła przy stole i zaczęła pisać.

Do ojca napisała list po niemiecku. Przyznała się do wysłuchania całej jego rozmowy z nieznajomym. Podśluchiwanie, pisała, to rzecz nikczemna, ale o sprawach bardziej nikczemnych rozmawiał jej ojciec z nieznajomym. Postanowiła opuścić dom na zawsze i robi to właśnie w tej chwili. Niech ojciec jej nie szuka, a kogo chce, albo kogo musi zabić, niech decyduje, nie oglądając się na nią, na jej „przyszłość i szczęście”.

Do Zaremby napisała po polsku, ale gotykiem Jak uczono ją w niemieckiej szkole. Napisała krótko, że go kocha, że jedzie na wieś do rodziny i nigdy na Hel nie wróci. Jeśli chce, może ją znaleźć u dziadków. Dogada się z nimi łatwo, bo to Kaszubi. Napisała, że śmierć grozi jemu i kapitanowi Wolskiemu. Kazała uważać na Godolina i Massiasa oraz ostrzec księcia Józefa Poniatowskiego, wodza Polaków, że wrogowie gotują na niego zasadzkę...

List zostawiła u pastora, kiedy już umówiła się ze starym Murzą że przewiezie ją do Gdańska. Wzięła trochę swoich rzeczy, trochę pieniędzy. Stary rybak coś tam marudził, ale kiedy położyła kilka lśniących dużych monet na stole, przestał gderać i poszedł gotować łódź. Pastor zaczął na nią krzyczeć i grozić karą boską, jeżeli porzuci ojca, ale kiedy powtórzyła mu to, co wczoraj wieczorem usłyszała, zaniemówił.

Już nie oponował, odprowadził ją na brzeg, przeżegnał, prosił Chrystusa Pana, aby ulitował się nad nieszczęsną istotą i nad jej ojcem. Długo patrzył za odpływającą łodzią. Stary Murza zaraz po odbiciu od brzegu podniósł łatany żagiel, w który złapał ostry podmuch wiatru.

Słońce już było wysoko, ale takie jakieś zamglone, bez naturalnego blasku. Niebo powlokło się mleczno-żółtą poświatą. Zrobiło się duszno.

- Żeby tylko nie narodził się z tego jakiś sztorm albo co gorsze „biały szkwał”... - westchnął proboszcz.

My już wiemy, że tak się istotnie stało. Tego dnia zginęło kilka łodzi rybackich z Wielkiej Wsi, ze Swarzewa, z Mechelinek i Helu. Któż zwróciłby uwagę w takiej sytuacji na brak łodzi starego Murzy, która zresztą nigdy się nie odnalazła?

Wkrótce po przewaleniu się huraganu przez helską mierzeję, do pastora przybyli starzy rybacy z wstrząsającą wiadomością. Burmistrz Gottlieb Muller, a jak oni go nazywali - „pon Bogumił Młenorz”, odebrał sobie życie wystrzałem z pitoletu. Pastor znalazł obok ciała burmistrza ostatni list Anny Marii, adresowany do ojca. Wziął ten skrawek papieru i zniszczył.

Razem z porucznikiem Stablewskim, wielebny Kolleck - Kołek zadbał o to, aby pogrzeb odbył się w zgodzie z chrześcijańskim obyczajem i godnością i aby nic nie zaciemniło opinii pana burmistrza, który może „chciał jak najlepiej, ale mu się po prostu nie udało”...

Po obcym, który nocował u burmistrza, a wcześniej - jeszcze przeprowadził z nim rozmowę, zrelacjonowaną pastorowi przez Annę Marię - nawet ślad nie pozostał. Tak zresztą bywa zwykle ze złymi duchami, że namacają w życiu człowieka, a potem znikają.

Z niepokojem pastor oczekiwał żaglowca „Misericordia” Simona Mareta, ale kapitan Kirsch, z żaglowca „Generał Rapp”, poinformował wielebnego, że już nigdy nie będą mieli okazji spotkać na Helu pana Mareta ~ „Misericordia” uległa rozbiciu na Mewiej Rafie w czasie ostatniego huraganu, a ciała jej marynarzy znaleziono na wybrzeżach od Rewy po Oksywie.

- A „Messalina”? - dopytywał się wielebny.

- Ach, z „Messalina” to już inna historia - powiedział Kirsch i pokazał księdzu gdańską gazetę, dodając: Na „Messalinę” przyjęty został niedawno mój brat na stanowisko pierwszego oficera. Od niego właśnie mam szczegółowe relacje z całej bitwy, choć napisali o tym również w gdańskiej gazecie.

- Z bitwy?- zdziwił się pastor.

- Właśnie - z bitwy! „Messalina” natknęła się u brzegów Mierzei Wiślanej na brytyjski barkas i spróbowała go zaatakować - wszystko poszło sprawnie i pociski z „Messaliny” uczyniły na okręcie brytyjskim takie szkody i spowodowały takie zamieszanie, że nadszedł czas abordażu - a to była już domena polskiego kontyngentu piechoty morskiej, dowodzonego przez porucznika Sokołowskiego. Niestety, pojawiła się nagle korweta „Seafox”, którą mój brat wziął nawet za fregatę. Atak „Seafoxa” na „Messalinę” nie tylko obronił uciekający barkas, ale okręt brytyjski - górujący siłą ognia pięciokrotnie nad korsarzami, poczynił ogromne spustoszenie w ożaglowaniu francuskiej galery. Nie miała sił walczyć ani uciekać. Niewątpli-

wie zostałaaby zdobyta przez Anglików, a jej załoga poszłaby do niewoli, gdyby nie śmiała, choć desperacka decyzja kapitana Tricona: skierował swój okaleczony okręt na brzeg Mierzei Wiślanej, osadzając go na mieliźnie, tuż przy plaży. Załoga zeszła na ląd, zabierając rannych i uzbrojenie... Tricon zeszedł ostatni, zabierając z sobą banderę. Francuzi i Polacy okopali się na wydmach, gotowi przyjąć walkę w tej prymitywnej fortecy, gdyby Anglicy wysadzili desant ..

- I wysadzili? - dopytywał się ksiądz.

- Nie. Wystarczyło im oddanie kilku salw burtowych do wraka „Messaliny” - co spowodowało pożar okrętu. Wiem, że załoga Messaliny” biwakuje jeszcze na Mierzei Wiślanej. Ma to tę dobrą stronę, że osłania Gdańsk od niespodziewanego ataku Anglików od tamtej strony. Ostatnio okręty nieprzyjaciela kręcą się niezwykle często koło naszych wschodnich wybrzeży, jakby miały zamiar naruszyć uroczystą atmosferę odwiedzin księcia Józefa w Gdańsku i paradę z okazji dnia urodzin cesarza.

- A co słyhać u kapitana Wolskiego i pana Zaremby? - dopytywał się pastor. - Nie ma kapitan zamiaru powrócić na Hel?

- Z pewnością ma taki zamiar, ale generał Grabowski zatrzymał go tymczasem przy sobie aż do przyjazdu księcia.

- A potem?

- Bóg raczy wiedzieć, ojczy, być może będzie tak, jak mówi plotka. Pan kapitan Wolski, awansowany na majora, ma pojechać z generałem Grabowskim do Warszawy, a garnizon helski przejmie po nim Stablewski. Podobno wszystko to bardzo sekretne, ale mówi się o tym głośno. Panu Stablewskiemu wrócony ma być również stopień kapitana. Mam zamiar odwiedzić burmistrza, może on będzie znał więcej szczegółów...

- Burmistrza? - zdziwił się pastor. - Byłem pewny, że skoro tyle plotek wędruje po Gdańsku i uprzedzają one nawet oficjalne decyzje, wiecie tam również wszystko o Helu. Pan burmistrz przecież nie żyje...

- Burmistrz nie żyje? - zdziwił się Kirsch. - Zarazy żadnej tu nie mamy, to był zdrowy mężczyzna, w pełni sił...

- Pan burmistrz, wybacz mu to Panie Boże, zastrzelił się.

- Zastrzelił się? A jego córka?

- Panna Anna Maria popłynęła łodzią starego Murzy do Gdańska, a stamtąd miała zamiar udać się do dziadków, ale stało się to w ów fatalny dzień, kiedy nadleciał „biały szkwał”. Łódź starego Murzy zaginęła.

- A... pan Zaremba?

- Wypłynął razem z panem Wolskim na swoim małym żaglowcu „Anna Maria” i dotąd nie powrócił.

- W Gdańsku także go nie ma. Biedny pan Zaremba - wyobrażam sobie, co przeżyje, gdy dowie się o tej podwójnej tragedii na Helu.

- Idą złe czasy, panie Kirsch. Zabójstwo kapitana Kosseckiego to zapoczątkowało, potem zabójstwo parobka Zaremby, ten pojedynek z Maretem i odkrycie więzienia korsarskiego z posłem duńskim. Teraz śmierć burmistrza, wyjazd jego córki... To za wiele, panie Kirsch, to za wiele... A jeżeli dodać do tego zagładę „Misericordii”, zagładę „Messaliny”... Za wiele... panie Kirsch, stanowczo za wiele... A jeśli to nie koniec?

- Co wielebny ma na myśli?

- Choćby tę wizytę polskiego wodza w Gdańsku, księcia Józefa Ponia-towskiego...

- Jest więcej zapowiedzi. Mówi się, że Rosja dąży do porozumienia z Anglią. Car oficjalnie popiera blokadę, ale angielskie okręty wita w Petersburgu. Prusy reorganizują armię, wprowadzie Prusy to sojusznik Napoleona, ale ja im nie dowierzam. Nie widzę na horyzoncie zwiastuna spokojnych dni. Zresztą cesarstwo Francji nie zostało stworzone dla pokoju, ono karmi się wojną! Dokąd wielebny spieszy?

- Do kościoła, mój zacny kapitanie, i tobie też to radzę! Jeżeli nie od nas zależy uspokojenie morza, ani ludzkich namiętności... Zgubiłem się w tej wielkiej i małej dyplomacji. Jedno wiem, nadchodzą czasy gorsze od tych, w których dziś żyjemy. Jeśli zobaczy pan Zarembe, proszę mu powiedzieć, żeby do mnie zajrzał! Panu kapitanowi Wolskiemu również proszę przekazać moje pozdrowienia! A teraz już uciekam! Pomodłę się i zrejteruję do czytania ksiąg pobożnych!

- Życie dogoni wielebnego nawet w zaciszu plebanii! Nabożne księgi nie obronią - odpowiedział Kirsch, ale pastor już go nie słuchał. Szedł, a właściwie niemal biegł w stronę kościoła, stojącego nad samym brzegiem morza. Był dziś wyjątkowo silny przybój fal w porcie, bo wiatr wiał od wschodu. Bryzgi piany dosięgały nawet murów kościoła.

17.

Wolski nie liczył, że zastanie w zajeździe „Pod Trzema Maurami” Luizę, ale ucieszył się, kiedy po otwarciu drzwi do swego pokoju poczuł zapach jej perfum. Pokojówka wysprzątała pokój i poza zapachem nic nie nawiązywało do odwiedzin damy z Normandii. U dowódcy garnizonu stał się o wyznaczonej porze w ustalonym terminie. Generał Grabowski miał dobry humor i pozwolił sobie w czasie rozmowy wspomnieć o uro-¹⁸⁵kach Oliwy i wspaniałym położeniu rezydencji gubernatora, ale zaraz po tym wstępie dał ognia z ciężkiej artylerii - powiadomił oficera o śmierci burmistrza.

- Ten półwysep to nieszczęśliwe miejsce - skomentował.

- Dobrze, że pana stamtąd zabieramy. Nie ma pan tam wielu życzliwych ludzi. Dostałem różne meldunki, pełne złośliwych aluzji i podejrzeń. Niewarte powtarzania ani zajmowania się nimi, ale zginąłby pan tam podobnie jak Kossecki lub sam burmistrz. Tajemniczo i bezsensownie...

- Wiele faktów wskazywało na to, że burmistrz był zamieszany w zabójstwo Kosseckiego, panie generale...

- Mój kapitanie, polubiłem pana i szczerze będę się cieszył, mogąc wręczyć panu nominację na majora. Wydaje mi się jednak, że czyta pan za dużo modnych książek.

Burmistrz wmieszany w aferę związaną ze śmiercią kapitana Kosseckiego, a następnie popełniający z tego powodu samobójstwo? To dobre w książkach pana Lesage lub Prevosta, a nie w życiu. Podobno miał jakieś kłopoty z wychowywaniem córki i to pchnęło go do takiej desperacji. A tymczasem córka zniknęła!...

A więc doniesiono nawet dowódcy, jakie książki mam w kuferku! - pomyślał Wolski, ale oczywiście nic się nie odezwał. Na komentowanie poglądów generała mógłby sobie pozwolić, gdyby nazywał się Poniatowski albo miał stopień przynajmniej pułkownika. A burmistrz? A Anna Maria? Nie mógł w to uwierzyć!... Może to tylko plotka? Tyle ich krążyło ostatnio...

- Co, panie Wolski, rzeczywiście czytujesz książki pana Lesage i Prevosta?

- „Gil Blas” leży u mnie w kuferku, w mojej kwaterze na Helu, ale obecnie „przebił” go ksiądz Prévost i jego „Manon Lescaut”... - przyznał się.

- Toś mi bliski, kapitanie, bo i ja trzymam te książki w swojej bibliotece, choć mówią mi, że to niemoralne... Ale to są książki, drogi mój kapitanie z San Domingo! Tylko książki, serio tych opowieści nie traktuję. W ży-

ciu takich przygód nie spotkasz! Takie sprawy i takie damy jak Manon bywają tylko w romansach! Dziękuję za propozycję w sprawie pobytu księcia Józefa na Helu, ale chyba z nich nie skorzystamy. Postaramy się przekonać księcia, aby odbył przejażdżkę po zatoce i wrócił do Gdańska. Boimy się o osobę księcia. Francuska flotylla korsarska znów uszczupliła swój stan posiadania. „Biały szkwał” zmiotł z powierzchni morza „Misericordię”, a rybacy donieśli nam o nieszczęśliwych skutkach potyczki okrętu kapitana Tricona „Messalina” z dwoma dużymi żaglowcami angielskimi u brzegów mierzei.

- „Messalina” zatonała? - przeraził się Wolski.

- Wiem, rozumiem pana niepokój, Przyjaźnił się pan z Triconem. Nawet wskazał pan na niego, jeśli chodziło o przewiezienie księcia Józefana Hel. No cóż, poszukamy innego okrętu. A co do „Messaliny” to . nic jeszcze nie wiadomo, ale stosunek ognia artyleryjskiego „Messaliny” do „Sefoxa”, bo to właśnie o tę korwetę chodzi, jest jak jeden do pięciu. Jeśli „Messalina” uszła z tego pojedynku „z życiem”, to i tak pójdzie na długo do remontu. Ale może nie uszła?...

- Tam byli nasi na pokładzie! Polacy!... Dowodził piechotą morską porucznik Sokołowski.

- Wiem, znam. Sam zezwoliłem na ochotniczy werbunek Polaków na pokłady francuskich okrętów. Pan także pływałeś jako korsarz na Antylach. Kto mógłby dziś zastąpić Tricona, jeśli trzeba będzie jednak przysposobić jakiś okręt do wyprawy na zatokę? A może książę nie zrezygnuje z poprzedniego planu?

- Chyby kapitan Kirsch na okręcie „Generał Rapp”.

- A to się nasz gubernator ucieszy, gdy dowie się, że okręt noszący jego imię zabierze księcia na morze. Jakie pan widzisz walory tego kapitana i jego okrętu?

- Znam osobiście kapitana Kirscha, generale. „Generał Rapp” to okręt mniejszy od „Messaliny”, ale uzbrojony podobnie, bardzo zwrotny i szybki. Budowali go Amerykanie. W razie ataku Anglików może udać się pod ochronę dział z twierdzy w Wisłoujściu, mają tam przecież dalekosiężne działa. Trzeba by dodać jeszcze Kirschowi trochę naszych żołnierzy.

- Na czas pobytu księcia skompletujesz pan oddział piechoty morskiej spośród naszych wiarusów i przeszkolisz ich. Oto zajęcie dla ciebie! Mówisz, że okręt kapitana Kirscha mógłby stawić czoło Anglikom?

- Tego nie powiedziałem, panie generale. Wydaje mi się po prostu, że to najlepszy z całej flotylli. Francuzi nie mają w Gdańsku ani jednego okrętu, który mógłby stawić czoła jednej angielskiej korwecie, takiej jak choćby „Seafox” albo „Falcon”. - Meldowano nam z twierdzy w Wisłoujściu, że obie te korwety kręcą się ostatnio po zatoce. Tak, to ja sam byłem zwolennikiem wyjazdu księcia na Hel. Teraz staję się przeciwnikiem tej idei. Nie zdawałem sobie sprawy, że Francuzi są aż tak słabi na morzu! Nie znam się na tym! Moja wiedza sięga baterii nadbrzeżnych. - Zaśmiał się gorzko. - Dlatego kazałem rozbudować fortyfikacje na Westerplatte i zwiększyć siłę ognia na Montebello. Jeszcze przed przyjazdem księcia chcę otrzymać od pana meldunek o przygotowaniach. Chcę, żeby wszedł pan w porozumienie

z dowódcą artylerii w twierdzy Wisłoujścia i w forcie ~ Montebello, a także odwiedził Westerplatte. Chcę znać wszystkie uwarunkowania ewentualnej wyprawy morskiej księcia. Pułkownik Tinel wysłał okręty korsarskie na Hel, aby utrudniły Anglikom wejście ich okrętów na Zatokę Gdańską. Może to da jakieś rezultaty, a może żadne. W porozumieniu z Tinelem każemy dokonać przeglądu okrętu „Generał Rapp”.

Mówił chaotycznie, trochę improwizował, ale wszystkie decyzje wydały się Wolskiemu słuszne.

- Czy przed przygotowaniem piechoty morskiej dla Kirscha mógłbym jeszcze odwiedzić Hel, panie generale?

- Nie, mój drogi!... Raz, że nie jest to miejsce bezpieczne obecnie dla ciebie, a dwa, że nie ma na to czasu. Po wyjeździe księcia będziesz miał trochę wolnego czasu, zanim pojedziesz do Warszawy, ale nawet wówczas wolałbym, abyś na Hel nie płynął. Twoje rzeczy przywiozą ci tutaj - na pewno razem z „Manon Lescaut” i „Gil Blasem” - zażartował. - Dziękuję, kapitanie! Możesz odejść!...

W dwa dni później major Żółtowski (z którym razem Wolski dobierał żołnierzy do osobistej ochrony księcia na pokładzie okrętu „Generał Rapp”) powiadomił kapitana o nowych aferach, które wybuchły w Gdańsku.

- Podobno rezydent Francji w Gdańsku, pan Massias, został zawieszony w czynnościach, a w jego imieniu sprawy konsularne załatwia obecnie pan Jassaud, jego zastępca. Aresztowany został natomiast komisarz Godolin, a jego żona, piękna pani Luiza, zniknęła!...

- Kto taki? - Wolski był pewny, że się przesłyszał

- Tutejsza piękność, madame Luiza d’Ambert-Godolin. Przybyła do Gdańska za mężem, wprost z Paryża. Mówią na mieście, że Godolina aresztowano w związku z odsunięciem pana Fouche od spraw tajnej policji cesarstwa. Wyszły jakieś nieciekawe historie. Znow pan generał Rapp będzie miał kłopoty, jak z okazji afery kapitana Nussena...

Tej nocy Wolski nie mógł zasnąć, aż w końcu zawezwał pokojówkę i kazał sobie podać omszałą butelkę dobrego czerwonego wina z Burgundii.

Tej nocy również, pod osłoną mgły, desant angielskiej piechoty morskiej wylądował na trzech szalupach tuż pod Gdańskiem, w okolicy wioski rybackiej Stogi. Obszar pokrywają tam lasy i bagna, ciągnące się od Wisły aż po brzeg morski. W głębi lasu znajduje się jezioro, nazywane Pustym Stawem. Angielscy piechurzy morscy przeciągnęli trzy szalupy przez dukty leśne, używane jeszcze do tego celu w czasie walk w 1807 roku. Wszystkie trzy szalupy osadzono na wodach Pustego Stawu. Obok ukryto broń i amunicję, rozłożono biwak, wykorzystując stare ziemianki, wystawiono postunki. Anglicy znali już projekt morskiej podróży polskiego księcia i decy-

zję koncentracji floty francuskiej. Nie znali wprawdzie wahań dowództwa polskiego i nowej koncepcji wyjazdu księcia tylko na wody Zatoki Gdańskiej, ale w niczym to nie kolidowało z ich planem. Wkrótce po wyjściu z ujścia Wisły żaglowiec, na którym będzie płynął książę, miał zostać zaatakowany przez szalupy desantowe, z których każda uzbrojona była w jeden moździerz. Liczono się z możliwością zatopienia żaglowca księcia, ale nawet jego uszkodzenie i zatrzymanie wystarczyło do bezpośredniego abordażu i wzięcia do niewoli naczelnego dowódcy wojsk polskich. Dopiero po zdobyciu okrętu i pojmaniu księcia na zatokę wejść miały dwie korwety angielskie i jeden okręt liniowy Royal Navy. Taka eskadra mogła rozproszyć siły francuskie, bazujące na Helu i w Gdańsku.

Plan był starannie przygotowany, współdziałał przy jego opracowaniu tuzin szpiegów, wśród których byli nawet ludzie zajmujący poważne stanowiska w administracji francuskiej bazy nad Bałtykiem. Ani Polacy, ani Francuzi, zabezpieczający pobyt księcia Józefa Poniatowskiego, nie mogli spodziewać się, że ewentualny atak angielski nie wyjdzie z morza, ale z lądu i to z terenu bezpośrednio przylegającego do Gdańska. Artyleria z twierdzy w Wisłoujściu mogła wprawdzie sięgnąć do Pustego Stawu, ale obserwatorzy na wysokiej wieży twierdzy zwracali swe lunety nie w stronę pobliskiego lasu, ale ku zamglonemu horyzontowi morskemu, gdzie co jakiś czas pojawiały się żagle dużych okrętów angielskich.

18.

Gdańsk powitał księcia Józefa Poniatowskiego owacyjnie, a ponieważ odbywał się właśnie w śródmieściu tradycyjny Jarmark Dominikański, do tłumów mieszczan dołączyła cała ludność okoliczna, a także przybysze z oddalonych miasteczek - z Tczewa, Kościerzyny i Kartuz. Księżę zamieszkał w pałacu gubernatora, przyjmując tam rezydentów obcych państw, reprezentowanych w Gdańsku, senatorów, burmistrza i dowódców różnych kontyngentów wojsk sojuszników.

Kiedy więc w salach pałacu na Długich Ogrodach bawiono się, Wolski ćwiczył osobiście żołnierzy na pokładzie okrętu kapitana Kirscha. Z entuzjazmem przystał gubernator na wybór tej właśnie jednostki. Okręt był przecież „zdobyty” i nosił jego imię. W przerwach między ćwiczeniami kapitan Wolski słuchał wieści z Helu, przywiezionych przez Kirscha. Powoli wiązał wszystkie te informacje w jedną całość.

„General Rapp” wyszedł w nocy na redę Gdańska i tam ćwiczone strzelanie na fali. Wyborowi strzelcy zdali egzamin na celująco. Działa na każdej burcie także mogłyby coś znaczyć w razie potyczki z Anglikami. Załogi fortów i bastionów zostały powiadomione wcześniej o ćwiczeniach, nie odbył się więc żaden fałszywy alarm, a ludność Nowego Portu była przekonana, że salwy te, to wiwaty na cześć księcia. Artyleria fortów także przeprowadziła dodatkowe ćwiczenia w ciągu dnia i nocy. Wielu oficerów francuskich twierdziło, że to przesadna czujność, Anglicy bowiem „nie odważą się nadejść”, zresztą są „za daleko”. Nie wiedzieli przecież, że w odległości strzału armatniego od Wisłoujścia, na mokradłach i w lasach, biwakuje o suchym prowiancie i racjach rumu - brytyjska wyborowa piechota morska stoją gotowe do akcji trzy duże, uzbrojone szalupy desantowe.

Wizyta rozpoczęła się 14 sierpnia, następnego dnia rano księżę uczestniczył w paradzie, a wieczorem w wielkim balu w salach i ogrodach guber-

natora, 16 sierpnia wizytował garnizon. Okazało się wtedy, że w gorączce przygotowań do wyjazdu adiutantura warszawska gdzieś „zapodziała” dekret o awansie kapitana Wolskiego na majora. Znalazł się natomiast awans dla porucznika Stablewskiego. Generał Grabowski postarał się o to, aby „żołnierz polski prezentował się znakomicie w musztrze”, ale aby równocześnie ksiązę mógł naocznie stwierdzić nędzę w dziedzinie aprowizacji i oporządzenia garnizonu, obejrzeć połatane spodnie i kurtki, podarte buty, ubogie magazyny żywnościowe. Co dało się załatwić „od ręki” po interwencji księcia, przyrzekł wydać z magazynów specjalnych Rapp, ale co do większych ilości sukna, skóry, lederwerków, broni - o tym decydować musiała stolica.

Wyjście na morze zaplanowano 17 sierpnia na godziny przedpołudniowe. Ksiązę miał wsiąść na okręt około fortu Montebello. Gubernator Rapp i wyżsi urzędnicy francuscy wymówili się od tej „morskiej przejażdżki”, ale generał Grabowski pozostał przy księciu. Chyba obaj zadowoleni byli z tego spotkania, przypomniało im ono trochę atmosferę z młodości, spędzonej w „Pałacu pod Blachą”,

Kiedy znacznie później Grabowski wrócił do tego gdańskiego spotkania, mówił bliskim mu oficerom, że zdawał sobie wówczas sprawę z coraz wyraźniej grożącego niebezpieczeństwa ze strony Anglików, choć nie był pewny, z której strony to niebezpieczeństwo mogło nadejść. Nadzieję pokładał w Wolskim. „Ufałem, że jeśli Anglicy przygotowują zasadzkę, ten jakobin uratuje »obu Poniatowskich«”. Grabowski opowiadał to w dwa lata po incydencie na Zatoce Gdańskiej - 15 sierpnia 1812 roku - na biwaku pod Smoleńskiem. Dwa dni później poległ.

Nie tak daleko żaglowiec „Generał Rapp” oddalił się od ujścia Wisły, gdy od strony Stogów ruszyły na wiosłach, rezygnując z postawienia żagli, trzy szalupy angielskie. Dowódcy szalup mieli przykazane, aby księcia Józefa wziąć żywego - ogień z moździerzy miał więc odegrać rolę wspierającą. Pierwszy pocisk upadł koło burty okrętu francuskiego, drugi przed

dziobem, ale już wówczas kanonierzy zaatakowanego żaglowca oddali dwa strzały w stronę najbliższej łodzi.

Byli jednak zdenerwowani i oba pociski padły obok burty najbliższej szalupy, w wodę...

Wówczas otworzyła ogień piechota polska, skryta za nadburciem, które - prawdę mówiąc - lichą stanowiło osłonę. Zawsze jednak piechur wiedział, że przeciwnik go nie widzi i dzięki temu kula ma dłuższą i trudniejszą drogę do przebycia. Ogień piechurów okazał się nadzwyczaj trafny - połowa Anglików przy wiosłach na pierwszej szalupie została wytracona z akcji. Zginęło także dwóch angielskich kanonierów, zanim zdążyli powtórnie nabić swój moździerz. Książę Józef i Grabowski przenieśli się do kajuty kapitańskiej, ale steward musiał natychmiast zmienić nakrycie, ponieważ angielski pocisk rozbił butelkę wina -- dar gubernatora - ustawioną w koszyczku, na środku stołu. „Generał Rapp” zmienił kurs, pochylając się tak niebezpiecznie, że książę musiał się mocno trzymać przyśrubowanego do podłogi stołu. Druga kryształowa zastawa i druga butelka - wszystko rozbiło się na szklany miął. Wtedy steward nakrył po raz trzeci. „Generał Rapp” szedł już równym kursem, ale bez przerwy trwała wymiana ognia z broni ręcznej.

- Pańskie zdrowie, generale! - powiedział książę Józef, podnosząc szklanicę. - Gubernator gwarantował, że to trunek z Szampanii, dobrze wyležały w piwnicach. Zaraz się o tym przekonamy.

Wypili... Znow zadzwoniły szklanki i talerze, ale już nie poleciały na podłogę. Książę uśmiechnął się i przyjął drugą szklanicę trunku. Wówczas właśnie usłyszeli okrzyk „hurrra!” na pokładzie.

- Czas, byśmy wyszli na powietrze! - powiedział książę.

Grabowski wychylił również swoją szklanę, przeprosił księcia i wyszedł na pokład pierwszy. On tu był przecież gospodarzem, on odpowiadał za bezpieczeństwo wodza. Na pokładzie leżało kilku rannych i jeden zabity. Przy rannych krzątał się medyk, zabrany razem ze świtą księcia.

Ofiarami, jak się okazało, byli głównie marynarze, pracujący przy żaglach. To ich na cel wzięli Anglicy. Okrzyk radości dotyczył natomiast celnego strzału z działa, oddanego przez jednego z francuskich kanonierów. Jego pocisk roztrzaskał angielską łódź. Rozbitków brała właśnie druga szalupa. Ale trzecia nie miała jeszcze strat, ani też nie oddała jednego strzału ze swego moździerza. Ta była obecnie najgroźniejsza i nawet obserwatorom z wybrzeża (a potocznie przyglądano się ze wszystkich redut Westerplatte, z bastionów fortu Montebello oraz z twierdzy w Wisłoujściu) wydało się, że piechurzy polscy i francuscy kanonierzy na „Generale Rappie” nie będą mogli powstrzymać jej ataku. Książę Józef, generał Grabowski, oficerowie sztabowi i adiutanci znajdowali się na rufie - a więc najbliższej angielskiej szalupy. Ogień z moździerza umieszczonego na szalupie, co wypróbowano w czasie walk pod Kopenhagą, mógł znieść z rufy wszystkich, którzy tam się znaleźli, a pocisk wycelowany w śródkręcie mógł zatopić cały okręt...

I w tym dramatycznym momencie poszła nagle pierwsza salwa dalekosiężnych dział Wisłoujścia, jedynej baterii, która miała szansę na skuteczną interwencję w tej sytuacji. Morze między okrętem kapitana Kirscha a goniącymi za nim dwoma szalupami zakipiało od lawiny ognia. Odłamki sięgnęły załóg obu szalup. Moździerz z pierwszej szalupy wypalił, ale w sytuacji, gdy u burty łodzi rwały się francuskie pociski. Pocisk z moździerza poszedł w wodę, obok burty okrętu cesarstwa, wywołując potężną fontannę, która zmoczyła mundury oficerów sztabowych, ale nie wyrządziła nikomu krzywdy. Szalupy angielskie zmieniły gwałtownie kurs. Rezygnowały z pościgu. Wówczas odezwały się działa fortu Montebello, Mewiego Szańca i czterech redut Westerplatte, tworząc zaporę z ognia i żelaza między okrętem francuskim a Anglikami, choć nie mogły osiągnąć nieprzyjaciela...

W tej właśnie chwili francuski marynarz zameldował o pojawieniu się na horyzoncie żagli. Nie były to korsarskie okręty francuskie z Helu, ale dwie angielskie korwety i duży okręt liniowy. Przybywały na pole bitwy,

ale nie po jeńców, ale aby ratować rozbitków i osłaniać odwrót dwóch poturbowanych szalup.

Zasadzka nie udała się. Książę Józef Poniatowski nie został ani zabity, ani porwany...

Wkrótce okręt „Generał Rapp”, nad którym powiewała trójkolorowa bandera cesarska, wchodził już koło Westerplatte w gardziel Wisły. Gdy zbliżył się do fortu Montebello, dowódca warowni rozkazał oddać powitalny salut. Z pokładu i pomieszczeń we wnętrzu okrętu wyległa wtedy na pokład reszta świty książęcej, a w tej liczbie kilka bladych dam, z których wszystkie nie brały dotąd nigdy udziału w wycieczce morskiej, a tym bardziej w morskiej -bitwie.

- Miałeś rację, generale - zwrócił się książę Józef do Grabowskiego, gdy okręt cumował obok fortu Montebello. Słusznie odradzałeś mi wyjazd na Hel... Gdybyśmy pod koniec pościgu nie znaleźli się w zasięgu dział artylerii na brzegu, chyba nie mielibyśmy szans.

Książę podziękował także kapitanowi, marynarzom i piechutom, podszedł do rannych, których układano na pokładzie, a wreszcie kazał przywołać Wolskiego.

- Nie myślałem, kiedy meldowałeś się pan u mnie, kapitanie, że w cztery miesiące później będę dziękował za ocalenie mi życia. Dowiedziałem się właśnie od generała Grabowskiego, że to ogień twoich piechurów powstrzymał pierwszy atak wroga. Cieszę się również, że zobaczę pana pod koniec roku w Warszawie, u boku generała Grabowskiego. To fatalne, że w lawinie papierów kancelaryjnych nasi urzędnicy zagubili dekret o pańskim awansie na majora, spróbujemy to jakoś zrekompensować. I coś jeszcze, jak widzę, angielska kula przedziurawiła twój oficerski kapelusz. Powinien on trafić do Puław, do gotyckiego domku, gdzie pani Czartoryska zgromadziła narodowe pamiątki... Mam rację, kapitanie? - uśmiechnął się przyjaźnie do oficera z San Domingo.

- Słucham, wasza ekscelencjo!

Prasa stołeczna opisała tę potyczkę, nadając jej koloryt wielce romantyczny, opisując, jak to Łódź z księciem otoczona została nagle przez szalupy angielskie, ukryte wśród skał. Skał na tym wybrzeżu nigdzie nie ma, ale też trudno było wyobrazić sobie tak kunsztownie przygotowaną zasadzkę w lesie, wśród moczarów i zielonych wód Pustego Stawu. Napisano również, że księżę opuścił swój okręt mocno skonfundowany - co było jednak prawdą. Niewiele brakowało, aby festyn zamienił się w tragedię...

W jakiś czas później ta sama prasa ogłosiła o przyznaniu każdemu żołnierzowi polskiemu w Gdańsku „spodni zimowych manchesterskich i letnich nankinowych” z tkanin angielskich, skonfiskowanych w związku z dekretem o blokadzie kontynentalnej. Generał gubernator Rapp musiał więc otworzyć swoje magazyny. Na łamy prasy wróciły znów delikatne aluzje, jakich to korzyści można by oczekiwać po liberalizacji przepisów o blokadzie...

Dnia 19 sierpnia księżę Józef rozstał się z Gdańskiem. O oficerze z San Domingo nie zapomniał. Dowodem tego był nowy kapelusz oficerski, wręczony Wolskiemu przez adiutanta generała Grabowskiego z bilecikiem, na którym ręką księcia napisane zostało - „dzielnemu oficerowi z San Domingo i Helu”... co na pewno poprawiło samopoczucie kapitana.

Na Hel poszedł już awans i nominacja na dowódcę placówki dla Stableskiego. Zawiózł mu ją jego nowy zastępca, porucznik Aksamitowski.

Wtedy właśnie, już po wyjeździe księcia, Wolski otrzymał - rzecz jasna okrężną i sekretną drogą - propozycję spotkania się z Anglikami na Mierzei Wiślanej celem odbycia pojedynku z kapitanem Geoffreyem Pearsonem. Bronią miały być pistolety. Nic nie stało na przeszkodzie wyjazdu na miejsce pojedynku, bowiem płatnik sztabowy przekazał Wolskiemu zaległy żołd, a w sztabie pułku wręczono mu dokument urlopowy „celem załatwienia spraw osobistych”. Chodziło chyba o zlikwidowanie kwatery na Helu, ale Wolski pomyślał, że pozwala mu to zakończyć także inne sprawy.

19.

Mimo że Mierzeja Wiślana zawsze napawała lękiem podróżnych, w czasach napoleońskich wiódł tamtędy ważny trakt handlowy z Królewca. Wystarczyło przecież z półwyspu Sambia przeprowić się około Piławy na wąski język mierzei, a wówczas już „suchą nogą” można było dostać się do Gdańska, jako że przekop koło Mikoszewa i przełom Wisły Śmiałej koło Górek - to już późniejsze dzieje. Mówienie o „suchej nodze” to oczywiście tylko zwrot popularny, bo nikt z Piławy do Gdańska piechotą nie wędrował. Nawet konno i furmanką trzeba było liczyć jeden nocleg po drodze. Wypadał on w połowie trasy.

Dziś znajdują się w tej okolicy dwie osady - Piaski i Nowa Karczma, wtedy stało tam zaledwie kilka domów, z czego część spalonych w czasie działań wojennych, część opuszczonych. Lasy były rzadkie - wycięte przez kłusowników. Dlatego też zawsze zagrażały osadom wędrujące wydmy, którym opierały się tylko zabudowania przydrożnej oberży, istniejącej w tym miejscu od „niepamiętnych czasów”. Okoliczni ludzie twierdzili, że pierwszą karczmę wybudował tu diabeł, który podpisał odpowiednią umowę z krzyżakami. Stąd dalszy ciąg legendy, że żaden z kolejnych właścicieli zajazdu nie kończył dobrze - jeden się powiesił, innego zamordowali piraci, następny zginął w czasie pożaru. To oczywiste, że stary budynek się rozpadł, następny podobno spłonął, dlatego obiegowo nazywano to miejsce Nową Karczmą.

Udając się na miejsce spotkania z Anglikami, Wolski zatrzymał się w tej właśnie oberży. Podróżował furmanką, z szablą i kapeluszem oficerskim w bagażu. Swój straszny pistolet miał za pasem. W osadzie spotkał swych dobrych znajomych i, zgodnie z wcześniejszym planem, poprosił kapitana Tricona oraz porucznika Sokołowskiego na sekundantów jego pojedynku z kapitanem Geoffreyem Pearsonem. Nie wątpił, że Anglicy uczynią wszyst-

ko, aby pojedynek odbył się z wszelkimi zasadami honorowymi, zależało im bowiem bardzo, aby w opinii przeciwników wypaść „na dżentelmenów”. Sekundanci nie musieli się więc lękać, że zostaną na przykład porwani i zesłani na straszne pontony-więzienia na Tamizie. Chociaż - kto tam wie, czy można było być pewnym Anglików? Kapitan Kirsch, który w czasie pobytu Wolskiego w Łyścu zjawił się u brzegów Mierzei na „Generale Rappie”, załadował Francuzów i Polaków na pokład swojego żaglowca, radząc Wolskiemu, Triconowi i Sokołowskiemu wracać także na pokładzie „Generała Rappa”.

- Wybaczcie, ale nie będę was oczekiwał po pojedynku - sumitował się przy szklanicy miejscowego piwa. - Wolę angielskich dżentelmenów oglądać z morza, zwłaszcza jak mam załadowane działa i pomyślny wiatr w żaglach.

Z Nowej Karczmy do Gdańska wracać mieli furmanką tylko panowie Tricon i Sokołowski.

- Pan zostaje? - pytał Wolskiego zaintrygowany Alzatzczyk.

- Obiecał zawinąć po mnie Budzisz Wielki na „Świętej Barbarze”. Płyniemy na Hel... - wyjaśnił oficer.

Pożegnali się z Kirschem na brzegu, gdy odpływał szalupą na pokład swego żaglowca. Obaj oficerowie, którzy przyrzekli Wolskiemu sekundować i w związku w tym zostali na lądzie, mieli bardzo niewyraźne miny. Aluzje Kirscha na temat Anglików musiały utkwąć w ich świadomości i wzbudzić niepokój.

Wieczorem zatrzymali się w zajeździe prowadzonym przez pana Kosa. Ucieszył się, że ma do czynienia z rodakami, i nie zdziwił go fakt, że przyjechali tu załatwić „sprawy honorowe”. Według pana Kosa - nie była to pierwsza „sprawa honorowa”, którą załatwiano w pobliżu jego oberży, używając do tego celu pistoletów lub szabel.

- To jest reguła, szanowny panie - wyznał Kos. - Wyjeżdżają rano z Gdańska, wieczorem są tutaj, a rano załatwiają sprawy honorowe na najbliższej wydmy. Jeśli chodzi o pana, kapitanie Wolski, to o przyjeździe pana już mnie poinformował pan kapitan Jorg van der Groote. Był tu przed wieczorem.

- Śpi w oberży?

- Nie. Jeśli wyjdzie pan na wydmy obok zajazdu, zobaczy pan jego żaglowiec „Nord Brabant”, stojący niedaleko na kotwicy. Pan Jorg van der Groote zjadł u nas kolację i wrócił na statek.

Tricon i Sokołowski spali już, gdy Wolski wyszedł przed zajazd. Gospodarz sam zaoferował się zaprowadzić go na wydmy. Noc była jasna i nie zabrali ze sobą latarni. Istotnie - z grzbietu wydmy, na tle fiołkowego nieba usianego gwiazdami, zobaczyli sylwetkę holenderskiego statku. Ale niedaleko za nim stał już inny żaglowiec, znacznie większy - równie zaciemniony jak „Nord Brabant”. Była to korweta „Seafox”.

Zgodnie z obyczajem - śniadanie w oberży należało zjeść dopiero po pojedynku. Pistolety przywieźli w specjalnej skrzynce Anglicy, ale niespodziewanie przywiózł podobną parę ze swojego statku również Holender. Ponieważ obu stronom wydały się te ostatnie „neutralne”, postanowiono skorzystać z pistoletów holenderskich. Na ląd przybyło prócz sekundantów kilku oficerów angielskich, ale załogi obu szalup - angielskiej i holenderskiej - zostały na brzegu.

- Więc jednak przybył pan na tę uroczystość... - Wolski powitał Holendra z lekką ironią.

- Lubię asystować przy pogrzebach...

- Straszy mnie pan?

- Nie. Wiem, że to pan zabije tego nieostrożnego Anglika. Chciałem być obecny przy tej sprawie. Może pan się zdziwi, ale jestem po pańskiej stronie. Relacjonowano mi waszą rozmowę w Jastarni. Wiem o wszystkim,

znam także tęsknoty niektórych „ludzi honoru”, którzy uważali, że niezależnie od wyniku pojedynku pańskiego trupa należy pozostawić na wydmach. W mojej obecności to się nie stanie.

- Mówi pan, że z góry wie pan, jak rozstrzygnie się ten pojedynek? Jest pan cudotwórcą?

- Niektórzy uważają mnie rzeczywiście za magika - może dlatego udaje się mi zawijać do różnych portów i przechodzić łańcuchy blokady w obu kierunkach. Nie mam do pana żalu o to zagarnięcie konwoju na półwyspie. Nic na tym nie straciłem. Prusacy, których nie lubię, musieli sięgnąć podwójnie do swoich kies. Ale Francuzi, w każdym razie ci, którzy na łamaniu blokady robili największe interesy, także na tym stracili. Pan Massias kazał aresztować Godolina, ale wskutek oświadczenia Godolina Massias został zdjęty ze stanowiska rezydenta cesarstwa. Wyjeżdża do Paryża i chyba już nie zamelduje się u szefa tajnej policji, pana Fouche, ale u jego zastępcy, pana Savary. Tylko gubernator Rapp będzie wieczny. Nie wiem, czy zależy panu na opinii przemytnika, ale szanuję pana. Wiem, że aby ochronić rybaków helskich przed gwałtami ze strony Anglików, zobowiązał się pan odnaleźć trumnę ze szczątkami sir Markhama i jego naiwną, choć dzielną córkę. Wiem także, że gotów jest pan w tych dniach przekazać żywą pannę Mary oraz trumnę Anglikom. Widzi pan, trudno jest tutaj utrzymać coś w tajemnicy,

- Wrócić mają także z niewoli dwaj synowie mojego helskiego przyjaciela, Budzisha Wielkiego.

- Anglicy okłamali pana, kapitanie Wolski. Obaj chłopcy nie żyją.

- Jest pan tego pewien?

- Niestety, tak...

- To smutne...

- Bardzo smutne. Nawet na froncie walki przemytników obowiązują określone prawa. Nie chcę, aby pan odczytał to, co mówię tak, jakbym

chciał nastawić pana przeciw Anglikom. Francuzi postępują tu jeszcze nikczemniej, dlatego moja dobra rada - wy Polacy powinniście ufać przede wszystkim sobie, tak jak czynimy to my Holendrzy w tej wielkiej wojnie całej Europy. Napoleon podbił nas, obdarzył następnier królem z rodziny Bonapartych, potem króla zdetronizował i Holandię przyłączył do Francji. A teraz, tutaj, postanowiłem być świadkiem pańskiego pojedynku, aby nie zabito pana, jeśli pan zwycięży. A moim zdaniem, wygra pan tę walkę.

- Dziękuję za dodanie mi otuchy... Ale proszę wierzyć, nie przystępowałbym do walki, gdybym nie wierzył, że zwyciężę. Niewiara w zwycięstwo to już przegrana...

- Zauważył pan, że na tę ceremonię nie przybył dowódca korwety, pan Durbeyfield? W razie czego będzie udawał, że o niczym nie wiedział. Pojedynki są przecież u Anglików także zabronione, choć i tam bywają zmorą armii i floty.

Kiedy Jorg van der Groote odszedł, kapitan Tricon poinformował Wolskiego, że na brzegu, dość daleko od miejsca ich pojedynku, wylądowała łódź Budziszów „Święta Barbara”. Tak więc, po całej „sprawie honorowej”, on z Sokołowskim odjadą do Gdańska, a Wolski może wybrać się na Hel.

- Wraca pan po swoje rzeczy, kapitanie? Słyszałem, że generał zamierza pana zabrać do Warszawy i że czeka tam na pana awans na majora.

- Tak to wygląda. "- Oficer skinął głową. - Mam jednak jeszcze na Helu cośkolwiek do załatwienia...

Jeszcze przed pojedynkiem jeden z oficerów angielskich zapytał Wolskiego o jego zobowiązanie odszukania Mary Markham i trumny. Co będzie z realizacją zobowiązania, jeśli Pearson go zabije?

- Nie ulega dla mnie wątpliwości, że to ja zabiję kapitana Pearsona, mój panie. A co do zobowiązań... Mamy dziś wtorek. Za tydzień, w następny wtorek, wkrótce po zapadnięciu zmroku, zapłoną na Wydmie Umarłych,

znanym miejscu wylądunku kontrabandy, trzy czerwone latarnie. Możecie wysłać szalupę na brzeg. Czekać tam będzie, zdrowa i dzielna panna Markham oraz trumna ze szczątkami jej ojca. Jeżeli interesuje panów również ukryta w trumnie kasa, to z żalem muszę powiedzieć że wpadła ona w ręce korsarza francuskiego pana Mareta i nim zdążył zapoznać się z jej zawartością, jego okręt roztrzaskał się na mieliznach...

Wszystko odbyło się zgodnie z ceremoniałem, przyjętym w Royal Navy w sprawach honorowych. A więc na początku wezwanie przez starszego oficera z korwety: „Panowie, apeluję do was, aby sprawa ta została załatwiona bez rozlewu krwi - „without bloodshed”...

- Czy jest taka możliwość? - zapytał Wolskiego, jako wyzywającego, kapitan Tricon.

- Myślę, że nie - odpowiedział oficer.

- A pan, kapitanie Pearson?

- I think not, sir. Myślę, że nie...

Ustawiono obu plecami do siebie.

Mieli odejść - każdy w swoją stronę - dziesięć kroków, po czym zatrzymać się, trzymając pistolet zwrócony lufą do góry. Na komendę „fair” - podaną przez angielskiego starszego oficera, należało odwrócić się, wycelować i strzelić.

Wolski nagle stwierdził, że cały świat dookoła przestał jakby istnieć. Nie widział sekundantów, świadków, nieba, wydm, morza... Był tylko naładowany pistolet w jego dłoni i rytm kroków.

- ... siedem, osiem, dziewięć, dziesięć... stop! Uwaga - ognia!..

Obrócili się i strzelili równocześnie. Gdy Wolski podnosił pistolet, czuł znakomicie wyważenie broni i bezbłędnie, bardziej instynktem niż zmysłami, uświadomił sobie, kiedy wylot lufy mierzy w pierś angielskiego oficera. Huk wydał mu się ogłuszający, ale to był skutek napięcia nerwowego.

Dużo dymu! Po wystrzale obaj przeciwnicy stali moment nieporuszeni, jakby obaj chybili. Potem jednak nogi pod Anglikiem ugięły się i bezwładnie, nie wykonując już żadnego ruchu obronnego przed uderzeniem o ziemię, upadł twarzą w pył piaszczystej wydmy.

Była cisza, tylko na brzegu krzyczały mewy. Słońce świeciło tak, jak poprzednio. Do leżącego podszedł lekarz z „Seafox”, obejrzał i osłuchał trafionego, po czym wstał, meldując mistrzowi ceremonii:

- He is dead, sir. On nie żyje...

- Dziękuję panom - stwierdził mistrz ceremonii. - Jesteście świadkami, że wszystko odbyło się zgodnie z przyjętymi zasadami pojedynku między dżentelmenami. Problem, który był przyczyną naszego spotkania, nie istnieje...

Żegnając się z Triconem i Sokołowskim, Wolski nie był jeszcze świadomy w pełni tego, co się stało. Nie słyszał gratulacji. Tak naprawdę powód konfliktu nie był aż tak poważny, żeby zabijać człowieka... Obiecywał sobie, że już nigdy nie wyzwie nikogo na tak idiotyczny sąd przypadku, który decydować miał o honorze. Ale czy mógł wówczas, „między dżentelmenami”, którzy uznawali właśnie takie rozstrzygnięcie sporów, postąpić inaczej?

Gdy Tricon i Sokołowski odjeżdżali w stronę Gdańska, równocześnie korweta „Seafox” wybierała kotwicę i stawiała żagle. Następne nasze spotkanie nastąpi już w innych warunkach, pomyślał Wolski. Gdy zwracał kroki ku „Świętej Barbarze”, zobaczył na grzbiecie przeciwległej wydmy życzliwie uśmiechniętego i pozdrawiającego go pożegnalnym gestem najśłynniejszego przemytnika i łamacza napoleońskiej blokady kontynentalnej, Jorga van der Groota

- Latającego Holendra. Także posłał mu pożegnalny gest, zastanawiając się, jak niezwykle są drogi przyjaźni i wrogości, nienawiści i miłości. Luiza d’Ambert dojechała już chyba do Paryża..., pomyślał.

Przy rybackiej szalupie w Jastarni czekał na niego Budzisz Wielki ze swoją nową załogą. Mój Boże, jak ja mu powiem tę straszną nowinę? - zastanowił się oficer i poczuł, że nogi grzęzną mu w piasku. „Dla jednych radość - dla innych smutek. Dla jednych uśmiech, dla drugich łza...” - przypomniał sobie słowa starej piosenki, którą śpiewali -polscy legionieści marszerując przez dżunglę San Domingo.

20.

Wolski nie powrócił do miasteczka na cyplu półwyspu, ale wylądował w Jastarni. Udał się potem do „Chaty Trzech Sióstr i Diabła”, koło Wydmy Umarłych. Życie płynęło tam spokojnie. Potwierdziło się, że trzy starsze kobiety były raczej opiekunkami niż strażniczkami angielskiej dziewczyny - ale też nie ochroniłyby jej, gdyby zjawił się Maret. Właśnie dlatego, że ciała Mareta po katastrofie „Misericordii” nie znaleziono, Zaremba i jego dwaj chłopcy z „Anny Marii” nie ruszyli się z miejsca, w obawie, że ktoś z korsarzy zajrzy do tego miejsca. Przybył tu również Budzisz Wielki na „Świętej Barbarze”, którą wciągnięto na piaszczysty brzeg. Tylko dni dzieliły ich wszystkich od spotkania z korwetą „Seafox”.

Mary Markham nie wyrażała z tego powodu entuzjazmu. W pierwszych dniach po zatrzymaniu jej tutaj była pewna, że „tak trzeba” i sama bała się opuszczać domu, potem zaczęła coś podejrzewać - czekanie trwało za długo, a równocześnie obok Wydmy Umarłych działy się dziwne rzeczy - lądowały nocą tajemnicze konwoje i obcy, tajemniczy ludzie kręcili się koło obejścia. W czasie operacji „Messaliny” i oddziału polskiej piechoty przeciw przerzutowi towarów dla pruskiej armii - mieszkanki chaty ukryły ją i ubrały w miejscowe, czarne, proste i biedne suknie. Upodobniła się do innych i zaczęła żyć ich codziennością. Potem nadeszła wiadomość o katastrofie „Misericordii”, którą z brzegu oglądali rybacy Kuźnicy i Jastarni. To może się wydać paradoksem, ale Mary Markham oczekiwała Mareta jak wybawiciela. Nie była zdolna wyobrazić sobie, że przywieźć mógł jej nie wyzwolenie, ale śmierć. Magazyny korsarskie, znajdujące się w dużej szopie obok chaty, zostały opróżnione wkrótce po pogromie konwoju, który wiozł zaopatrzenie dla pruskiej armii, i od tej pory kontrabanda przestała nadchodzić. Nikt nie zapalał już sygnałów na Wydmie Umarłych.

Wkrótce po „białym szkwale”, który zatopił „Misericordię”, zjawił się Wolski z Zarembą. W magazynie korsarskim stanęła spowita w nasmo-

łowane płótno wielka skrzynia z korwety „Dauntless” skrywająca szczątki jej ojca. Mary codziennie schodziła ze swojego pokoiku na poddaszu rybackiej checzy i zaglądała do magazynu, gładząc drobną dłonią chropawe płótno, cuchnące smołą. Może nawet coś tam szeptała do skrzyni, przekonana, że ojciec ją usłyszy.

Budzisz Wielki, chyba kierowany przeczuciem, zaczął nagle wypytywać oficera, czy „nic mu nie jest wiadome” o losie synów, czy może „coś przed nim ukrywa”. Wolski nie chciał kłamać, ale oficjalnie nikt mu nic dotąd nie zakomunikował, Anglicy natomiast podtrzymywali nadzieję, że przekazanie w ich ręce trumny Markham spowoduje realizację umowy: nie będą nękać represjami mieszkańców Helu i obaj chłopcy wrócą do domu. Ale Jorg van der Groote był dobrze poinformowany o wszystkim. Wolski uwierzył mu, chłopcy już nie żyli. Zjawiając się po trumnę i dziewczynę, Anglicy zakomunikują mu o tym. Powiedzą: „obaj chłopcy zostali zabici przy próbie buntu” albo „próbowali ucieczki i zostali zastrzeleni”... Tym niepokojem podzielił się jednak ze starym Kaszubem. Budzisz Wielki nie okazał bólu, przyjął to spokojnie, a potem powiedział cicho, jakby do siebie, a nie do kapitana, że znał prawdę wcześniej, chciał tylko potwierdzenia z ust Wolskiego.

Na pytanie oficera, wyjaśnił, że wkrótce po porwaniu obaj chłopcy przyszedli do niego przed świtem, kiedy wyszedł z domu przygotowywać łódź do połowu. Widział ich obu, jak szli plażą, obok domu, obok „Świętej Barbary”, mijali wyciągnięte żaki łowne i węcierze. A potem zakryła ich mgła... Już wtedy wiedział, że starania o ich powrót będą daremne, „ale przecież starać się było trzeba”.

Tego dnia Wolski wtajemniczył Zarembę i Budzisz w swój plan. Brał udział w takich akcjach na Antylach, wiedział, jak to się robi. Potrzebował materiałów łatwo palnych i wybuchowych. Zaremba wyznał wtedy, że wszystko ma dobrze ukryte w swoim gospodarstwie na cyplu półwyspu. Gotów był tam pojechać i na swojej „Annie Marii” wszystko przywieźć. Potem zamyślił się, pokręcił głową i powiedział:

- Nie! Popłynę tam na „Świętej Barbarze”, razem z Bur dziszem. Czasu jest niewiele, trzeba już zacząć się przygotowywać. Zdecydowałem się, poświęcimy na ten cel moją łódź, mój mały statek „Annę Marię”. To ona zatopi korwetę „Seafox”.

Plan Wolskiego był prosty - należało przyjąć Anglików, zwrócić im trumnę, przekazać Mary Markham, niech siądą do wiosł, i odpływają. Nie wątpił, że „Seafox” nie przybędzie samotnie, ale jego akcję osłaniać będą inne okręty. Anglicy stali się czujni. Ten jeden z okrętów ubezpieczających powinien przejąć szalupę z „Seafoxa”. A jeśli będą sami - niech płyną, dokąd chcą, byle najdalej stąd! Swoje czyny motywowali zawsze stanem wojny. Nawet porwanie obu chłopców i ich zabójstwo także uzasadnią „koniecznością wojny” - niech więc sami tego zakosztują. Kiedy bowiem „Seafox” stać będzie na kotwicy ze zwiniętymi żaglami i czekać na powrót szalupy, zostanie zaatakowana i zniszczona przez brander. „Anna Maria” nadaje się rzeczywiście znakomicie na brander.

Od początku historii żeglugi wykorzystywano ten sposób dla zniszczenia okrętów przeciwnika, palono-nawet całe floty, używając do tego statków wypełnionych mieszanką wybuchową i łatwo palną. Taki płonący statek powinien był dobić do burty nieprzyjacielskiego okrętu, a jeszcze lepiej gdyby ten, kto nim kieruje, związał hakami abordażowymi burtę swojego statku z burtą przeciwnika.

- Znam się na tym, nie boję się... - mówił Wolski.

- Pomalujemy „Annę Marię” na czarno - wszystko: burty, nadburcia, pokłady i żagle! Nie spostrzegą się! Podprowadzę łódź pełnym wiatrem na postawionym grocie. Będę pilnował żagla i steru, a lont będę miał już zapalony, tyle że ukryty. Tamci nie zobaczą. Nie będą wiedzieli, co za łódź, może pomyślą, że to ich własna z postawionym żaglem? Nie zdążą wystrzelić!... A nim się zorientują, dobiję do ich burty i wtedy wystrzeli cały fajerwerk... Chciałbym, abyście dopilnowali brandera i pomogli mi go potem zepchnąć na morze. Szalupę z korwety przyjmę osobiście, przekażę Anglikom, co miałem przekazać. To nie potrwa długo. Gdy Anglicy będą

ładować skrzynię na swoją szalupę, na pewno zamarudzą. Zdażę ich uprzedzić i z moim branderem dotrzeć wcześniej do Anglików.

- Jest tylko jedna możliwość przeszkodzenia nam w spełnieniu tego planu: jeśli Anglicy nie dadzą się podejść i otworzą ogień do brandera - uważał Zaremba.

- Nie przypuszczam, żeby przy lądowaniu trzymali pełną obsadę kano nierów przy działach, z zapalonymi lontami w garści - pokręcił głową Wolski. - A gdy się zorientują, będzie już za późno na działanie. Zresztą muszą brać pod uwagę, że ich ogień mógłby zatopić własną szalupę! Nie, nie zdążą i w ogóle nie będą strzelać!...

- Nie uważasz, że powinienem popłynąć z tobą? - spytał Zaremba.

- Nie. Zrobię to sam...

- Za wiele jak na jednego człowieka - pokręcił głową rybak - ja z ponem popłynę. Pon będzie pilnował prochów i haków abordażowych, a ja rumpla i żagli.

- Nie, mój kochany! Sam to zrobię! Ale tymczasem wy płyńcie na cypel Helu i przywieźcie mi tu wszystko, co potrzeba. Starczy tego?

Ach, tym, co tam trzymam, można wysadzić w powietrze nawet okręt liniowy, a nie tylko korwetę! Nie zbierałem tego sam, to mój poprzednik magazynował dla tej bandy von Krockowa... A co zrobisz, kapitanie Wolski, po wykonaniu zadania? Chcesz tam zginąć? Nie pozwolimy na to!

- Jak będzie trzeba, to zginę. Nikt po mnie nie zapłacze, nawojowałem się, ale myślę, że po dobieciu do burty „Seafox” uda mi się skoczyć do morza i dopłynąć do brzegu. Anglicy nie staną za daleko, znają to miejsce dobrze, nie raz tu podchodzili, aż dziw bierze, że nie odkryli obecności Mary Markham!

- Najciemniej koło latami... - skomentował Zaremba.

Następnego dnia od rana zabrali się do przeciągania łodzi

Zaremba „Anny Marii” z brzegu Małego Morza na brzeg Wielkiego Morza, w ciasny wąwóz między wydmami, daleko dość od obejścia trzech kobiet i jeszcze dalej niż Wydma Umarłych. Pomagały im w tym dziele wszystkie trzy rybaczki i ich chłopak. Udało się dokonać tego dzieła szybko i jeszcze przed południem Zaremba i Budzisz oraz dwaj żeglarze Zaremba odpłynęli z Kuźnickiej Jamy na „Świętej Barbarze”, Wolski natomiast, wraz z dwoma familiantami starego Budzisz z zaczęli natychmiast pracę przy „Annie Marii”. Obaj młodzi Budzisz sędzieli, że chodzi o przygotowanie stateczku do dalekiego rejsu, ani chybi na Morze Północne. Dopiero następnego dnia mieli spostrzec, że przeróbki pewnych szczegółów na pokładzie wskazują na inny cel tej roboty. Jaki? Tego nie mogli jeszcze odgadnąć.

Zaremba, Budzisz i obaj chłopcy Zaremba wylądowali na „Świętej Barbarze” z dala od helskiego portu, w miejscu gdzie zwykle wciągali swoje łodzie na „sztrań” maszopi z Jastarni, gdy przybywali tu w swoich sprawach.

Zaremba poszedł do miasta, już przy pierwszej gospodzie dowiadując się, że stolica półwyspu ma nowego burmistrza. Kapitan Stablewski był uprzejmy, ale nie otwierał się przed Zarembą, nie zdradzał własnych refleksji na temat ostatnich wydarzeń. Wydał mu rzeczy Wolskiego i pytał, czy dawny komendant przyjedzie się pożegnać z żołnierzami. Tu także dotarły wiadomości, że generał Grabowski chce zabrać Wolskiego do Warszawy. Stablewski nazywał Wolskiego „panem majorem”, jakby nie wiedział albo udawał, że nie wie o pominięciu jego przyjaciela w awansie, w czasie pobytu księcia Józefa Poniatowskiego w Gdańsku. Słyszał o zasadzce na księcia, o udziale Wolskiego w obronie „Generała Rappa” przed atakiem angielskim, a nawet o jego przestrelonym kapeluszu. Co zaniepokoiło Zarembę: Stablewski wspominał o pojedynku, choć niewątpliwie nie wiedział, że przeciwnikiem jego przyjaciela był Anglik. „Jakie to wszystko ma znaczenie, skoro obaj wiemy, że major Rafał Wolski był zawsze człowiekiem szlachetnym, godnym szacunku...”

Amen... - dokończył Zaremba. - Panie kapitanie Stablewski, Wolski jeszcze żyje i pewnie wszyscy o nim usłyszymy. Generał dał mu po prostu urlop i w pełni z niego korzysta.

Odwiedził także pastora, pytał o wiadomości o Annie Marii. Jeszcze nie wierzył, że zginęła, choć nadzieja na jej odnalezienie właściwie już stała się fantomem.

- Dopóki nie będziemy wiedzieli, że znaleziono jej ciało, można wierzyć, że ktoś ją wyratował. Może ocalała i żyje w jednej z wiosek rybackich nad zatoką? A może, niestety, poszła w ślad za swoją matką?... - powiedział pastor „za matką”, widocznie nie chcąc utożsamiać pośmiertnej drogi dziewczyny z drogą jej ojca. - Zostawiła również, list do pana, panie Zaremba. Pozwoliła mi go przeczytać. Zobowiązałem się oddać go panu. O, właśnie jest tu złożona we czworo kartka papieru. Był pan jej najbliższą osobą.

- Mogę go dostać?

- Coś panu poradzę, niech pan go nie czyta i pozostawi przeszłość zamkniętą. Jeśli zgodzi się pan, podrę list na strzępy i wspólnie będziemy patrzeć, jak te strzępy obrócą się w popiół. Znaleziono szczątki łodzi Murzy i jego zwłoki. Jej nie znaleziono. Gdyby przeżyła, pewnie udałaby się do dziadków - takie miała plany. Wiem, że na Mierzei, koło Łysej Góry znaleziono ciało topielicy i pochowano w wydmach. Może to ona, może nie... Zostawmy ją w spokoju... Może ta zmora, która ostatnio zawisła nad Hellem, odejdzie dalej? Dość tu było pogrzebów ostatnio. Czas, aby nikt się już nie mścił i nikt nie zabijał.

Wspólnie patrzyli potem, jak gorzeją skrawki listu Anny Marii.

Zaremba odwiedził swoje gospodarstwo, wypłacił gosposi nie tylko należne jej wynagrodzenie, ale z góry, za najbliższy rok. Nie chciał już tutaj wracać. Swoich dwóch parobków-żeglarzy popędził do przenoszenia skrzyń, worków i beczek ze schowka pod magazynem gospodarskim na pokład łodzi.

Potem wezwał ich, wypłacił za rok z góry, każąc wracać do domu. O nic nie pytali. Obaj, choć nie byli sentymentalni, stali długo na brzegu, patrząc za oddalającą się „Świątą Barbarą”. Potem dołączyła do nich gospoia z córką. Coś się dla wszystkich kończyło. Na zawsze...

Gdy „Świąta Barbara” oddaliła się tak daleko od brzegu, że sylwetki obu chłopców, kobiety i dziewczyny zlały się w jedną mgłę razem z konturem łądu, nagle stary rybak dotknął ramienia starego wojaka o sztywnej nodze. Zaremba był zmęczony fizycznie i psychicznie - siedział oparty o nadburcie, trzymając w dłoniach swą straszną broń, rapier ukryty w lasce. Mieli postawiony główny żagiel, podniesiony na gaflu, Szli półwiatrem, ostro, bryzgi fal, rozkrojonych dziobem, leciały aż na pokład. Weteran spod Frydlandu obejrzał się i przez chwilę przyglądał pooranej bruzdami twarzy i siwym, szczerym oczom rybaka, skrytym za krzaczastymi brwiami. Rybak patrzył także na niego, ale nic nie mówił. Wówczas nagle Zaremba połapał się, o co tamtemu chodzi. Uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak, wiem panie Budzisz, co chciałby mi pan powiedzieć, i zgadzam się z panem.

Wieczorem wylądowali dwie mile na południowy wschód od Kuźnicy. Całą noc przenosili tajemniczy ładunek na „Annę Marię” z pokładu „Świętej Barbary”, z brzegu Małego Morza na brzeg otwartego Bałtyku, układając ostrożnie, według planu opracowanego przez kapitana. Był tam proch, nasmarowane liny i płachty, jakieś mazie i smary łatwo palne, saletra, siarka i coś jeszcze...

W czasie wspólnego obiadu Wolski nie wytrzymał i spytał pannę Mary Markham, czy chodziło jej tylko o trumnę ze zwłokami ojca, czy również o szkatułkę ukrytą w trumnie? Wyjaśnił przy tym najogólniej, w jakich okolicznościach udało mu się odnaleźć trumnę, szkatułkę ze skarbem porwał bowiem pan Simon Maret i chyba zaginęła w czasie huraganu razem z całym okrętem...

Mary Markham, która przez te kilka dni wydobyła się już z depresji, w jakiej znaleźli ją w samotnym domu wśród wydm, uśmiechnęła się.

- Tak wiem, mówiono mi o tym na wyspie Anholt, że w Gdańsku panuje przekonanie o ukryciu wielkich skarbów w dębowej skrzyni, w której złożono mojego ojca po zatopieniu „Dauntless”. Przyczyniło się do tego postępowanie pana Thomasa Handforda, wykopanie przez niego trumny i ukrycie w innym miejscu, ale też on był przekonany o tym, że szkatułka pełna jest złota, konkretnie - złotych talarów Marii Teresy.

- Skąd się więc wzięła ta legenda?

- To nie była legenda. Do Nowego Portu, pod Gdańskiem, gdzie nastąpiła w maju ostatnia koncentracja wojsk pruskich i rosyjskich oraz angielskiej floty, nadeszła rzeczywiście ta właśnie szkatułka, pełna złotych talarów i groszy królewieckich na pokrycie długów feldmarszałka Kalckreutha, zaciągniętych wobec patrycjatu gdańskiego i zaległego żołdu. Ale rada wyższych dowódców w Nowym Porcie postanowiła w ostatnim momencie pozostawić cały ładunek złota na miejscu, a następnie przewieźć do Królewca lub Karlskrony. Natomiast w miejsce złotych talarów wypisać odpowiednie rewersy, na których pokrycie istniały przecież złote talary - tyle, że ukryte w innym miejscu, w rękach koalicji antynapoleońskiej. O tej zamianie nie wiedział ani sekretarz, ani nawet dowódca okrętu. Natomiast w dokumentacji, którą przejął sztab marszałka Lefebvre, wymieniona była cała rzeczywista suma w złotych talarach Marii Teresy. Stąd próba otworzenia grobu mojego ojca, a potem poszukiwania jego sekretarza ukrywającego się w Gdańsku.- Informacje te dotarły nawet do Paryża. To nieporozumienie powodowało główne opory administracji, gdy prosiłam o pomoc w wydośtaniu z Gdańska trumny ze zwłokami mojego ojca. Grosze królewieckie to było coś takiego jak grosze brandenburskie - dziś pieniądz ten nie ma żadnej wartości, a rewersy i papiery wartościowe straciły aktualność po pokoju w Tylży. Nie było więc żadnego skarbu i w Londynie zostałam ostrzeżona, aby w przypadku komplikacji w przewozie trumny, pozbyć się szkatułki,

najlepiej ją zniszczyć... Los chciał, że pozostałam w miejscu, gdzie wylądowałam...

Wolski popatrzył na Zarembę i obaj pokiwali głowami, nie zdobywając się na żaden komentarz, ale Wolski miał jeszcze tę przyjemność, że wyobraził sobie Mareta, kiedy sam, w dobrze zamkniętej kabinie dowódcy „Misericordii”, włamuje się do szkatułki, aby uprzedzić w tym dziele Godolina. No i kiedy wreszcie zamki puściły, oczom Mareta ukazały się zbudowane papierzyska i sfalszowane legalnie zardzewiałe monety królewskie, wyprodukowane ze stopu bez zawartości srebra. Godolin został tego dnia aresztowany i był przekonany, że Maret zawładnął skarbem, a potem aresztowanie spadło na Massiasa, który był pewny, że skarb posiada właśnie Godolin... ”

- Kto więc zostanie głównym spadkobiercą majątku ojca, gdy trumna ze zwłokami zostanie pochowana w grobowcu hrabstwa Essex? - zapytał Zaremba pannę Markham.

- Wszyscy po trochu na tym skorzystają, cała familia, ale podobno głównym spadkobiercą mam być właśnie ja. tylko że ja, przyznam się panom, nie przykładam wagi do pieniędzy. Chodzi mi wyłącznie o satysfakcję moralną i godność rodu Markhamów. Żyjemy przecież między dżentelmenami.

- Wszędzie ci dżentelmeni - westchnął Wolski, ale tak cicho, aby go nikt nie usłyszał. - Wkrótce powitamy tu innych dżentelmenów, którzy wylądują koło Wydmy Umarłych, na szalupie z korwety „Seafox”. Kontrabanda, którą zwalczali inni, nie była tą kontrabandą, o którą chodziło władzy, skarb nie był skarbem, a morderców było zbyt wielu aby pochwycić ich i postawić przed sądem...

Tego wieczoru, gdy zapadły już ciemności, a na Wydmy Umarłych zapaliły się trzy czerwone latarnie, ustawione w znak trójkąta, dziób szalupy wysłanej z korwety „Seafox” zagłębił się w piasek plaży. Na ląd wyskoczył młodszy oficer Robert Addison, za nim żołnierze piechoty morskiej i

marynarze, a na końcu dowódca desantu porucznik Castlewood. Był tu kiedyś, znał drogę i wiedział, kogo napotka. Gdy w mroku dostrzegł wyłaniającą się im naprzeciw postać, był pewny, że jest to kapitan Rafał Wolski, komendant polskiej placówki na Helu. W bazie angielskiej floty nie znano bowiem jeszcze nowych-decyzji, jakie zapadły w Gdańsku. Wymienili powitalne zwroty, przedstawiając się nawzajem.

- Chciałem spytać pana, sir - odezwał się następnie Wolski do oficera floty - czy byliście panowie uprzejmi dotrzymać danego słowa i przywieźć na półwysep dwóch chłopców porwanych - tu zaakcentował właśnie słowo „kidnapped”, bo oznaczało ono postępowanie niegodne, pirackie - z wybrzeża koło Jastarni?

- A jak z pańskim zobowiązaniem, sir?

- Jest tu panna Markham, żywa i zdrowa, nawet chyba w dobrym nastroju, i jest trumna z doczesnymi szczątkami jej ojca. Co więc z chłopcami?

- Stało się nieszczęście, sir. Zginęli w czasie próby ucieczki. Nasz dowódca przesyła w związku z tym swoje ubolewanie.

- Tak myślałem, panie poruczniku. Proszę przekazać swemu dowódcy, panie poruczniku, że zawiódł mnie. Nie okazał się człowiekiem godnym honoru. Nie wywiązał się ze swego zobowiązania, które gwarantował mi kapitan Paerson.

- Nie wiem, co mam odpowiedzieć, sir. Obraża pan mojego dowódcę, powołując się na świadectwo osoby nieżyjącej. Chętnie dam panu satysfakcję...

- Nie dziś i nie tutaj, poruczniku. Spełnia pan przecież ważną funkcję.

Na ich drodze, na tle mrocznych zabudowań ukazała się niewieścia postać z latarnią. Addison wyszedł jej naprzeciw podnosząc swoją latarnię i

oświetlając Mary, ubraną w te same suknie i płaszczy, w których wylądowała na półwyspie.

- Oto Mary Markham, córka pana Humphreya Markhama, specjalnego rezydenta Anglii, poległego na korwecie „Dauntless”. Proszę, niech pan zaopiekuje się damą, a ona wskaże panu miejsce, gdzie złożyliśmy trumnę...

Gdy Anglicy udali się za młodą kobietą w kierunku magazynów przy budynku głównym, Wolski cofnął się, zniknął Anglikom z pola widzenia i okrążył zabudowania od strony plaży. Cały zadyszany dopadł wreszcie miejsca, gdzie tkwił kadłub „Anny Marii”, ale... stateczku nie znalazł! Stały tam trzy kaszubskie wdowy, ich pomocnik-przygłup i familianci Budzisz.

- Gdzie „Anna Maria”? - wydusił z siebie oficer. Wskazali mu na morze. Było tak ciemno, że nie mógł dojrzeć kadłuba ani żagla, natomiast wyraźnie rysował się w dali kontur korwety, oświetlony dużą latarnią na maszcie, światłami pozycyjnymi i latarnią przy trapie.

- Co kazali powiedzieć? - chrapał Wolski, wciąż łapiąc powietrze. Lata dawały o sobie znać.

- Pan Zaremba kazał pana kapitana pięknie pozdrowić, a pan Budzisz prosił, aby po odwiezieniu pana do Gdańska pozwolił pan jego familiantom wrócić na półwysep. Będą teraz pływać na „Świętej Barbarze” sami - powiedziała jedna z kobiet.

Takie to proste, bez wielkich słów - ten go pozdrawia, tamten zapewnia mu powrót i informuje, że przekazał załodze swój kuter. Kiedy się zmówili? Pewnie wówczas, kiedy wracali razem!... Co miał teraz robić? Nic. Chyba tylko czekać. Wiatr był pomyślny, tamci szli więc prosto na korwetę, która unieruchomiona stała na jednej, a może dwóch kotwicach - aby ją nie zdryfowało, tworząc w ten sposób znakomity cel.

O cztery, może nawet pięć długości od korwety, buchnął nagle na morzu płomień.

- Mój Boże, spraw, żeby zdążyli! Żeby nie wylecieli w powietrze, zanim nie dobiegą do burty korwety!

Coś huknęło, posypały się iskry i nagle cały żagiel stanął w płomieniach, płonące liny zaczęły pękać i zwijać się jak węże. Jeszcze jedna długość... Idą jeszcze rozpędem, nie mają żagli, płonie cały dziób, ogień zbliża się do rufy. Ciekawe, kto steruje, chyba Zaremba? Nie, nic nie można dojrzeć z tej odległości! Powinni już skakać do wody, przecież dobili do burty korwety! Powinni już skakać! Nie, chyba ktoś z pokładu, w tym morzu ognia, ma jeszcze świadomość walki i zarzuca na burtę przeciwnika haki abordażowe! Czemu nie skaczą? A tamci? Nie oddali dotąd ani jednego strzału...

Nagle obu żaglowcami wstrząsnęła eksplozja, która rozerwała burtę „Anny Marii” i zionęła płynnym ogniem przez otwarte ambrazury śródpokładu korwety. Płonęły już wanty, ogień obejmował żagle głównego masztu! Eksplozje powtórzyły się, ku niebu strzeliły snopy iskier, wyleciała , nawet jedna cała beczka prochu i rozerwała się powyżej masztów!...

Gdy zjawiała się wreszcie korweta „Falcon”, mogła już tylko przyjąć na pokład załogę szalupy, która wiozła Mary Markham i trumnę - oraz wyłowić rozbitków. Wrak korwety „Seafox” płonął do rana, a morze wyrzucało na brzeg .rozbite w drzazgi reszty burt, rei i pokładu oraz trupy. Niektóre z nich były czarne od sadzy i dymu, nierozpoznawalne. Wszystkie zostały potem pochowane we wspólnej mogile wśród białych wydm.

Koło południa, kiedy jeszcze dymił wrak okrętu, Wolski spakował się i razem z dwoma familiantami Budzisz ruszył przez półwysep ku Małemu Morzu, gdzie czekała na nich „Święta Barbara”. Odeszli już kawałek drogi, gdy dogoniła ich jedna z trzech rybackich wdów, przynosząc Wolskiemu przedmiot pozostawiony mu „na pamiątkę” przez Zarembę. Była to słynna laska z ukrytym wewnątrz rapierem.

Wolski zatrzymał się w Gdańsku w zajęzdzie „Pod Trzema Maurami”. Tam, w blasku świecy, sporządził meldunek dla sztabu. Postawił na górze datę i napisał:

W czasie mojego pobytu na półwyspie Hel byłem świadkiem, jak na korwecie brytyjskiej, zapewne „Seafox”, wybuchł nagle pożar, który objął cały okręt i doprowadził do eksplozji prochów. Rozbitków z tego okrętu wziął na pokład inny żaglowiec angielski, prawdopodobnie „Falcon”, należący do eskadry Morza Bałtyckiego, stacjonującej na Wyspie Anholt. Przebywałem w tym czasie u znajomych rybaków między wsiami Kuźnicą i Jastarnią. Powód pożaru nie jest mi znany...

A nocą, leżąc z otwartymi oczami w ogromnym „letto matrimoniale” pomorskiego mieszczaństwa, oczekiwał, że może stanie się cud i ktoś nagle zastuka. Jego pistolet nie spoczywał na stole „na wyciągnięcie ręki” ani nie stała obok łóżka szabla mamełucka. Może zmieniły się obyczaje, może zmieniał się on sam? Ale tuż obok miał laskę z kościaną gałką, skrywającą rapier. Była to jego jedyna pamiątka, jaką zabierał do Warszawy.

Od autora

Ta przygodowa opowieść morską, utrzymana w konwencji „płaszczka i szpada”, wpisana została w historyczne realia epoki napoleońskiej - od wiosny do końca lata 1810 roku. Jeśli chodzi o główny wątek fabularny, został on podporządkowany wprawdzie prawom fikcji, ale nie przekracza ram autentyczności - na Helu w tych czasach rzeczywiście utrzymywał placówkę oddział polskich żołnierzy z polskiej brygady stacjonującej w Gdańsku, a dowodzonej przez generała Michała Grabowskiego, w porcie cumowały korsarskie okręty francuskie, prasa pisała o wielkich aferach przemysłowych - jak na przykład afera gdańskiego kapitana Nussena, a w afery te, o czym już nie pisała prasa, ale co znamy z dokumentacji historycznej, wplątane były osobistości francuskiej administracji cesarskiej. Faktem jest zatopienie angielskiej korwety „Dauntless”, dramatyczny bój korsarskiej galioty „Messalina” u brzegów Mierzei Wiślanej, a także próba porwania księcia Józefa Poniatowskiego na Zatoce Gdańskiej przez uzbrojone szalupy angielskie. Między te fakty wpisałem niezwykle, ale przecież nie nieprawdopodobne przygody moich bohaterów. Zdaję sobie sprawę, że jest to obraz „epoki napoleońskiej” nieco inny od tego, który malowali niektórzy autorzy popularnych książek historycznych dawnymi czasy. Nie ma tu na pewno uwielbienia dla cesarza, zresztą trudno o uwielbienie, gdy bohaterem jest oficer wracający z San Domingo - tak jak inni, wysłany tam na śmierć.

Akcja rozgrywa się w Gdańsku i na Helu, a więc na obszarze Wolnego Miasta Gdańska, sztucznego tworu politycznego, powstałego z inicjatywy Napoleona po klęsce Prus i Rosji pod Frydlandem i podpisaniu pokoju w Tylży. Miała to być przede wszystkim główna baza morską Francji na Bałtyku, spełniająca rolę francuskiego żandarma wobec handlu bałtyckiego. Trwała wówczas niesławna „blokada kontynentalna”, którą ogłosił Napoleon jeszcze w r. 1806, wkrótce po klęsce francuskiej floty pod Trafalgarem. Blokada miała zniszczyć gospodarczo Anglię i choć rzeczywiście dopro-

wadziła do poważnych trudności w jej handlu i ekonomice, równocześnie załamała cały handel zamorski na kontynencie. Odczuwała ją boleśnie Francja i wszystkie sprzymierzone z nią kraje. Odczuła ją Polska, na której części terytorium stworzone zostało Księstwo Warszawskie.

Polacy uczestniczyli w zdobyciu Gdańska w r. 1807, krwawo opłacając to zwycięstwo, ale początkowo ich udział wojskowy w ochronie miasta był znikomy. Dopiero od wiosny 1809 jednostki Księstwa Warszawskiego stanowić zaczęły większą część garnizonu, wpływając w końcu również na oblicze miasta i jego życie. Latem 1811 r. występował tu przeciw zespoł Teatru Narodowego Wojciecha Bogusławskiego, prezentując m.in. śpiewogrę Stefaniego „Krakowiacy i górale”. Po klęsce Napoleona głównie garnizon polski bronił Gdańska, ustępując dopiero w wyniku kapitulacji podpisanej przez władze francuskie 1 stycznia 1814 roku, w ponad dwa miesiące po przegranej pod Lipskiem i po śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, na trzy miesiące przed poddaniem Paryża wojskom koalicji antynapoleońskiej i pobiciem ostatnich oddziałów cesarskich przez Wellingtona pod Tulużą.

Wspomniane wielokrotnie dramatyczne losy korwety „Dauntless” to - jak zaznaczyłem poprzednio - fakty historyczne, choć historia nie mówi nic ani o skarbie, ani o losach reszty ładunku. Kapitan Christopher Strachey podróżował istotnie z małżonką i został przyjęty przez marszałka Lefebvre w jego gdańskiej kwaterze. Po wydobyciu z dna Wisły wrak „Dauntless” został wyremontowany i spłynął znów na wodę jako „Wellington”. Nie pływał długo. Został wyrzucony na brzeg koło Sopotu w czasie huraganowego „białego szkwału” i roztrzaskany.

Faktem jest, że cała Europa wypuszczała wówczas fałszywe banknoty i biła fałszywy bilon. M.in. pojawiła się fałszywa moneta pruska, tzw. bilon brandenburski, czyli „szostak”. Po pokoju w Schönbrunnie rząd austriacki znalazł się w tak trudnej sytuacji gospodarczej, że wypuścił banknoty nie oparte na żadnych prawach rynku, które następnie zaczął skupować, płacąc jedną piątą ich nominalnej wartości. '

Zajazd „Pod Trzema Maurami” istniał naprawdę w Gdańsku w opisywanym okresie, przy ulicy Kładki 26. Pod koniec ubiegłego stulecia zburzyli budynek Prusacy, wznosząc w tym miejscu istniejący do dziś gmach tzw. „Victoria-Schule”, gdzie w 1939 r. hitlerowcy zorganizowali przejściowy obóz koncentracyjny dla gdańskich Polaków.

Opisana tu scena zażegnania nastrojów buntu w polskim garnizonie, narastających wskutek złej organizacji i złego wyposażenia, jest oparta na autentycznej relacji porucznika Antoniego Białkowskiego. Generał Grabowski wydał rzeczywiście rozkaz strzelania do siebie i innych oficerów garnizonu, co natychmiast zażegnało atmosferę buntu.

Pałac francuskiego gubernatora Jeana Rappa znajdował się na miejscu obecnej posesji przy ul. Elbląskiej 88/89. Wówczas ulica nosiła nazwę Długich Ogrodów. Pałac wzniosła rodzina Wejherów, a rozbudował Jerzy Wandalian Mniszech z Wielkich Kończyc - marszałek nadworny koronny i starosta grudziądzki u schyłku Rzeczypospolitej. Pałac zburzyli Prusacy w 1905 i.

Legenda związana z „Wydumą Umarłych” koło Kuźnicy nazywaną przez miejscowych „Libek” lub „Lubek” znana jest do dziś na półwyspie, wiąże się jednak z czasami nieco późniejszymi - pod koniec XIX wieku. Wspomina o niej Józef Ceynowa w wydanej w 1985 książce „Dobro zwycięża - legendy z Kaszub i Pomorza”. Popularna nazwa tej wydmy, figurująca nawet na mapach morskich, to spolszczona nazwa statku „Lubeck” („Lubeka”), z którego rozbitkowie zamarзли na wydmie. Inna słynna z legend wydma wznosi się koło wsi Ceynowa (dawniej Budziszewo - obecnie Chałupy), gdzie odbył się ostatni na ziemiach polskich sąd nad „czarownicą” Krystyną Ceynową.

W samym mieście Helu istnieją do dziś domki, które stały w tym samym miejscu w epoce napoleońskiej. Wiele jednak realiów zarówno na Helu, jak i koło Gdańska uległo zmianom. Miejsce zatopienia korwety „Dauntless” - wówczas na głównym nurcie Wisły, można dziś obejrzeć, zatrzymując się na moście łączącym ulicę Swojską z wyspą Ostrów. Ale jest

to obecnie drugorzędny kanał wiślany, główny nurt przeprowadzono bowiem wzdłuż istniejącego w czasach napoleońskich kanału, nazywanego obecnie Kanałem Kaszubskim. Nie opodal mostu, przy ulicy Swojskiej stoi jeszcze dwór dawnego majątku Młyniska, w którym kwaterowali w czasie bitwy z korwetą Polacy, a w mojej powieści obok dworu pochowano sir Markhama. Po forcie Montebello ślad nie pozostał. Jest tam obecnie park dzielnicy Nowy Port. W opisywanych czasach Westerplatte istniało jako wyspa. Jest jeszcze jezioro Zaspą, ale nie - jak wówczas - „na pustkowiu”, ale otoczone typowymi budynkami osiedlowymi i zmniejszone do obszaru $\frac{1}{5}$ dawnej powierzchni.

Piszę dlatego tyle o realiach, bo mam nadzieję, że niejednen z Czytelników, któremu książka się spodoba, być może zafascynowany opisanymi sytuacjami, pójdzie śladem tych wydarzeń, we współczesnych realiach odtworząc w wyobraźni tamte dalekie czasy „wspaniałych żaglowców i jeszcze wspanialszych ludzi”, czasy istotnie pełne tajemniczych dam, krwawych pojedynków i bitew na morzu - a przecież działo się to wszystko o miedzę od naszych współczesnych domów... O wielu tych faktach pisała ówczesna prasa -gdańska i warszawska. Między innymi zasadzka na morzu przygotowana przez Anglików na okręt wiozący księcia Józefa Poniatowskiego bardzo rzadko jest wspominana przez historyków, choć kiedyś rozpisywała się o niej stołeczna prasa. Nie znamy szczegółów tej operacji. Skał, wśród których ukryć się mieli Anglicy - jak pisała gazeta, nie ma i nigdy nie było, natomiast istnieje do dziś w stanie szczątkowym Pusty Staw koło Stogów i kawałek gęstego lasu, dochodzącego do wydm samej plaży - stąd pomysł ukrycia tam angielskich szalup. O bitwie „Messaliny” i udziale na jej pokładzie polskich ochotników pisała prasa gdańska, której roczniki przechowuje biblioteka naukowa w tym mieście. W większości autentyczne są nazwiska kapitanów i ich okrętów korsarskich oraz w znacznej części nazwiska polskich oficerów. Ale oczywiście główni bohaterowie i główne wątki - to twory fikcji. Pragnąc wciągnąć do tych rozgrywek bezpośrednio Czytelnika, pozwoliłem sobie na bardzo oszczędną archaizację języka, aby postacie i dialogi między nimi, ich przeżycia i ich refleksje stały się bliższe

współczesności. Sądzę bowiem dopiero dziś bez egzaltacji możemy spojrzeć na „epokę napoleońską” i losy w niej Polski i Polaków.

Słownik niektórych terminów morskich

baksztag - wiatr wiejący z ukosa od rufy

bajdewind - wiatr wiejący z ukosa od dziobu

blokada kontynentalna (fr. blocus Continental) - wprowadzona została przez Napoleona jako zasada główna wojny z Anglią. Zakazywała prowadzenia handlu Europy z Anglią, ale odcinała Europę od rynków zbytu i towarów zamorskich (np. głównym producentem sukna była wówczas Anglia). Ogłoszona w r. 1806 jako „odpowieź” na klęskę morską Francji pod Trafalgarem (1805), której jednak nie mogła zre-kompensować. Francja utraciła flotę, a Napoleon nie doceniał jej roli i nie dążył do jej odbudowania, popierał natomiast korsarstwo, które nie mogło przynieść rozstrzygających wyników i często przeradzało się w piractwo

brasować reje - zmieniać poziome ustawienie rei w stosunku do osi okrętu, zgodnie z kierunkiem wiatru bryg - dwumasztowy żaglowiec z żaglami rejowymi na obu masztach. W opisywanym okresie patrolowy okręt wojenny uzbrojony w 18-20 dział

bryza - lokalny wiatr, wiejący rano i wieczorem w pasie wybrzeża, powstający w wyniku różnicy nagrzewania lub wytracania ciepła przez ląd i morze dryf- znoszenie statku z kursu lub pozycji na kotwicy - przez wiatr lub falę

fregata - trzy-, cztero- lub pięciomasztowy żaglowiec z żaglami rejowymi na wszystkich masztach. W owym czasie typ średniego okrętu wojennego, uzbrojonego w 30-40 dział

gafel - ukośne, górne drzewce ruchome do umocowania żagla czworokątnego, suwające się swoim końcem (piętą) po maszcie

galiota - od franc, goelett, inaczej brygantyna lub szkuner-bryg. Żaglowiec dwumasztowy z ożaglowaniem rejowym na przednim maszcie i gafloyym na drugim - w opisywanym okresie również typ okrętu wojennego o uzbrojeniu 4-12 dział

hals - położenie statku żaglowego w stosunku do wiatru. Jeżeli wiatr wieje z prawej burty, mówi się, że statek idzie prawym halsem, jeżeli z lewej burty - lewym halsem, a jeśli zmienia często kurs, co zdarza się przy pływaniu pod wiatr, mówi się, że statek halsuje

kilwater - ślad, w postaci wirów i piany, pozostawiony na morzu przez płynący statek

korsarze (kaprzy, po franc, corsaire) - byli to kapitanowie statków handlowych, którzy wprowadzali na swoje jednostki uzbrojenie, często dodatkową załogę złożoną z piechoty morskiej i zobowiązywali się do zwalczania żeglugi i handlu przeciwnika, za co otrzymywali banderę i tzw. patent kaperski lub korsarski, w myśl którego traktować ich należało jak wojskowych. Ten typ walki na morzu istniał od dawna, jego rozwój nastąpił w wieku XVI i XVII, a w XIX już zanikał. W Polsce ten typ uczestnictwa w wojnie nazywano kaperstwem, natomiast w literaturze często korsarz utożsamiany był z rozbójnikiem morskim - piratem, bo też historia prezentuje wiele przykładów, kiedy kaperstwo-korsarstwo zamieniało się w piractwo

korsarska flota cesarska w Gdańsku - narodziła się w r. 1807, po zajęciu miasta przez wojską marszałka Lefebvre. Korsarzami francuskimi w Gdańsku dowodzili kolejno - kontradmirał Baste, pułkownik Tinel oraz kontradmirał Pierre Dumanoir Le Pelley.

Wśród okrętów francuskich spotykamy m.in. następujące nazwy - „Le Tilsit” („Tylża” - dowodził kapitan Des molands), „Generał Rapp” (dowodził kapitan Kirsch - był to dawny żaglowiec amerykański, zarekwirowany przez francuskich korsarzy na Bałtyku za przewożenie towarów angielskich), „L'Interpide” (dowodził kapitan, a później puł-

kownik Tinel), „La Messaline” („Messalina” - dowodził kapitan Tricon, żaglowiec zatonął w pobliżu Mierzei Wiślanej po bitwie z okrętami angielskimi), „La Nympe de la Vistula” („Syrena z Wisły” - okręt wyleciał w powietrze w czasie ataku angielskiej eskadry na Gdańsk w r. 1813) oraz małe uzbrojone statki żaglowe i szalupy artyleryjskie. Na okrętach tych część załóg stanowili Polacy (np. w bitwie „Messaliny” odnotowanej w prasie gdańskiej pod datą 9 sierpnia udział polski na pokładzie składał się z 20 ludzi) korweta - w opisywanym okresie lekki okręt patrolowy, najczęściej trójmasztowiec o ożaglowaniu głównym rejowym, uzbrojony w 22-26 dział komodor - dowódca zespołu okrętów

oko - wachta obserwacyjna na dziobie lub na maszcie okrętu

przybój - załamywanie się fali na przybrzeżnej płytczynie

reda - dogodny obszar morza przed portem do kotwicowania lub cumowania

reling - górna krawędź nadburcia lub barierka wokół górnego pokładu

refować żagle - zmniejszać powierzchnię rozwiniętego żagla

reja - pozioma belka zawieszona w środku swej ciężkości na maszcie do rozpinania żagla w kształcie trapezu

rufa - tylna część statku

rumb - jedna trzydziesta druga kąta pełnego lub kierunek wyrażony według róży kompasowej

rumpel - drążek sterowy, służący do odchylania steru od osi okrętu

szkwał - zazwyczaj gwałtowny, silny poryw wiatru, mogący powodować wywrócenie małych jednostek lub zerwanie żagla. Na Bałtyku zdarzają się gwałtowne porywy o sile huraganowej, nazywane „białymi szkwałami”, których nazwa łączy się z powstającą nagle falą o spienionych grzbietach. Często całe morze wygląda jak jedno kotłowisko białej

piany - a wiatr niesie pył wodny zerwany z grzbietów fal w postaci białej chmury ponad powierzchnię morza. Niespodziewane uderzenie szkwału o sile huraganowej było przyczyną wielu tragedii na Bałtyku, zwłaszcza jeśli żaglowce nie zdążyły w porę zwinąć żagli. Tak zginął m.in. już w XX wieku szkolny statek niemiecki „Niobe”

sztorm - najczęściej silny wiatr niżowy (cykloniczny) pochodzący z Atlantyku i przemieszczający się wraz z obszarami niżowymi nad Europą (niż atmosferyczny) od średniej prędkości ok. 15 m na sekundę i szybkości ponad 30 węzłów. Na morzu tworzą się wysokie i długie fale, a piana formuje się w gęstych wstęgach. Huk morza słychać jednak już przy przekroczeniu szybkości ok. 10 m na sek. i prędkości fal 21 węzłów - co określane jest jako silny wiatr i zwykle sygnalizuje nadejście sztormu. Sztormową siłę wiatru i stan morza określa odpowiednia skala, nosząca od nazwiska jej autora nazwę „skali Beauforta”

trawers - kierunek prostopadły do osi okrętu, stąd „zobaczyć coś na trawersie”, znaczy zobaczyć to z burty, przepływać obok czegoś

wachta - zespół ludzi pełniących aktualnie służbę na pokładzie, stąd –

oficer wachtowy. Również pojęcie czasu wyznaczonego na służbę

wanta - lina podtrzymująca maszt od burty - często między tymi linami rozpięta jest drabinka, umożliwiająca wchodzenie na maszty celem pracy na rejach - stąd mówiło się o wspinaniu na wanty. W opisywanym czasie drabinki sznurowe na wantach były wykorzystywane przez piechotę morską do ostrzeliwania pokładu przeciwnika. Od takiego strzału z want i rei zginął pod Trafalgarem admirał Nelson.

Postacie historyczne występujące lub wspomniane w powieści

Michał Grabowski (1773-1812) - generał brygady, szef polskiego garnizonu w Gdańsku w latach 1809-1810. Poległ pod Smoleńskiem. Był jednym z dwóch synów ostatniego króla Polski **Stanisława Augusta Poniatowskiego** i **Elżbiety z Szydłowskich Grabowskiej**, wdowy po generale **Janie Jerzym Grabowskim**. Ślubu udzielił obojgu lektor królewski, jezuita Jan Chrzyciel Albertrandy w r. 1772. Było to małżeństwo morganatyczne, przez które osoba „stanu niższego” nie zmieniała swego statusu - dzieci nie dziedziczyły tytułu królewskiego.

Jean Rapp (1772-1821) generał wojsk francuskich, od r. 1807 do 1814 gubernator stworzonego przez Napoleona „Wolnego Miasta Gdańska”. Pochodził z Colmaru w Alzacji. Uczestniczył w kampanii egipskiej Napoleona i bitwach pod Maren- go i Austerlitz. W bitwie pod Austerlitz wziął do niewoli księcia rosyjskiego Repnina. Uczestniczył w kampanii napoleońskiej na Moskwę 1812. Zamieszany w afery przemytnicze, związane z blokadą kontynentalną, między innymi w głośną wówczas aferę gdańskiego **kapitana Nussena**. Portret konny **Rappa** namalował najszynniejszy malarz cesarstwa - **David. Rapp** był faworytem Napoleona.

Bazyli Wierzbicki - major, od wiosny 1810 dowódca stacjonującego w Gdańsku 10 pułku piechoty Księstwa Warszawskiego. Zmienił na tym stanowisku pułkownika **Henryka Kamieńskiego**. Pułk stacjonował w Gdańsku od wiosny 1809 roku.

Aleksander Chlebowski - pułkownik, od wiosny 1810 dowódca stacjonującego w Gdańsku 11 pułku piechoty Księstwa Warszawskiego. Zmienił na tym stanowisku pułkownika **Stanisława Mielżyńskiego**. Pułk stacjonował w Gdańsku od wiosny 1809 roku.

Władysław Ostrowski - major, dowódca polskiej artylerii, stacjonującej od 1809 roku w Gdańsku. Jednym z jego oficerów był porucznik Józef

Bem, późniejszy generał. **Ostrowski** dowodził także artylerią polską w Gdańsku po klęsce Napoleona pod Moskwą, broniąc Gdańska do dnia kapitulacji generała **Rappa** - 1 stycznia 1814 roku.

Nicolas Massias - rezydent (konsul) cesarstwa Francji w Gdańsku. Zamieszany w afery przemytnicze, związane z łamaniem blokady kontynentalnej, zwłaszcza z głośną aferą kapitana **Nussena**. Odwołany pod koniec 1810 roku z tego stanowiska. Jego miejsce zajął wicekonsul **de Jassaud**.

Helena z Dzieduszyckich-Sierakowska - hrabina ze słynnego rodu arystokracji polskiej na Pomorzu, w czasach napoleońskich właścicielka części Sopotu. Dwór Sierakowskich w Sopocie istnieje do dziś i mieści się tam siedziba Towarzystwa Przyjaciół Sopotu.

Jean Georges Haffner - kapitan armii napoleońskiej, lekarz garnizonu gdańskiego, osobisty przyjaciel gubernatora Rappa. Pochodzi również jak Rapp z Colmaru w Alzacji. Założyciel kąpieliska morskiego w Sopocie - po klęsce Napoleona i wyjściu z Gdańska wojsk polskich i francuskich, zamieszkał na stałe w Sopocie.

Christopher Strachey - dowódca brytyjskiej korwety „Dauntless” zatopionej przez Polaków na Wiśle 19 maja 1807 roku. Na pokładzie okrętu znajdowała się jego żona. Mimo licznych zabitych i rannych spośród załogi - oboje wyszli bez szwanku zostali przyjęci przez głównodowodzącego armią nacierającą na Gdańsk, marszałka Lefebvre’a, w jego polowej kwaterze. Uzbrojenie korwety (22 działa) posłużyło do wyposażenia korsarskich okrętów francuskich, stacjonujących później w Gdańsku. Korweta została wydobyta, wyremontowana, a po klęsce Napoleona otrzymała nazwę „Wellington” na cześć najwybitniejszego dowódcy brytyjskiego.

Zatonęła w czasie huraganowego szkwału, wyrzucona na brzeg koło Sopotu.

Fryderyk Kalckreuth (1737-1818) - pruski feldmarszałek, dowódca pruskiego garnizonu Gdańska w r. 1807. Garnizon skapitulował w końcu maja 1807 roku, a kilkuset żołnierzy garnizonu - pochodzących ze Śląska, Poznańskiego i Pomorza - zdezerterowało, wstępując ochotniczo do wojska polskiego.

Tinel - podpułkownik wojsk francuskich, przejściowo sprawujący funkcje szefa flotyli francuskich jednostek korsarskich (kaperskich) w miejsce odwołanego kontradmirała Baste, dowódca brygantyny,

Nussen - kapitan i armator gdański, kupiec, oskarżony o łamanie dekretu o blokadzie kontynentalnej i odwiedzanie portów brytyjskich. Jak się okazało, nie czynił tego bez zgody gubernatora, a prawdopodobnie z nielegalnego handlu z Anglią czerpali korzyści urzędnicy cesarscy - rezydent **Massias**, generał **d'Hericourt**, **E. M. Chopin** i inni.

Stanisław Woczyński - generał, dowódca polskiego garnizonu Torunia, a po odejściu z Gdańska generała Grabowskiego - szef garnizonu gdańskiego. Opiekun polskich artystów - dopomógł w sprowadzeniu do Gdańska trupy Teatru Narodowego Wojciecha Bogusławskiego, który latem 1811 wystawił tu m.in. „Krakowiaków i Górali” Stefania oraz „Prometeusza i Andromedę” Elsnera.

Achilles Roderick Dagobert von Vogesach - major pruski, w r. 1810 rezydent (konsul) Królestwa Prus w Gdańsku.

Trefur - generał-major, w r. 1810 rezydent rosyjski w Gdańsku.

Krokowski - von Krockow - były major huzarów generała Blüchera, hrabia, właściciel ogromnych majątków na Pomorzu, zamieszkały w (istniejącym do dziś) pałacu w Krokowej, goszczący tam króla Zygmunta III Wazę. Po upadku Rzeczypospolitej Polskiej przedstawiciele tego rodu opowiadali się raz za Polską, innym razem za Prusami. Ta sytuacja trwała do 1939 roku, kiedy to jeden z synów ostatniego właściciela majątku był oficerem w wojsku polskim, a drugi służył w Wehrmachcie. Dramat rodu Krokowskich-Krockowów w czasie pierwszej

wojny światowej znalazł odbicie w dziele Stefana Żeromskiego „Wiatr od morza”. Wspomniany tu „graf von Krockow” opowiedział się za Prusami i zorganizował nawet oddział dywersyjny walczący w r. 1807 przeciw Polakom, pod Kołobrzegiem i pod Gdańskiem. Grafa von Krockowa wziął pod Gdańskiem do niewoli 26 marca 1807 roku kapitan **Antoni Sokolnicki**, adiutant generała **Sokolnickiego** - zestawienie nazwisk obu Sokolnickich to przypadek, byli daleką sobie rodziną.

Amilkar Kosiński (1769-1823) pułkownik, dowódca polskiej dywizji w bitwie o Gdańsk 1807. Inne polskie oddziały zostały podłączone do dywizji francuskich. W czasie walk o przedmieście Gdańska (Wrzeszcz) na tym stanowisku zastąpił **Kosińskiego** generał **Ignacy Gielgud** - wkrótce po kapitulacji pruskiego garnizonu zmarły w Gdańsku.

Książę Józef Poniatowski (1763-1813) - generał dywizji i minister wojny Księstwa Warszawskiego, później również marszałek Francji, naczelny wódz Księstwa Warszawskiego, wsławiony m.in. osobistym męstwem w kampanii 1809 przeciw Austrii, poległy w nurtach Elstery, w bitwie po Lipskiem. Latem 1810 wizytował Gdańsk, odebrał paradę wojsk garnizonu, inspekcjonował jednostki stacjonujące w Gdańsku iomalże nie padł ofiarą zasadzki, jaką przygotowali Anglicy w czasie przejazdu księcia po Zatoce Gdańskiej na żaglowcu należącym do miejscowej floty. Z inicjatywy i dzięki staraniom księcia Józefa Poniatowskiego poprawił się stan aprowizacji i zaopatrzenia mundurowego jednostek polskich, stacjonujących w Gdańsku.

Peter Eggaet - bogaty kupiec w Gdańsku, w którego kamienicy przy Długim Targu zamieszkał marszałek **Lefèbyre** - wódz zwycięskich wojsk w r. 1807.

Gebhard Leberecht von Blücher (1742-1819) - feldmarszałek armii pruskiej - od 1813 naczelny wódz armii, kiedy Prusy zerwały układy z Napoleonem i przystąpiły do koalicji antynapoleońskiej. Reformator armii pruskiej, przyczynił się m.in. do klęski Napoleona pod Lipskiem

i Waterloo.

Charles Maurice de Talleyrand - Perigord, książę Benewentu (1754-1838), dyplomata francuski w czasie rewolucji, po przewrocie dokonanym przez Bonapartego oraz w czasie cesarstwa. Od 1808 roku przejściowo w niełasce u Napoleona, za tzw. zdradę erfurcką. Minister spraw zagranicznych, potem odwołany na rzecz Jeana Baptiste Champagny. Tropił przeciwników Napoleona, a po jego przegranej jego zwolenników, opowiedział się bowiem wówczas po stronie Burbonów.

Joseph Fouché książę Otranto (1759-1820), polityk i dyplomata, minister policji w latach 1779-1802 i 1804-1810, odwołany w związku z prowadzonymi na własną rękę rozmowami z Anglią. Przywrócony do łask w 1812 roku, a także w okresie Stu Dni. Potem popierał przeciwników Napoleona i zaoferował swe usługi Burbonom, ale w r. 1816 musiał uchodzić z Francji. Po odwołaniu go w końcu 1810 roku, na stanowisko szefa policji cesarstwa powołany został **Anne Jean Marie Rene Savary książę Rolvigo**, odwołany w r. 1812.

Victor Leclerc (1772-1802) - generał wojsk francuskich na San Domingo, gdzie zmarł na malarię. Był pierwszym mężem słynnej piękności - siostry Napoleona - **Pauliny Bonaparte** wydanej następnie za mąż za księcia **Borghese**.

Franciszek Lefèbvre (1755-1820) marszałek Francji, naczelny wódz wojsk oblegających w r. 1807 Gdańsk, za to zwycięstwo uzyskał tytuł „Księcia Gdańska”.

August Neithard von Gneisenau (1760-1830) - feldmarszałek armii pruskiej. Współdziałał z G. Scharnhorstem w reformowaniu armii pruskiej. W latach 1813-1815 szef sztabu armii feldmarszałka Bliichera. Jeden z organizatorów oporu narodu niemieckiego przeciw Napoleonowi.

Gibson Alex i John - dwaj bracia, kupcy gdańscy, przedstawiciele bardzo licznej kolonii angielskiej w Gdańsku, przeciwnicy Napoleona.

Tricon dowódca korsarskiej galioty (goeletty) „Messalina” (właściwie „Messalina No 3” z francusko-polską załogą, okrętu zatopionego w boju z Anglikami koło Mierzei Wiślanej w sierpniu 1810 r.

Kirsch dowódca francuskiego okrętu korsarskiego „General Rapp”.

Jan Weysenhof (1774-1848) major - adiutant generała Dąbrowskiego w bitwie pod Tczewem, uczestnik walk o Gdańsk w r. 1807 na odcinku nad Wisłą i na wyspie Ostrów Brał udział w boju i zatopieniu korwety brytyjskiej „Dauntless”. W r. 1813 otrzymał stopień generała brygady, a w Powstaniu Listopadowym - generała dywizji.

Robert Surcouf (1773-1827) słynny w czasach napoleońskich korsarz francuski z St. Malô. Dowodził okrętem „Triton”,

Horatio Nelson (1758-1805) admirał angielski, uważany za jednego z najwybitniejszych dowódców i strategów w wojnie na morzu. Dowodzona przez Nelsona flota odniosła trzy słynne zwycięstwa - w r. 1798 pod Abukirem niszcząc flotę francuską u brzegów Egiptu, stąd nazywa się często tę bitwę „bitwa na Nilu”, w r. 1801 pod Kopenhagą i w r. 1805 pod Trafalgarem, w której to bitwie admirał Nelson zniszczył flotę francusko-hiszpańską, ale został ciężko ranny na pokładzie swego flagowego okrętu „Victory”, trafiony kulą przez piechura morskiego lub marynarza wystrzeloną z rei okrętu francuskiego. Zmarł na pokładzie swego okrętu. Słynny był rajd eskadry Nelsona po Bałtyku w r. 1801, co zapoczątkowało praktycznie stałą obecność okrętów angielskich na Bałtyku w czasie wojen napoleońskich, aż do r. 1814. Początkowo okręty angielskie bazowały w szwedzkim porcie Karlskrona, a od 1810 roku na duńskiej wyspie Anholt w Kattegacie. Kopenhaga została zniszczona przez flotę angielską w sierpniu 1807 roku - wtedy to nastąpił ostateczny cios, jaki Anglicy zadali Duńczykom na morzu.

Na Helu, samotnej placówce Księstwa Warszawskiego, w tajemniczych okolicznościach ginie komendant polskich żołnierzy. Jego następca usiłuje wyjaśnić zagadkę, co zrazu przekracza jego możliwości: wróg jest nie rozpoznany i wyprzedza jego kroki. A kilka małych stateczków korsarskich nie może sprostać dwom korwetom brytyjskim, skutecznie kontrolującym ruch w Zatoce Gdańskiej. W grę wchodzi zaginiony skarb, trumna z dziwną zawartością, i młoda dziewczyna, która musi zostać dostarczona Anglikom. Final jest zupełnie niespodziewany: tragiczny a zarazem zaskakujący...

ISBN 83-11-07713-4